KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Nr 10/144 1959



• « La Culture » • Revue mensuelle •

P. LYET: **GDY NIEMCY MIAŻDŻYŁY POLSKĘ**

W. STACHIEWICZ: **KSIĄŻKA GEN. RÓMMLA**

B. HEYDENKORN: **POLONIA KANADYJSKA**

SPIS RZECZY

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Październik – Octobre 1959

INSTYTUT  LITERACKI

NOTA BIOGRAFICZNA

Pułkownik Pierre LYET, wychowanek St. Cyr, w czasie drugiej wojny światowej kapitan, wyznaczony do badań historycznych w kwaterze głównej Armii, od 10 lat Dyrektor „Revue Historique de l'Armèe".



DALSZE WPŁATY NA DOM "KULTURY"

J. Sobieniak, Toronto, Ont. (Kanada)	2.500 frs
Dr. S. N. Korzeniowski, Ladd, Ill. (USA) po raz piąty	4.500 „

DZIĘKUJEMY

Imprimé en France.

Opóźnione procesy

SZLACHTA ZACHCIANKOWA

Poezja polska jest nieraz zdumiewająca i do poezji światowej wnosi ton własny, niepowtarzalny — o czym przekonuję się tłumacząc cudzoziemcom utwory współczesnych poetów polskich na francuski albo na angielski. Utwory te czerpię na przykład z następujących książek: *Wiersze* Aleksandra Wata, *Hermes, pies i gwiazda* Zbigniewa Herberta, *Obroty rzeczy* Mirona Białoszewskiego. Na przykład, bo są i inne pozycje. Choćby *Myśli nieuczesane* Stanisława Jerzego Leca, bo nie są to już ,,dowcipy'' ale, przez zajadłość, zwięzłość i tragizm, poezja. Jedynie kraj o bardzo dużym dorobku poetyckim mógł zdobyć się na taką mutację świadomości — nie o tzw. walory formalne mi chodzi, ale właśnie o świadomość, bo dzięki niej polski wiersz należy do tej samej rodziny w nowoczesnej sztuce co filmy Ingmara Bergmana.

Poezja trudna, o skromnej bazie czytelniczej, dystansująca bezapelacyjnie prozę, a zarazem zależna od bardzo prozaicznych doświadczeń zbiorowości. Powołało ją do życia wielkie *adieu* zwrócone do dawnych sposobów myślenia i odczuwania, wraz z ich literackimi pozostałościami. Nie byłaby też zapewne możliwa gdyby nie pożywka jakiej dostarczają pasje filozoficzne, obudzone i przez samą twardość stosunków pomiędzy ludźmi i kto wie, przez pigułki marksizmu-leninizmu-stalinizmu wpychane do ust opornych pacjentów.

Mutacja piętnastolecia zdaje się wyrażać najpełniej w poezji i patrząc od strony poezji najłatwiej jest chyba uchwycić zjawisko obcości dwóch kulturalnych pokładów: tego sprzed II wojny światowej, który zachował się na emigracji i nowego, występującego (choć tam też są różne pokłady) w Polsce. Dla kogoś, kto wieki temu (nie mówię tylko o sobie) usunął między pamiątki historycznego lamusa Tango Milonga, *Wiadomości Literackie,* ,,Qui pro quo'' i generałów na białym koniu, było oczywiste, że prędzej czy później dojdzie do konfrontacji, z

wynikiem łatwym do przewidzenia. Zabawne też jest śledzić co się teraz odbywa: ambitniejsi emigranci nagle przejrzeli, odnaleźli w sobie wstręt do starzyzny i, mówiąc słowami Gombrowicza, na kolana padli (choć czy przed znienawidzonym Gombrowiczem wątpliwe, brak mu krajowej sakry). Ludzie ci naśladują na swój sposób licznych Amerykanów, owładniętych nagle kompleksem niższości wobec *Doktora Żiwago* i rosyjskiego szkolnictwa. To wpadnięcie z jednej skrajności w drugą, to ,,przegięcie pałki'' czy *stampeede* (pęd na oślep) jest najzupełniej anty-historycznym procederem i niewiele chyba pozwala zrozumieć.

Literatura polska piętnastolecia (dla prostoty ograniczmy się do tej dziedziny) jest bardzo trudna do rozszyfrowania. Ułamki rzeczywistości pojawiają się w niej pod pseudonimami, a niekiedy są to pseudonimy pseudonimów. Napisanie do niej jakiego takiego klucza wymagałoby co najmniej dwóch tomów in folio. Tam, gdzie na stół nie można powiedzieć stół ale trzeba używać omówień powoli dojrzewają szczególne cechy stylu. I nie mam na myśli tylko cenzury, bo ucieczka w górne rejestry ma swoje prawa, sama siebie zagrzewa, sama siebie przyśpiesza. ,,Tak albo nie bez światłocienia'' przekształca się w światłocień bez tak i nie, alegoria zalęga alegorię, aluzja aluzję. Stąd (przed 1949 i po 1955) olśniewająca nieraz gibkość, ukośność chwytu, złożoność intelektualna. Ale nie da się zawsze latać, nie tykając stopą gruntu, i cierpi na tym proza beletrystyczna, która musi przecie nazywać, nie tylko pseudonimować. Cierpi również krytyka, bo próbując wyjaśnić jakieś dzieło podstawia przyczyny zawiłe i wytworne na miejsce przyczyn prostych i wulgarnych. Najmniej może szkodzi to poezji: ostatecznie pseudonimowanie jest jej żywiołem.

Czy ów świat jest dostępny dla ludzi z zewnątrz, nie jest pewne. Na przykład trzeba byłoby urządzić całe seminarium, żeby wyłożyć sens poezji Tadeusza Różewicza. Od swego debiutu w 1947 r. pokazał coś, czego w poezji polskiej dotychczas nie było: rozpacz w stanie czystym, w porównaniu z którą najbardziej rozdzierające wrzaski dekadentów *fin de siècle*'u wydają się dziecińwstwem. Później kazano mu włożyć na tę rozpacz czapę z lukru, ale nie trzymała się. Żałobna filozofia tego ,,szarego człowieka z wyobraźnią małą kamienną i nieubłaganą'' z pozoru jest pokrewna poczuciu obrzydliwości życia, w czym specjalizuje się co gorsza literatura zachodnia. Dlatego też pewien pisarz amerykański, przeczytawszy opowiadanie Różewicza *Nowa szkoła filozoficzna*, napisał do mnie, że to bardzo złe (,,uprawialiśmy to w wieku dojrzewania''). Może miał rację, ale nie chwytał podtekstu. Psychoanaliza literacka zastosowana i do Różewicza i do wielu innych odkryłaby różne dziwy *przerzutu* tzn. sytuację klęski przebraną w strój rozmyślań o okrucieństwie człowieka i przyrody; tutaj też są korzenie materialistycznej i anty-dialektycznej filozofii tego wybitnego poety. Lechoń, roniąc w New Yorku łzy nad pasem słuckim,

ani podejrzewał, że prawowitym dziedzicem Wespazjanów Kochowskich był nie on ale *jakiś* Różewicz, pewnie obrzydliwy komunista. Nie mam zamiaru wskrzesać metody zacnego prof. Chrzanowskiego i wszędzie dopatrywać się słonia a Polski. Niemniej poeci są często biernym instrumentem jakiejś mocnej tradycji i urazowe tło bywa nieraz zbyt widoczne. I zdarza się, że zdanie: ,,szczęścia nie znalazł, bo go nie było we wszechświecie'' tłumaczy się po prostu: ,,szczęścia nie znalazł, bo go nie było w ojczyźnie''.

,,Osłupienie ontologiczne'', tak często spotykane we współczesnej poezji polskiej, jest w każdym razie silnie zabarwione filtrowanymi na różne odmiany doświadczeniami historycznymi i to stanowi o jej wigorze. W rozmowie z francuskim poetą wyznałem, że nie znajduję zupełnie w poezji francuskiej tego zmysłu, tej gry w paradoksy dziejących się dziejów, z czym się zgodził. Nowoczesna poezja wywodzi się z Francji (choć Mallarmé i Laforgue niemało skorzystali tłumacząc Whitmana) ale Francja nie miała nikogo takiego jak Norwid.

Mój wywód pewnie jest niejasny. Do czego zmierzam? Do tego, że daleka jest droga do Tipperary i że od Tanga Milonga do współczesnej literatury polskiej nie ma wygodnej ścieżki. Jeżeli kto chce, może te uwagi rozszerzyć na politykę, bo w danej formacji kulturalnej pomiędzy poezją i polityką zachodzi ścisła współzależność. Dokonując bezcennych odkryć, na jakie co poniektórzy wpadli już bardzo dawno, np. że Polska leży w orbicie rosyjskiej, nie dopędza się jeszcze rzeczywistości.

Błędne odczytania i coś jakby moda na przysięgi, że wartości kulturalne mogą powstawać tylko w Kraju (wielkie K). Co jest katzem, zgagą po zbyt długim pobycie na wyspie złudzeń. W istocie piśmiennictwo polskie (przepraszam, że ciągle wracam na swoje podwórko) powinno być, póki zdoła, dwutorowe. Chorobliwość wielu tamtejszych objawów jest uderzająca, nawet jeżeli pominiemy cały doraźnie stosowany dętol. Lista skaz, jakimi jest dotknięta literatura w Polsce byłaby długa, nie dałoby się co prawda tych skaz wydzielić i ponazywać osobno, bo mamy tutaj do czynienia z całością, ze splotem zjawisk. Fajnowanie, aluzyjność, ucieczka w górne rejestry (lud tymczasem dostaje Kraszewskiego), wielosłowie zastrzeżeń i obwarowań, a zarazem ,,przyswajanie'' wszelkich ochłapów z zachodniego śmietnika, niezdolność dyskryminacji, tak wielka, że litość i trwoga ogarnia na widok wypracowań zerżniętych z jakichś subtelnych poetyckich pism paryskich, których to pism żaden przytomny człowiek, jako żywo, nie czyta. Próbuje z tym walczyć kilku pisarzy, ale trudno jest czyścić stajnię Augiasza jeżeli czymś musi być wypełniona, brednie przynajmniej nie wadzą nikomu poza fanatykami wspólnej sprawy. Co mówię nie stoi w sprzeczności z pochlebnym sądem o polskiej poezji, trzeba ją tym bardziej cenić, że wbrew wszystkiemu pozostaje sercem dzwonu. Ale jeżeli piszącym po polsku na Za-

chodzie grożą skazy, to całkiem inne i warto chyba być świadomym korzyści, jakie daje publikowanie poza jednym akwarium. Kto wie czy język mniej ćwiczony w wysokiej szkole ubezpieczeń, bardziej wulgarny, nie okaże się trwalszy. I kto wie czy jakakolwiek próba *osadzenia* polskiej literatury uda się kiedyś bez dzieł napisanych za granicą.

W *Kulturze* omówiono entuzjastycznie *Rachunek zachciankowy* Mirona Białoszewskiego. Może recenzent i pojął te ćwiczenia językowego grotołaza. Ale nie jest prawdą, że w sztuce każdy eksperyment musi być udany, a chwaląc na oślep, na kredyt nazwiska, pomnaża się tylko zamęt w ,,nowoczesnej" kadzi. Stąd też wziąłem termin : szlachta zachciankowa.

ODWIEDZINY U PROROKÓW

,,Był tak piękny, że kiedy wchodził, kobietom trzęsły się kolana" — powiedziała mi kiedyś o młodym Stanisławie Ignacym Witkiewiczu jego rówieśniczka. Gdyby jedyny syn Stanisława Witkiewicza, autora *Na przełęczy,* nie wychował się w środowisku bardzo wybrednym, gdyby nie naznaczyła go europejska *belle époque,* gdyby nie podróżował z Bronisławem Malinowskim (tym wsławionym jako uczony angielski) do Indii i do Australii, nie zaznałby może później tak ostrych konfliktów z inteligencją dwudziestolecia 1918-1939, ale nie napisałby też powieści *Pożegnanie jesieni* i *Nienasycenie.* Mieszkaniec Zakopanego z rosyjskim paszportem, w I wojnie światowej praporszczyk gwardii, oficer liniowy, mógł też zginąć na froncie i wtedy zabrakłoby nam relacji o latach między wojnami sporządzonej przez kogoś zupełnie z boku. Z rewolucyjnej Rosji przywiózł wizję i obsesję. Polska, i cała Europa, wydała mu się krucha, jesienna. Nienawidzący stylu Warszawki, ,,Ipsu", ,,Ziemiańskiej", anty-filozoficznych geniuszów, pederastycznych arystokratów, upotwornił i skarykaturował życie wyższych sfer, choć może nie bardziej niż dzisiejszą Amerykę upotwornia *Lolita.* To nie jest porównanie. Witkiewicz, katastrofista, wykreślał linię w czasie, zajmował się przyszłością i to nie przyszłością rewolucyjną, eksplodującą, bo ta miała być jedynie wstępem, ale już cichą, uładzoną, gładko-totalitarną, kiedy spełni się jego przepowiednia : ,,z bydła wyszliśmy i w bydło się obrócimy".

Tomasz Mann gdzieś napisał, że literatura dwudziestego wieku zaczyna się od *Jądra ciemności* Conrada. Jest tam już lęk przed tym co się zbliża. Ale ta lękowa literatura dwudziestego wieku byłaby niekompletna bez Witkiewicza — niestety znają go tylko Polacy. W przekładzie — nawet gdyby próbowano — musiałaby się zatrzeć cała witkacowska drwina, mruganie do czytelnika : to przecie na niby, ja się bawię, naprawdę interesuje mnie tylko filozofia, szukaj jej. Bo witkacowska drwina jest w zbitkach słownych, w igraszkach na pograniczu kilku

języków, najczęściej na pograniczu polskiego i rosyjskiego. Jaki cudzoziemiec odgadnie, że cały traktat socjologiczny kryje się w imieniu i nazwisku: Persy Zwierżontkowskaja? Jaki pojmie, że Zosia Osłabędzka nazywa się tak bo osioł plus bęc plus łabędź plus osłabienie ? I że wódz armii europejskiej (jak pamiętamy armia NATO u Witkacego, zwątpiwszy w skuteczność oporu przeciwko Konieczności Historycznej, poddaje się Chińczykom bez wystrzału) jest już scharakteryzowany, bo Kocmołuchowicz? W obcym kontekście cały smak straciłby metafizyk ksiądz Wyprztyk, mianowany po przewrocie przez swego ucznia, Sajetana (Sajcia) Tempe dyrektorem instytutu kultów. A inni bohaterowie : Atanazy Bazakbal (z tatarskiej rodziny), Ziezio Smorski, Mieczysław baron Baehrenklotz, porucznik Grzmot-Szmuglewicz, książę Belial-Prepudrech (z Persów), Genezyp Kapen ? Witkiewicz był poetą nazwisk. Jak również kazał jadać swoim bohaterom imaginacyjne potrawy : zupę z czerwonych marmontijów czy taftany na słodko-słono, ale to śmieszy tylko jako inkrustacja słowiańszczyzny, zamiast barszczu z uszkami. Na poważnie, z zatarciem parodii, proza Witkiewicza może by nudziła. Jego niby bardzo nieprzyzwoite opisy ,,tych rzeczy'' są dość papierowe i mało seksualne. Ten potężny praktyk oblizywać się, przypominając sobie różne scenki, nie umiał.

Mniej więcej równocześnie z powieściami Witkiewicza ukazały się dwa inne proroctwa przyszłości totalitarnej : *My* Zamiatina i *Nowy wspaniały świat Huxleya.* Zamiatin wróżył z Rosji, Huxley z Ameryki, dochodzili jednak do wniosków niemal identycznych (Zamiatina nie czytałem, znam jego ideę w ogólnym zarysie). Tak samo jak u Witkiewicza, ludzkość w tych powieścio-fantazjach zostaje znakomicie uporządkowana, ale szczęście jej jest nikczemne, niegodne ludzi.

W kilkanaście lat później, już po II wojnie, *Rok* 1984 Orwella. Są znaczne zbieżności i znaczne różnice pomiędzy Witkiewiczem i Orwellem. Wspólna im obu jest odraza do szarości, do zapachu nędzy i kapusty, do pół-ruiny nienaprawianych domów. Ostatnie rozdziały *Pożegnania jesieni* — opis Polski po rewolucji ,,niwelistów'' — to Orwell, a przy tym dość dokładnie przewidziana Polska autentyczna po r. 1945, ta sama, która zmuszała jej poetów do różnych przerzutów i przyczyniła się do somatyzmu Różewicza (Od *soma,* ciało — istoty ludzkie jako kawałki mięsa) jak również do reizmu Białoszewskiego (od *res,* rzecz — piece, krzesła jako jedyne byty niewątpliwe). Witkiewicz dawno wiedział, że ta szarość jest nieunikniona, dlatego w 1939 r. popełnił samobójstwo. Jednak książki Witkiewicza są filozoficzne, książka Orwella raczej polityczna, Witkiewicz obrał za temat rozkład kapitalistycznej Europy, jej niejako wewnętrzny, że wyrazimy się po rosyjsku, *tupik,* nieodwołalne obumieranie religii, filozofii i sztuki, które muszą ustąpić miejsca panowaniu etyki, co dokona się przez ,,transcendentalną mechanizację''. Przełom, rozpoczynający

nową erę, czy nastąpi wskutek rewolucji czy najazdu wojsk chińsko-mongolskich, będzie jedynie prztyczkiem danym zmurszałemu doszczętnie gmachowi. Dalej wszystko było Witkiewiczowi obojętne. Gdyby go zapewniono, że ,,transcendentalna mechanizacja'' może się też odbyć inaczej, poprzez uśmiechnięty konformizm telewizji i barwnych okładek, prawdopodobnie też orzekłby, że żyć nie warto. Orwella natomiast fascynował nowy mechanizm władzy. Podział kuli ziemskiej na trzy super-państwa toczące ze sobą wojnę ale na wzajem dla siebie potrzebne, bo dzięki międzynarodowemu napięciu trzymają w szachu swoich obywateli, zdaje się być zaczerpnięty i z *Rewolucji manadżerskiej* Burnhama i z obserwacji powojennych ,,stref wpływów''. Reszta — kwadranse nienawiści, Big Brother, Wewnętrzna Partia i żałosny los ludu czyli ,,prolów'', to oczywiście stalinizm.

Wreszcie, po Orwellu, Jack Jones. Amerykański literat Jack Jones napisał w 1953 roku essej pt. *To the end of thought* i nikt nie chciał mu go wydrukować. Wreszcie zdobyła się na to angielska *Cambridge Review*, a w Ameryce tekst opublikowało w tym roku nowojorskie pismo odbijane na powielaczu, tytułujące się po prostu *newspaper*. Na powielaczu? Tak, bo każdemu wolno, ale żeby opłacić drukarnię trzeba mieć pieniądze tj. odbiorców, innych niż intelektualiści ,,beatniks''. Jednak essej *Do końca myśli* zdołał narobić hałasu.

Jones za punkt wyjścia obrał Orwella, a zwłaszcza zaczął się zastanawiać dlaczego w dwudziestym wieku Ministerstwo Bezpieczeństwa może podawać się za Ministerstwo Miłości i dlatego hasło: ,,niewola jest wolnością'' porywa tłumy. Konkluzje jego są w skrócie następujące. Rozum ludzki zrobił w myśleniu społecznym skok, porównywalny tylko ze skokiem jakim w nauce jest einsteinowska względność. Nauczył się mianowicie usuwać fakty, zastępując je interpretacją. Czyli że zamiast faktów surowych i nieociosanych jak np. tortura więźnia podstawione jest wyjaśnienie odbierające im jakąkolwiek wagę. Zdaniem Jones'a rozum musiał wziąć wreszcie ten próg, bo cała jego zdobywczość w stosunku do natury była możliwa tylko na cenę gwałtu skierowanego przeciwko człowiekowi jako całości, za cenę auto-represji. Pomiędzy Drzewem Życia i Drzewem Wiedzy nie ma zgody. Żeby zaspokoić swoje pragnienia człowiek musi zarazem pragnienia coraz bardziej poskramiać — wyciągnąć rękę i zerwać owoc nie jest tym samym co zbudować maszyny i produkować, bo wtedy pomiędzy pragnienie i zaspokojenie wkracza upływ czasu. Całego wywodu Jones'a, ujętego w terminach psychoanalizy, nie będziemy powtarzać. Dzieje gatunku ludzkiego są dla niego dziejami coraz bardziej zwycięskiego, a więc coraz bardziej represyjnego, rozumu, kolejne progi to chrześcijaństwo, które zburzyło jedność człowieka, wprowadzając podział na ciało i duszę, następnie Renesans i era przemysłu (surowa, auto-represyjna etyka protestancka). Ale rozum nie może się zatrzymać, miażdży cokolwiek nie jest nim i dąży do znalezienia się sam na sam

ze sobą tj. do idealnego społeczeństwa, w którym nic nie będzie spontaniczne. Pragnienia są już zdławione (nowoczesna technika nie zapewnia robotnikom fabryk żadnych bezpośrednich satysfakcji). Nowy etap otwiera przezwyciężanie faktów, gdyż percepcja faktów jest zmysłowa, odbiera je ,,człowiek irracjonalny''. dla rozumu tylko zawstydzający i nienawistny. Niemoc mieszkańców kapitalistycznego Zachodu wobec marksizmu polega na tym, że nie wznieśli się na wyżynę, na jaką w marksizmie dźwignął się rozum. Amerykanie uważają kogoś, komu udowodniono szpiegostwo, za szpiega i nie pojmują jak może on z najgorętszym przekonaniem zapewniać, że jest niewinny. A jednak nie kłamie on, bo jest poza faktami, jego lojalność, wobec komunizmu, nie jest ich lojalnością. Niezależnie od takich czy innych wahnięć albo odmian, przyszłością całej planety jest społeczeństwo racjonalne, bez przypadkowości, społeczeństwo z 1984 Orwella. Tak spełni się przeznaczenie rodzaju, zgodnie z odpowiedzią jakiej Winstonowi udziela O'Brien : Co jest celem władzy? — Władza. Gdyż Drzewo Wiedzy, kiedy wydaje owoce, jest Drzewem Śmierci.

Marksiści są rzeczywiście, jak to sami utrzymują, następcami i chrześcijan i ludzi Renesansu i Encyklopedystów i kapitanów przemysłu. ,,Człowiek etyki'', fanatyk czystych struktur umysłu wcielanych w życie, jest mocniejszy niż opierający mu się ,,człowiek irracjonalny'', z jego nigdy nie wygasłą tęsknotą do jedności pragnienia-spełnienia (taki jest każdy artysta i tutaj jego pokrewieństwo z ,,małymi ludźmi''). Zupełna racjonalizacja jest nieunikniona, chyba że — Jones wypowiada tę nadzieję — niezwykłym wysiłkiem wyobraźni zdołamy odtworzyć człowieka ,,jednościowego'', zrobić więc jeszcze dalszy skok i proces odwrócić.

Jones, rzecz jasna, nie czytał Witkiewicza. Ale ciepło, ciepło. Królestwo etyki (tj. wartości względnych, społecznych, utylitarnych), koniec ,,metafizycznego zdziwienia'', sprawnie obracające się tryby ,,transcendentalnej mechanizacji'', artyści albo znijaczeni albo posłani do domu wariatów — dużo się zgadza. Witkiewicz nie spodziewał się wiele po człowieku ,,irracjonalnym'', rozum dla niego był domem podzielonym i obracał się przeciwko sobie. Jones jest bądź co bądź kuzynem ,,beatników'', chuliganów i *teddy-boys*'ów, ślepo protestujących przeciwko porządkowi, wpłynęła też na niego psychoanaliza, nie Freuda, Reicha. Jednak bohater Witkiewicza, Atanazy Bazakbal, uciekając z Polski przez Tatry, nagle ma olśnienie : że przecież proces można odwrócić (jak u Jones'a, przez świadomość tego co się odbywa) i wraca. Co prawda bezsensowny poryw, bo zaraz go rozstrzelali.

Daty powieści Witkiewicza : 1927, 1930. Essej Jones'a poważny, ciekawy jako objaw nowego w Ameryce *zmysłu tragicznego*. A przecie dla pokolenia które wtedy, dawno, wchłonęło końską porcję pesymistycznych bakcyli, jest już może jedynie komentarzem do spraw widzianych szerzej i inaczej.

Bakcyl syfilisu bywa niekiedy oswajany przez rody czy plemiona i nic im nie szkodzi. Tak samo nas Witkiewicz uodpornił. Jego diagnoza okazała się trafna ale niepełna i choć należy mu się podziw jako największej chyba figurze dwudziestolecia, niektórym z nas dane było przeniknąć w złożoność zjawisk dopiero kiełkujących po jego śmierci. Zakładał, że cykle znajdą wypełnienie w Finale, w ustroju pełnej kontroli. I triumfowałby, gdyby mu pokazano tysiące ponurych Sajetanów Tempe w Polsce stalinowskiej, nihilistów działających pod różnymi etykietkami. Triumfowałby też, natrafiwszy w prasie 1949 czy 1950 roku na hasło ,,walki z żywiołowością procesu twórczego'' — piękny argument dla niego i dla Jones'a. Jednak był chyba mur, którego Witkiewicz nie mógł przebić. W istocie kto wie czy fantazjo-powieści o przyszłym martwym duchowo społeczeństwie nie wynikały z tego samego porażenia historycznością, co wiara w absolutny przełom, w millenium, tylko na odwrót. Tak jakby ludzkość nie mogła nowego wymiaru oswoić od razu i drżąc albo tęskniąc narażała się na figle demiurga nicującego podszewką do góry i jej lęki i jej tęsknoty. Demiurg ten, ,,humor historyczny'', jest nam mało znany, tyle o nim wiemy, że jest przewrotny i że szczególnie upodobał sobie marksizm (nihilistów poznaje się po tym, że demiurga nie lubią).

Witkiewicz, Zamiatin, Huxley, Jones, cóżby to był za traktat. Niestety to wszystko nie jest ani już przeszłością ani jeszcze przyszłością, zanadto splata się z tym co obserwujemy, wymaga przeciwstawienia jednego wróżbiarstwa innemu wróżbiarstwu. Z niepełnych wizji (a każda alegoria i satyra jest niepełna) niemało zostaje, a zasadniczy motyw tych autorów sprowadza się właściwie do tezy: wspólnota ludzka opanuje naturę, ale za cenę niewoli. Że ten pesymistyczny pogląd jest sztywny, że rozbija go heraklitejska płynność świata, o tym poucza nas tylko trudno uchwytne doświadczenie, właśnie asymilacja bakcyla — ale spór z Legendą o Wielkim Inkwizytorze Dostojewskiego (bo jemu tutaj przypada pierwszeństwo) nie jest bynajmniej łatwy. A warto zauważyć, że radosnej przypowieści o społecznym mechanizmie jutra nikt bodaj w dwudziestym wieku nie ułożył.

Pomimo wszystko pomyłka Jones'a jest chyba w tym, że Drzewo Życia i Drzewo Wiedzy mają korzenie zanadto ze sobą splecione, żeby komukolwiek (choć amatorów nie brak) udało się je rozdzielić. To powinno służyć także za pociechę zwolennikom innej pary przeciwieństw: humanistyka — technika (w *Kulturze* Juliusz Mieroszewski). Technika z humanistyki powstała i w humanistykę się obróci (wróżba). Choć pewnie nieprędko i po wielu klęskach.

Czesław MIŁOSZ

Swoi i obcy (dok.)

(Z CYKLU „ŻYDZI W KULTURZE POLSKIEJ", II)

IV

Jednakże różnice mogą być nie tylko natury zewnętrznej. Mogą być również różnice duchowe, wyrażające się w odrębności zachowania się człowieka, jego myślenia i odczuwania. Słowem, chodzi tu o różnice kulturowe.

Jest rzeczą wyraźną, że we wszystkich epokach i cywilizacjach różnice tego rodzaju potężnie narzucały się uwadze człowieka. W czasach nowożytnych w miarę rozwoju współczesnego nacjonalizmu stały się one jedną z najważniejszych podstaw różnicowania ludzi. Język, religia, instytucje życia publicznego, tradycje, obyczaje, sposób życia — wszystko to z całą mocą narzuca się naszej uwadze i staje się punktem wyjściowym dla różnicowań i klasyfikacji.

Bardzo często te różnice kulturowe są łączone z różnicami zewnętrznymi. Przekonanie, że ludzie innego języka, innej narodowości i innej kultury wyglądają inaczej niż my, należy do pospolitych stereotypowych obrazów cudzoziemca. Ludzie, którzy mówią po włosku, są ruchliwymi brunetami, Francuzi gestykulują, Rosjanie mają rysy mongolskie, Anglicy są zimni i opanowani, itd. bez końca. Są to typowe trafarety, którymi posługujemy się i zawsze się posługiwaliśmy i co do których nie mamy wątpliwości. To, że pewne cechy atropologiczne i pewne wzory zachowania się rzeczywiście często występują w pewnych cywilizacjach, trafaretom tym daje podstawę empiryczną i pseudoracjonalną. Angielski wzór wychowania gentlemana, rzeczywiście tradycyjny w Anglii, miał kolosalne znaczenie dla wytworzenia się stereotypowego obrazu Anglika wśród ludzi innych krajów. Nie zmienia to faktu, że w rzeczywistości

nie każdy Anglik jest gentlemanem, jak nie każdy Włoch jest ruchliwym brunetem, nie każdy Francuz gestykuluje i nie każdy Rosjanin ma rysy mongolskie.

We wszystkich wypadkach stykania się z ludźmi innego języka, narodu czy — szerzej — kultury oczekujemy od nich, że będą zgodni z naszym obrazem, a jeżelli zachodzą tu jakieś odchylenia, to albo je zwyczajnie ignorujemy, albo interpretujemy je odpowiednio, sprowadzając do przyjętego przez nas wzoru.

Bez względu jednak na to, jak wyglądają nasze trafarety ludzi innej mowy, narodowości i kultury, ważne jest to, że odrębności językowe, państwowe, narodowościowe, kulturalne stanowią zasadnicze kryteria w naszych różnicowaniach ludzi. Na ich podstawie klasyfikujemy ludzi, stwierdzamy zasadnicze różnice, jakie ich między sobą dzielą.

W praktyce jednak sprawa nie wygląda zbyt prosto. Albowiem zróżnicowania kulturalne mogą być wyprowadzane na podstawie różnorodnych kryteriów, które bynajmniej nie są ze sobą zharmonizowanie. Co więcej, mogą tu między nimi zachodzić wyraźne sprzeczności.

Zacznijmy od kryterium języka. Szwajcarzy mówią czteroma językami i odrębność mowy nie jest tu równoznaczna ze zróżnicowaniem narodowo-państwowym. Nie ulega wątpliwości, że Szwajcarzy stanowią jednolity naród, w jednolitym państwie, o wspólnych i mocnych tradycjach historycznych i kulturalnych. Hindusi używają kilkudziesięciu różnych języków, by nie mówić o lokalnych dialektach. A jednak młoda wspólnota narodowo-państwowa Indii jest faktem. I w Szwajcarii, i w Indiach, i w całej masie innych krajów świata ludzie mówiący innym językiem nie są uważani za różnych od nas. Z drugiej zaś strony Anglicy, Amerykanie i Irlandczycy mówią tym samym językiem, co w najmniejszym stopniu nie zmienia faktu, że odczuwają się nawzajem jako różni. W obrębie tej samej grupy narodowo-językowej różnice dialektyczne mogą być tak znaczne, że uniemożliwiają porozumienie się wzajemne. Wystarczy wskazać tu na Chiny. Dostrzeganie tych odrębności nie koniecznie jednak musi prowadzić do powstawania ocen, klasyfikujących ludzi na ich podstawie. Albo też dostrzeganie różnic dialektycznych może być np. łączone z różnicowaniami klasowymi, w których właściwości języka są atrybutem przynależności do warstwy wyższej lub niższej. W tym jednak wypadku chodzi o zupełnie inny rodzaj ocen społecznych.

Coraz bardziej oddalamy się od romantyczno-mistycznej koncepcji jednolitej kultury narodowej. Koncepcja ta odegrała kolosalną rolę w rozwoju prądów nacjonalistycznych, by z czasem ulec zwyrodnieniu w rasizmie i prymitywnym socrealizmie. Wiemy dziś dobrze, że w obrębie każdej grupy narodowej istnieje wielość specyficznych kultur klasowych, terenowych, zawodowych itd. I nie koniecznie muszą się one mieścić w ra-

mach tej tradycyjnej kultury literackiej, jaką uznajemy za oficjalną kulturę narodową. Ta ostatnia jest najczęściej produktem wielowiekowej działalności warstw wyższych, literackich, które ze świata swych wartości zrobiły system oficjalny, reprezentacyjny, uznawany za typowy dla danego narodu. Ta oficjalna kultura miewała potężny wpływ na kultury ludowe czy lokalne, ale nie panowała nad nimi, nie zamykała ich w sobie bez reszty. W rzeczywistości każda kultura narodowa jest wielością, której praca literatów, a w czasach ostatnich — propagandystów i dziennikarzy, usiłuje nadać postać jednolitą.

A jednocześnie coraz trudniej jest określić, co stanowi swoistość określonej kultury narodowej — bez względu na to, czy chodzi tu o kulturę ,,oficjalną'', czy regionalną lub klasową. Albowiem najważniejsze wzory kulturowe są uniwersalne, przenikają do różnych cywilizacji i narodów. I tak było zawsze.

Wielkie religie ludzkości tworzyły potężne systemy wartości uniwersalnych. Dziełem chrześcijaństwa była wielka cywilizacja światowa. Cywilizacja Islamu czy cywilizacja buddyjska nie dadzą się zlokalizować. Judaizm przeniknął do różnych cywilizacji — nie tylko do żydowskiej — i je zapłodnił. Uniwersalny charakter miała kultura rycerska, mieszczańska czy chłopska. Oczywiście kultury te w poszczególnych krajach nabierały — w zależności od warunków lokalno-historycznych — odpowiedniego zabarwienia. Ale zasadnicze treści były zgodne. Kultura chłopa polskiego ma uderzające cechy wspólne z kulturami chłopów całej masy innych narodów świata. Gdy w swoim czasie w Ameryce pracownia Margaret Mead rozpoczęła badania nad tym, co nazywała ,,national character'' poszczególnych krajów, krytyka nie bez uzasadnienia podnosiła, że to, co szkoła Mead uznawała za specyficzne dla jakiejś grupy kulturowej w jednym kraju, można by uznać również za specyficzne dla analogicznych grup w innych krajach.

Nie wynika stąd, byśmy mieli odrzucać fakt istnienia kultur narodowych jako swoistych produktów historycznych określonych wspólnot narodowych. Stanowisko takie byłoby absurdem. Narody istnieją i wspólnota kultury stanowi rację ich istnienia. Chodzi jednak o to, że żadna z tych kultur narodowych nie jest metafizycznym monolitem i że żadna z nich nie jest czymś całkowicie specyficznym, właściwym tylko jakiejś jednej społeczności narodowej.

Niemniej jednak w naszym życiu praktycznym momenty te bardzo rzadko są uświadamiane. Przyjmujemy tu mity jedności i swoistości kultur narodowych. Romantyczny mistycyzm wyznacza treść naszych ocen i decyduje o naszym zachowaniu się. Mamy trafaret naszej kultury narodowej i mamy trafarety innych kultur narodowych. Zgodnie z nimi tworzymy nasze definicje ludzi innych narodowości. Człowiek, którego definiujemy jako Francuza, *musi* reprezentować kulturę inną od naszej i z tej racji musi być różnym od nas. Tego od niego oczekujemy, to a priori zakładamy. Nie moment obiektywny ma

tu znaczenie, ale nasze subiektywne ocenianie, oparte na tym systemie wartości, w którym i którym żyjemy.

Z pomocą idą nam te obiektywnie istniejące okoliczności zewnętrzne, które w danych warunkach szczególnie mogą się narzucić naszej uwadze. W krajach bardziej jednolitych wyznaniowo przynależność do dysydenckiego wyznania mocno narzuca się uwadze i łatwo stać się może podstawą różnicowania. Żeby tylko wymienić stosunek do nie-muzułmanów w wielu dzisiejszych krajach arabskich. W krajach katolickich protestanci byli czymś różnym, w krajach protestanckich — katolicy. Anglicy stosunkowo dopiero od niedawna pogodzili się z faktem istnienia ,,papistów''. Wszystko to jednak znika lub słabnie, gdy przynależność wyznaniowa przestaje odgrywać decydującą rolę w życiu zbiorowym, lub gdy kraj — jak np. Stany Zjednoczone — jest konglomeratem wszelkich wyznań. Jeżeli zaś nawet w takich wypadkach utrzyma się coś z różnicowania na podstawie przynależności wyznaniowej — ma to miejsce w Stanach Zjednoczonych — to staje się składnikiem pewnych ogólniejszych konwencji życia społecznego i ma stosunkowo bardzo mały wpływ na sprawy całej zbiorowości narodowej.

Odrębność obyczajów bywa niezmiernie ważnym czynnikiem w różnicowaniu ludzi. W obyczajach jesteśmy tradycjonalistami, nawet gdy się tym obyczajom sprzeniewierzamy. Obyczaj niezgodny z naszym uderza nas i niepokoi. I nie jest istotne, czy jest to obyczaj obiektywnie bardzo ważny. Wiadomą jest rzeczą, jaką rolę w stosunku do obcego odegrała kuchnia tego obcego. W krajach anglosaskich Francuzi ciągle są ,,zjadaczami żab'' czy nawet po prostu ,,żabami''. Ten przysmak francuski — wybitnie niezgodny z obyczajami dietetycznymi innych narodów — wywoływał oburzenie i niesmak. Dla Polaków Niemiec jest nieraz ,,kiełbasiarzem'', a raczej był nim za dawnych idyllicznych czasów. Inna rzecz, że kiełbasa weszła do kuchni polskiej i zajęła w niej bardzo czcigodne miejsce. Bez końca można by przytaczać przykłady takich różnicowań na podstawie zwyczajów jedzeniowych. Dla Polaków czosnek stał się bez mała synonimem Żydów, jakkolwiek ta znakomita roślina jest spożywana na olbrzymich obszarach naszego globu Ale oczywiście nie momenty racjonalnej refleksji i obserwacji miały tu znaczenie. Istotne były pewne wzory tego, co jeść należy, i tego, czego jeść nie należy. Człowiek, który je to, czego jeść nie należy, jest od nas różny, nawet — jest nam obcy.

Ani na chwilę nie można powątpiewać o obiektywnym charakterze zróżnicowań kulturalnych. Są one faktem. Co więcej — bez względu na uniwersalność podobieństw — zróżnicowania te są wyjątkowo liczne i głębokie. Są wyjątkowo wszechstronne i różnorodne. To, że w olbrzymiej ilości wypadków reprezentują one wartości nie dające się zamknąć w ramach jakiegoś jedynego i specyficznego systemu, nie ma w prak-

tyce większego znaczenia. W każdej zbiorowości ludzkiej — narodowej, wyznaniowej, klasowej, lokalnej, zawodowej itd. — są one odczuwane jako coś swoistego i tylko danemu miejscu i danej tradycji właściwego. Rzecz jednak jest w tym, że te obiektywne zróżnicowania kulturowe nie koniecznie muszą być stosowane jako jasne, o sprecyzowanym zakresie treści, odpowiednio uszeregowane kryteria różnicowania innych ludzi. W bardzo wielu wypadkach obiektywnie istniejące różnice w ogóle nie są dostrzegane i nie są narzędziami kategoryzacji i klasyfikacji istot ludzkich i całych grup. Tak jest np. w wypadku szwajcarskiego zróżnicowania językowego. Niekiedy natomiast narzędziami takimi stają się różnice kulturowe bardzo — zdawałoby się — mało istotne, jak np. różnice w kuchni. W pewnych warunkach tak ważne obiektywne różnice jak wyznanie i język nie narzucają się uwadze ludzkiej, w innych — mają kolosalne znaczenie.

Mamy więc tu wyraźną paralelę ze sferą zróżnicowań antropologicznych czy ściśle zewnętrznych. Obiektywnie zachodzące różnice nie muszą być podstawą dla ich subiektywnego dostrzeżenia i ocenienia. Co więcej, i w dziedzinie zróżnicowań kulturowych dają się zauważyć te same postawy i reakcje, o których mówiliśmy w wypadku ,,passing'u''.

Odkrycie, że ktoś jest pochodzenia różnego od tego, które uważamy za nasze, prowadzi do przypisania temu komuś tych cech kulturowych, jakie odpowiadają naszemu stereotypowi kultury, do której on *powinien* należeć. Rzeczy te są doskonale znane w Polsce ze stosunków polsko-żydowskich czy polsko-ukraińskich itd. Muzyk Polak przypadkowo i ze zdumieniem dowiaduje się, że jego adorowana koleżanka jest pochodzenia żydowskiego. ,,Pani jest Żydówka? To Pani nie lubi Chopina, Pani lubi Antoniego Rubinsteina?'' — ,,Dlaczego?'' — pyta zdumiona pianistka. ,,Bo przecież Chopin jest obcy duszy żydowskiej''. Ta autentyczna rozmowa może być uznana za doskonały przykład klasyfikowania kulturowego na podstawie z góry przyjętego stereotypu i oczekiwania, że rzeczywistość musi z nim być zgodna. Do tej pory miliony Polaków wierzą, że tylko Polak może być dobrym wykonawcą Chopina. Wierzą w to ludzie, którzy Walca Chopina nie potrafią odróżnić od Walca Straussa! Są jednak przekonani, że tylko pianista Polak może ,,wczuć się'' w Chopina i dobrze go wykonać. Że w rzeczywistości nie koniecznie tak być musi — jest bez znaczenia. Rozmowa, o której przed chwilą wspomnieliśmy, pokazuje nam mechanizm takiego rozumowania. Odkrycie, że X jest pochodzenia, z którym w umyśle moim jest związany określony schemat kulturowy, sprawia, że od razu umieszczę X-a w ramach tego schematu i oczekuję od X-a, iż zachowa się tak, jak reguły schematu tego wymagają. To, że w danym wypadku X uwielbia Chopina, że go doskonale wykonywuje, jest bez znaczenia. X *powinien* nie móc odczuwać Chopina.

Na każdym kroku, we wszystkich epokach, krajach, cywilizacjach możemy się spotykać z podobnymi ocenami i zachowaniami się. Jedna z moich amerykańskich znajomych doznała prawdziwego wstrząsu psychicznego, gdy spotkała się z polskimi intelektualistami. W tym zakątku Stanów Zjednoczonych, z którego pochodziła, poza garścią robotników kolejowych nie było innych Polaków. Obraz intelektualisty całkowicie nie mieścił się w ramach obrazu Polaka, jaki zawdzięczała zarówno swym własnym dotychczasowym doświadczeniom jak i miejscowym tradycjom. Znajoma moja — sama intelektualistka i wyćwiczona w myśleniu naukowym — szybko potrafiła przejść do porządku dziennego nad stereotypowym obrazem Polaka, jaki wyniosła ze swego rodzinnego miasteczka. Wymagało to jednak pewnego wysiłku z jej strony. Ale ludzi z jej inteligencją i przygotowaniem naukowym nigdzie nie jest zbyt wielu. Najczęściej też tradycyjny stereotyp — z reguły bardzo silnie emocjonalnie zabarwiony — nie ulega zachwianiu i nowospotkany, bez względu na jego obiektywne właściwości, jest definiowany zgodnie z uznanym schematem.

V

Nie każdy, kogo uważamy za różnego od nas, jest przez nas definiowany jako obcy. Ale określając kogoś jako obcego, tym samym stwierdzamy, że jest on od nas różny. Obcość implikuje różność.

,,My i Wy'', ,,My i Oni'', ,,Nasi i Wasi'', ,,Swoi i Obcy'' — przez całą ludzkość przechodzi ten podział i zawsze przechodził. Pod jego kątem w życiu codziennym, w naszych filozofiach i teoriach historycznych czy socjologicznych klasyfikujemy ludzi, z którymi stykamy się bezpośrednio czy pośrednio, o których słyszeliśmy, i o których myślimy. Podział ten jest zasadniczy dla wszystkich cywilizacji, dla wszystkich etapów historycznych.

,,Obcy'' nie są ,,swojakami''. Nasz stosunek do nich nie zawsze musi być wyraźnie antagonistyczny. Może być neutralny, może być zabarwiony życzliwie. W pewnych wypadkach może być nawet życzliwy. Nigdy jednak nie jest on nacechowany tą intymnością, bliskością czy ufnością, jaką nacechowany jest nasz stosunek do ,,swoich''. Zawsze jest tu jakiś dystans, najczęściej połączony z dozą nieufności. W każdym wypadku kategoryzacja jest stanowcza: obcy nie jest swoim.

Jednakże jeżeli od tej ogólnej kategoryzacji przejdziemy do konkretnych postaw i zachowań się ludzkich, to okaże się, że sprawa nie jest tak prosta. W praktyce podział na swoich i obcych nie jest czymś sztywnym ani jednoznacznym. I im bardziej od ogólnych teorii przechodzimy do konkretnych fak-

tów życia, tym mocniej uderza nas płynność i wieloznaczność tej zasadniczej kategoryzacji.

Różnym jest się pod jakimś względem czy ze względu na coś. Tak samo i obcym. Obcym jest się ze względu na coś, i to coś jest zawsze podstawą naszej definicji obcego. Obcym jest nie nasz krewny, obcym jest człowiek innej narodowości, innego wyznania, innej grupy zawodowej czy zabawowej. Obcym jest mieszkaniec innej miejscowości, innego domu czy innej ulicy. Jest niezliczona ilość okoliczności, które mogą służyć nam za podstawę do wykreślenia linii ,,My i Oni'', do definiowania naszych bliźnich jako obcych. Zawsze tu wchodzi w grę element negatywny : obcy jest ten, kto nie jest taki jak my; czy też — obcy jest taki, jakim my nie jesteśmy.

Zauważmy jednak, że takie określenie obcego jako kogoś, kto nie jest taki jak my, nie opiera się na jakimś stałym i niezmiennym systemie kryteriów. Obcym jest zawsze ktoś, kto jest od nas różny ze względu na jakieś cechy, które przypisujemy sobie i swoim. Co więcej, cechy te nie są czymś danym raz i na zawsze, ale ulegają stałym przemianom.

W izolowanym osiedlu obcym bywa każdy, kto przybywa z zewnątrz, kto się tu nie urodził, czy też nie ma tu bliskich i licznych krewnych. Taki przybysz nawet po całych dziesięcioleciach przebywania w tym samym miejscu będzie wciąż uważany za ,,obcego'', będzie traktowany z pewną rezerwą i nieufnie. Nieraz aż do końca długiego życia będzie uważany za tego, który ,,nie przynależy''. Człowiek ten, poza tym że nie jest ,,miejscowy'' — ani językiem, ani religią, ani obyczajem, wyglądem, przekonaniami, całą kulturą nie musi się różnić od reszty otoczenia. Nie przestanie jednak być obcym. Brakuje mu cechy, która w przekonaniu tubylców jest zasadnicza : nie jest człowiekiem miejscowym.

Ale w każdej zbiorowości ludzkiej — nie koniecznie terytorialnej i nie koniecznie izolowanej — obcym może być każdy, kto nie jest ,,miejscowym''. Dla zabawowej bandy wyrostków obcymi są dzieci z sąsiedniej ulicy, nawet — z sąsiedniego domu. Obcym jest każdy, kto nie należy do stowarzyszenia czy zespołu towarzyskiego, w których uczestniczę, do szkoły, w której się uczę albo w której nauczam. Obcym jest każdy, kogo osobiście nie znam lub znam bardzo słabo. W naszych codziennych stosunkach międzyludzkich bez przerwy i w najrozmaitszych sytuacjach i kombinacjach definiujemy ludzi jako obcych lub swoich.

Cały szereg niezmiernie doniosłych instytucji społecznych i prawnych polega na rytuale ,,uswojszczania'' obcych, na wprowadzeniu ich do naszego zespołu. Inicjacje w tzw. cywilizacjach piewrotnych, chrzest i bierzmowanie w życiu religijnym, rytuał ,,wtajemniczenia'' w masonerii, procedura nadawania nowego obywatelstwa w przypadku naturalizacji, przyjęcie, jakie w wielu miejscowościach Ameryki nowy przybysz obowiązany jest urządzić dla swych sąsiadów — oto kilka przygodnie do-

branych przykładów powszechnie obowiązujących rytuałów ,,uswojszczania''. Rytuały te występują w najróżnorodniejszych sytuacjach, we wszystkich cywilizacjach, we wszelkich formach obrzędowych. Zanik ich w jakimś zespole świadczy o słabnięciu więzi zespołowej i o dużej przypadkowości w stosunkach międzyludzkich.

Stale też i wszędzie obcym jest się *ze względu na coś.* I stąd ktoś jest dla mnie obcym w jednym układzie stosunków a może przestać być obcym w innym układzie stosunków. Mieszkaniec innej dzielnicy tego miasta może być dla mnie obcym, gdyż nie jest moim sąsiadem. Ale jest zarazem swoim, gdyż jest moim bratem, przyjacielem, członkiem zespołu towarzyskiego, w którym uczestniczę. Stale i zawsze odnosimy się do innych ludzi jako do tych, którzy *jednocześnie* są obcymi i swoimi. X może być dla mnie najbliższym człowiekiem, ale może być równocześnie obcym i intruzem na terenie moich spraw zawodowych czy rodzinnych. Właśnie od dobrego przyjaciela oczekuje się, by nie narzucał mi się w sprawach, które się nie tyczą ani jego ani naszej przyjaźni.

Prowadzi to do ocen i postaw wybitnie ambiwalentnych, co w pewnych konkretnych sytuacjach może mieć kolosalne znaczenie społeczne. Dla białego plantatora na Południu Stanów Zjednoczonych jego Murzyn-niewolnik był zarazem obcym i swoim. Był obcym jako Murzyn, jako człowiek pogardzanej rasy, jako niewolnik; był swoim jako cząstka życia plantatora, jako jego własność, jego człowiek zaufany, nawet — przyjaciel, jako składnik jego systemu wartości. Wypadki intymności i serdeczności pomiędzy białym panem a czarnym niewolnikiem nie były osobliwym w stanach południowych. Dla polskiego szlachcica jego chłop pańszczyźniany mógł być ,,chamem'', od którego dzieliła go cała przepaść, ale jednocześnie mógł być człowiekiem bardzo bliskim, tak bliskim, że żadna przepaść tu nie istniała. W każdym wypadku decydowała płaszczyzna spotkań się dwu tych ludzi. Na jednej płaszczyźnie byli oni obcy, na drugiej — swoi i bliscy. A istnieje niezliczona ilość płaszczyzn, na których odbywają się nasze spotkania z bliźnimi.

Uwagi te są bardzo ważne, gdyż — jak dalej wypadnie nam o tym mówić szczegółowo — typ stosunków ,,swoi-obcy'' miał zasadnicze znaczenie dla sytuacji Żydów w Polsce. Byli oni ,,obcymi'' na jednej płaszczyźnie, ,,swoimi'' — na drugiej. Mieściło się to w obrębie powszechnie i we wszystkich cywilizacjach obowiązujących systemów ocen i odczuwań.

Dodajmy dalej, że ,,obcość'' i ,,swojskość'' są kategoriami historycznymi. Były czasy, kiedy dla mieszkańców Wenecji Genueńczyk był nie tylko obcym, ale i śmiertelnym wrogiem. W Niemczech, we Włoszech, we wszystkich krajach o potężnie rozwiniętym partykularyzmie dynastycznym, politycznym czy po prostu obyczajowym — pełno było obcych i ,,odwiecznych'' wrogów. Z czasem rzeczy te ulegały zmianie i dziś jest rzeczą

więcej niż wątpliwą, aby Wenecjanin i Genueńczyk reagowali na siebie tak, jak ich dalecy przodkowie.

Z drugiej jednak strony w wyniku takich czy innych okoliczności może powstawać uczucie obcości i wrogości tam, gdzie go dawniej nie było lub gdzie było ono bardzo słabe. Walki klasowe wieku XIX były wyrazem wytwarzania się nowych uczuć wrogości do obcych, a i uczuć obcości w ogóle, nieznanych w świecie stosunków patriarchalno-patronackich. Zorganizowany robotnik i przedsiębiorca stali się sobie obcymi w stopniu nieznanym społeczności i majstrów i czeladników.

Ta obcość może występować czy wzmagać się nawet w wypadkach, gdy tzw. obiektywne różnice ulegają znacznemu zmniejszeniu. Nie ulega wątpliwości, że antagonizm między białymi i czarnymi na Południu Stanów Zjednoczonych wzmógł się znacznie po emancypacji, choć obiektywne kulturalne i społeczne różnice między obu grupami zaczynały się zmniejszać. I nie ulega wątpliwości, że w Polsce — a i poza Polską — antysemityzm wybuchł szczególną mocą w epoce, w której Żydzi zaczynali się całkowicie upodobniać do swego otoczenia. Oczywiście te fakty obiektywne są bez znaczenia dla masowo tworzonych wtedy racjonalizacji, które cały nacisk kładą na obcość grupy, będącej przedmiotem antagonizmu.

Wszystkie wymienione dotąd przykłady wskazują na to, że ,,obcość'' nie jest czymś stałym, raz i na zawsze zdefiniowanym, niezmiennym. Jest wyraźnie uwarunkowana społecznie i historycznie. Nie musi wynikać — i w rzeczywistości nie wynika — z dokładnego i wszechstronnego rozeznania istniejących faktów. Jako postawa wartościująca jest w swych ocenach wybitnie ambiwalentna. Ci sami ludzie mogą być dla nas swoimi i obcymi. Ludzie, którzy byli obcymi, mogą stać się swoimi, i odwrotnie — swoi mogą stać się obcymi. Słowem — choć niezawsze z tego zdajemy sobie sprawę — nasze kryteria obcości i swojskości ulegają stałym przemianom. W ciągu stuleci i w ciągu minut. Albowiem w zależności od okoliczności są rozmaicie stosowane.

Kategorie ,,swojskości'' i ,,obcości'' należą do świata wartości kulturalnych. Oceniamy ludzi jako ,,swoich'' czy ,,obcych'' ze względu na pewne systemy wartości, którymi żyjemy. Swoim jest ten, kogo umieszczamy w obrębie tych systemów, czy któregoś z nich, jest ten, kto tam ,,przynależy''; obcym — każdy, kto w naszym przekonaniu tam ,,nie przynależy''. Momenty obiektywnej obserwacji i refleksji, obiektywnej oceny mają tu minimalne znaczenie, lub w ogóle go nie mają. Decydują nasze subiektywne sądy, z reguły zresztą społecznie i historycznie uwarunkowane.

Całe nasze życie, nasze zachowanie się, działanie, myślenie, odczuwanie, są wyznaczone przez te systemy wartości, które przyjmujemy jako własne. Są one uwarunkowane społecznie i historycznie: zostały nam przekazane przez tradycje wychowawcze, wynikają z uczestnictwa naszego w różnych gru-

pach społecznych i ich dążeniach. A że człowiek — zwłaszcza dzisiejszy — jest współuczestnikiem całej mnogości grup społecznych, przeto krzyżują się w nim różnorodne systemy wartości.

Nie zawsze są one ze sobą zharmonizowane. W cywilizacjach współczesnych jest to raczej zjawiskiem wyjątkowym. Żyjemy w świecie pełnym konfliktów, w świecie wielostronnego rozdwojenia, i to ma swoje odbicie w konfliktach między systemami wartości w każdym z nas. I to też pociąga za sobą wzmożoną ambiwalentność naszych postaw i ocen.

Te systemy wartości mają wyznaczające znaczenie dla naszego ustosunkowania się do innych ludzi. W ocenach naszych ludzie ci mogą się mieścić w obrębie systemów wartości, które uważamy za własne, i wtedy są ,,swoimi'', lub mogą się nie mieścić i wtedy stają się dla nas ,,obcymi''. Ale że przyjmujemy różne systemy wartości, że rzadko potrafimy je zharmonizować, że najczęściej sami z tej racji jesteśmy w stanie wewnętrznego konfliktu, przeto ci sami ludzie mogą być dla nas zarówno ,,obcymi'' jak i ,,swoimi''. Wszystko to zależeć będzie od płaszczyzny naszego zetknięcia się z nimi, od tego, jakie wartości wyznaczają tę płaszczyznę i całe nasze zachowanie się. Biały wobec czarnego, nie-Żyd wobec Żyda, Francuz wobec Niemca, członek klubu wobec nie-członka, sąsiad wobec nie-sąsiada itd. w nieskończoność — wszystko to może oznaczać zupełnie różne typy odczuwania i oceniania w zależności od rodzaju styczności społecznej, jaka tu może mieć miejsce. Człowiek, którego ze względu na pewne sytuacje i związane z nimi wartościowania uważam za obcego, może stać się swoim, gdy znajdę się z nim w sytuacji innej, wymagającej innych wartościowań.

Bez końca trzeba powtarzać, że ,,swojskość'' i ,,obcość'' są kategoriami psychosocjalnymi, że są uwarunkowane historycznie, że są wynikiem przekształcających się doświadczeń zbiorowych, że nie są czymś absolutnym i istniejącym niezależnie od naszych odczuwań. Mogą być one przez nas odczuwane bardzo silnie, nie wynika stąd jednak, by musiały mieć swe uzasadnienie w faktach niezależnych od naszej świadomości. Swoim jest ten, którego dla takich a nie innych względów uważamy za swojego. I obcym jest ten, którego dla takich a nie innych względów uważamy za obcego. Te oceny nasze stale ulegają zmianom i — co więcej — mogą współistnieć w zależności od płaszczyzny naszych zetknięć się z innymi.

VI

,,Swój'' i ,,obcy'' są wypełnione treściami emocjonalnymi. Nasz uczuciowy stosunek do swojaka jest bardzo różny od naszego stosunku uczuciowego do obcego. Odnosimy się życzliwie

do pierwszego, nieufnie czy wrogo do drugiego. Stwierdzenie, że ktoś jest obcym, wywołuje w nas skalę uczuć od chłodnej obojętności do gorącego antagonizmu.

Sam fakt, że ktoś jest dla nas obcym, nie oznacza jeszcze, byśmy go mieli odczuwać antagonistycznie. Jeżeli jednak stosunek nasz do kogoś jest nacechowany antagonizmem, to nie ulega wątpliwości, że tego kogoś odczuwamy jako obcego. We wszystkich postawach antagonistycznych element obcości ma zasadnicze znaczenie.

Zagadnienie antagonizmu do obcych należy do najlepiej opracowanych we współczesnej literaturze socjologicznej i historycznej. I nic dziwnego. Antagonizm do obcych był od zarania dziejów jednym z najpotężniejszych motorów historii człowieka. A w epoce naszej, w epoce wielkich konfliktów narodowych i klasowych, zagadnienie to specjalnie zaciążyło nad całym życiem ludzkości. Musiano mu więc poświęcić szczególnie dużo uwagi i pracy. W Polsce prace Znanieckiego i Chałasińskiego wniosły tu wiele cennego. W Ameryce badanie konfliktów międzyrasowych zebrało skarbnicę materiałów i dociekań o kolosalnej wartości.

Nie możemy tu szczegółowo omawiać wyników tych badań i rozważań. Możemy jedynie w formie jak najbardziej ogólnikowej podkreślić zasadnicze ich momenty.

Antagonizm do obcego jest uwarunkowany przez przeświadczenie, że obcy ten reprezentuje wartości, które są zaprzeczeniem naszych wartości, są dla nich groźne, a więc tym samym i dla nas groźne. Obcy jest tu symbolem niebezpieczeństwa. Obcy ponadto może być traktowany jako przyczyna czy źródło naszych niepowodzeń. Skoro bowiem reprezentuje on coś, co jest dla nas groźne, przeto faktycznie nam grozi i szkodzi, tym samym stając się odpowiedzialnym za nasze porażki. Jest rzeczą obojętną, że źródła naszych niepowodzeń mogą być gdzie indziej. Obiektywne przyczyny tych niepowodzeń mogą być bardzo różnorodne i bardzo skomplikowane. Mogą być nam nieznane lub tylko częściowo znane. Wiemy jednak, że istnieją. W ,,obcym'' polaryzuje się to wszystko, w czym chcemy widzieć źródła naszych nieszczęść. ,,Obcy'' staje się wtedy owym ,,kozłem ofiarnym'', tym, który personifikuje źródła naszych niepowodzeń, jest za nie odpowiedzialny i z tej racji powinien ponieść karę. W każdej mitologii narodowej spotykamy się z taką koncepcją ,,obcego'', w praktyce najczęściej sprowadzaną do konkretnego obcego. Roman Dmowski uporczywie dowodził, że za nieszczęścia Polski i odpowiedzialność ponoszą Niemcy i Żydzi. Z czasem w koncepcji Dmowskiego Żydzi wyparli Niemców. Każdy naród miał zresztą swoich Dmowskich i takie koncepcje. Zmieniała się tylko osoba ,,obcego''. Katkow z całym przekonaniem głosił, że źródłem nieszczęść Rosji są Polacy i ich złośliwe intrygi.

Obcy wśród nas jest intruzem. Wdziera się on w nasze życie, wnosi jakieś wartości, które są niezgodne z naszymi

wartościami, są ich zaprzeczeniem i z tej racji są dla naszego życia groźne. Trudno nam ścierpieć obcego w naszym gronie, gdyż jest on tu czynnikiem dysharmonii, zamętu. Jeżeli zaś — jak to w szczególnym stopniu ma miejsce w naszej cywilizacji — sami w obrębie przez nas uznawanych wartości jesteśmy w stanie dysharmonii i zamętu, to obcy staje się tym bardziej groźnym i niepokojącym. Środowisko bardzo zwarte, mocno ustabilizowane, jeżeli odrzuca obcego, nigdy nie traktuje go tak histerycznie, jak środowiska wewnętrznie skłócone i niepewne swych wartości. Nie było rzeczą przypadkową, że nasza epoka znalazła się pod znakiem najbardziej dramatycznych i fanatycznych przejawów nienawiści do obcych. Jest to epoka straszliwych schorzeń społecznych i kulturalnych. Rozwój antysemityzmu i formy, jakie antysemityzm przybrał w wielu krajach europejskich, były to symptomy głębokich schorzeń całych zbiorowości ludzkich i całej cywilizacji.

Antagonizm do obcego był zawsze wielkim motorem historii. Zmieniało się jedynie jego napięcie, zmieniały się jego formy. W epokach wielkich schorzeń socjopsychicznych zjawiska wyobcowania, rodzenia się nowych antagonizmów, zaostrzania dawnych, brutalność form walki — wszystko to zaznaczało się szczególnie potężnie. Zbiorowości ludzkie w stanie głębokiego konfliktu wewnętrznego, niepewne swych własnych wartości, zaniepokojone swą słabością, z tym większą trwogą patrzały na tych, którzy mogą wnieść nowe wartości, zagrażające starym. Czy ci obcy rzeczywiście byli nosicielami jakichś wartości nowych i odmiennych — nad tym się nie zastanawiano. Wszędzie widziano obcych-wrogów, którzy rozkładali nasze życie.

Gunnar Myrdal, badając antagonizm do Czarnych w stanach południowych Ameryki, w sposób niezmiernie przekonywujący wykazał, iż antagonizm ten jest symptomem głębokiego kryzysu moralnego i społecznego, jaki stał się udziałem białej społeczności tej części Stanów Zjednoczonych. Zamiast też mówić o istnieniu tam ,,kwestii czarnej'', słuszniej byłoby mówić o istnieniu ,,kwestii białej''. Te uwagi Myrdala dadzą się odnieść do wszystkich innych krajów i cywilizacji. Antysemityzm więcej mówił o ,,kwestii'' polskiej, niemieckiej czy ukraińskiej, niż o żydowskiej. Żydzi — sami zresztą będąc społecznością schorzałą — byli tu okolicznością raczej przypadkową i zewnętrzną. Jakiś antagonizm do jakiegoś obcego musiałby się tu wytworzyć nawet gdyby Żydów w ogóle nie było. Miejsce Żydów w innych wypadkach z podobnym skutkiem zajmowali Ormianie i Parsowie, katolicy i protestanci, Chińczycy, metysi wszelkiego rodzaju itd. w nieskończoność. W epoce Katkowa w Rosji podobna rola była przydzielona Polakom. Inna rzecz, że w każdym z tych wypadków wybór obcego-wroga nie był sprawą czystego przypadku. Grupa, która była przedmiotem antagonizmu, zajmowała określoną pozycję społeczną, wykonywała określone funkcje, co stwarzało korzystne

warunki dla antagonistycznego ustosunkowania się do niej i dawało wygodną podstawę dla racjonalizacji. Nie wynika stąd jednak, by ten wybór wroga opierał się na rzeczowych, logicznych przesłankach i był wynikiem trzeźwej obserwacji. Jak w całej sprawie oceniania obcości, tak i w antagonizmie do obcych, momenty obiektywne i momenty racjonalne nie mają istotnego znaczenia. Obcy, którego uważamy za wroga, nie koniecznie obiektywnie rzecz biorąc jest obcym i jest wrogiem. W stanach południowych wrogość do czarnych wzmogła się w okresie, gdy Murzyni coraz bardziej upodobniali się do białych, gdy całkowicie przejęli ich wartości i dążenia. Im bardziej Murzyn stawał się Amerykaninem, tym bardziej przez białych Południowców był odczuwany jako obcy i wróg. W stopniu nie mniejszym to samo da się powiedzieć i o Żydach. Antysemityzm przybrał najostrzejsze formy, gdy upodobnienie się Żydów do nie-Żydów stało się faktem obiektywnie nie mogącym budzić wątpliwości.

Ale nie jesteśmy tu w świecie, w którym obowiązują reguły naukowego myślenia. Jesteśmy w świecie wartości, odczuwań, definicji, opartych na emocjach. Jesteśmy w świecie człowieka. Człowiek zaś przy swym ciągłym dążeniu do racjonalizowania swych odczuwań i działań nie przestaje być istotą nieracjonalną.

Wyraża się to i w ambiwalentności naszych postaw w antagonizmie do obcego-wroga. To, cośmy przedtem mówili o wielopłaszczyznowości w naszych ocenach ludzi jako obcych, w takim samym stopniu odnosi się i do postaw antagonistycznych. Ten sam biały Południowiec, który w jednej sytuacji odnosi się wrogo do czarnego, w innej odniesie się do niego z całą życzliwością. Anegdotka o polskim dziedzicu, który nienawidził wszystkich Żydów z wyjątkiem swego faktora, adwokata, lekarza, bankiera itd., ilustruje pokrewne zjawiska w obrębie stosunków polsko-żydowskich. Oczywiście polaryzacja nienawiści może pójść tak daleko, że nie zostawi miejsca ani dla takich wyjątków ani dla ambiwalentnego ustosunkowania się do tego samego człowieka. Ale nawet w wypadkach najbardziej posuniętych polaryzacji, w wypadkach najbardziej usystematyzowanej i bezkompromisowej nienawiści do obcego, można się było spotykać z przykładami ocen i zachowywań się ambiwalentnych, rzadko zresztą uświadamianych.

Znane są wypadki — niestety bardzo nieliczne — przekonanych hitlerowców, którzy bez wahania tępiąc Żydów czy Polaków, w pewnych sytuacjach, gdy chodziło o ludzi, których znali osobiście i dla których mieli jakąś dozę sympatii, wykazywali pomoc, nawet ich ratowali. W dziejach wszystkich najbardziej fanatycznych antagonizmów narodowościowych, wyznaniowych czy klasowych można spotkać się z przykładami podobnej dwoistości odczuwania i zachowania się. Antysemici, robiący wyjątki dla pewnych Żydów, biali Południowcy, z całą sympatią odnoszący się do ,,swoich'' Murzynów, Turcy, pomagający pewnym Ormianom, protestanci angielscy w XVII

wieku, ratujący pewnych katolików — przykładów takich można znaleźć ilość nieskończoną we wszystkich krajach, cywilizacjach i epokach. Człowiek nieraz odczuwał życzliwość do tych, których w zasadzie uważał za śmiertelnych wrogów i chciał zniszczyć.

VII

Wszystkie te rozważania — bardzo ogólne i raczej teoretyczne — mają podstawowe znaczenie dla naszego zagadnienia: roli Żydów w kulturze polskiej. Od odczuwania Żydów przez nie-Żydów jako ,,różnych'' aż do odczuwania ich jako ,,obcych'' i ,,wrogów'' szła gama postaw i ocen, które wyznaczały klimat sprawy żydowskiej w Polsce. Klimat ten ulegał zmianom. Były okresy, w których przeważało odczuwanie ,,różności'', i były okresy, które stały pod znakiem ,,obcości'' i ,,wrogości''. A i w tych samych epokach oceny te krzyżowały się ze sobą, prowadząc do postaw ambiwalentnych i alogicznych. I wreszcie — jak o tym z czasem wypadnie nam pomówić — we wszystkich tych epokach postawy te i oceny mieszały się z innymi, w których dominowało odczuwanie ,,swojskości'' Żydów.

Zawsze jednak momenty poznawczo-racjonalne zajmowały miejsce bardzo podrzędne. I ci, którzy — jak Staszic — oskarżali Żydów o rozpijanie chłopów, i ci, którzy obwiniali ich o lichwę, i ci wreszcie, którzy w ich zasadach moralnych widzieli śmiertelne niebezpieczeństwo dla ogółu — wszyscy oni nie zastanawiali się zbytnio nad obiektywnymi warunkami, wśród których pewne właściwości Żydów mogły czy musiały się wytworzyć. Nie badano nawet, czy i w jakim stopniu zarzuty te mają oparcie w obiektywnych faktach. Zdumiewającym wyjątkiem był tu Wawrzyniec Surowiecki. Współczesny Staszicowi, Surowiecki, jak nikt przed nim i mało kto po nim, rozumiał sens obiektywnych funkcji gospodarczych i społecznych, wykonywanych przez Żydów polskich, i wnikliwie przeanalizował warunki ich życia. Ale wpływ Surowieckiego na współczesnych nie był wielki i z czasem wybitny ten myśliciel uległ całkowitemu zapomnieniu. Dopiero zupełnie niedawno Aleksander Gella w pięknej monografii wskrzesił Surowieckiego i przekonywująco udowodnił, że była to postać bardzo dużej miary. Do poglądów Surowieckiego wypadnie nam zresztą jeszcze kiedyś powrócić.

Ale Surowiecki był postacią wyjątkową i szybko zapomnianą. Obowiązywały natomiast stereotypy. Dopiero na niewiele lat przed wybuchem drugiej wojny światowej rzeczowe badania wykazały, że lichwa żydowska była znacznie mniej uciążliwa od lichwy nieżydowskiej, że na wsi polskiej największymi ,,pijawkami'' byli zamożni chłopi i że w kraju tak biednym i zacofa-

nym, jak Polska, kredyt musiał mieć cechy lichwiarskie, to jest musiał być bardzo drogi.

Ani polski antysemityzm ani polski filosemityzm nie były — a i być nie mogły — zwartymi systemami, wolnymi od sprzeczności logicznych i opartymi na rzetelnym poznaniu. Były racjonalizacjami pewnych emocji, odczuwań, ocen. Nie mniej jednak antysemityzm i filosemityzm — choć ten ostatni w wieku XX nie był zjawiskiem częstym — same przez się były faktami i miały kolosalny wpływ na całokształt życia ludzkiego. Nie można powiedzieć, aby w praktyce było rzeczą obojętną, czy ocenianie Żyda było owocem trzeźwej refleksji, opierającej się na wszechstronnym i gruntownym poznaniu rzeczywistości, czy też wynikało z emocji, do których dosztukowywano takie czy inne racjonalizacje. Obojętne to oczywiście nie było i być nie mogło. Istotny jednak był fakt, że pewne oceny i postawy istniały, że posługiwano się określonymi racjonalizacjami i że wszystko to pociągało za sobą wyraźne następstwa praktyczne. A następstwa te decydowały o klimacie całego zagadnienia, o tej tragicznej sprawie, która nosiła nazwę ,,kwestii żydowskiej''.

Dochodzimy w ten sposób do dalszych rozważań, teraz już natury bardziej konkretnej. Musimy rozpatrzyć te obiektywne warunki, wśród których w Polsce wytworzyła się ,,kwestia żydowska''. Będziemy tu mieli do czynienia ze sprawą wybitnie złożoną i o wielu aspektach. Za punkt wyjściowy posłuży nam tu sprawa izolowania się Żydów, ich wyłączania się od reszty społeczności polskiej. Chcąc jednak sprawę tę potraktować poważnie, musimy oprzeć ją na fakcie zasadniczym — że Żydzi w Polsce tworzyli kastę. Nie unikniemy przy tym pewnych rozważań zasadniczych na temat organizacji kastowej w ogóle.

Aleksander HERTZ

Zagubieni romantycy

PANEGIRYK — PAMFLET — PRÓBA NEKROLOGU?

Boże, strzeż nas od przyjaciół...
ZESPÓŁ „KULTURY"

Przed miesiącem prasę angielską obiegła wiadomość, że koncern prasowy Lorda Kemsley („The Kemsley Press") zostaje kupiony przez Kanadyjczyka, Thompsona, właściciela niezliczonej ilości dzienników i publikacyj w stanie Ontario, a także wielu dzienników prowincjonalnych w Wielkiej Brytanii, ze „Scotsman'em" na czele. Z tej okazji kilka pism angielskich umieściło popularne dzisiaj „Profiles" („Sylwetki") nowego potentata prasowego Zjednoczonego Królestwa. Te szkice zgodnie stwierdzały, że nowonabywca kilkudziesięciu periodyków, z wielkim, czcigodnym, wpływowym, dostojnym organem niedzielnym stronnictwa konserwatywnego, „Sunday Times'em" na czele, jest *selfmademan'*em, który jeszcze dwadzieścia lat temu nie miał grosza przy duszy. Autorzy tych biografii rozwodzili się szeroko nad niezwykłym wyczuciem businessu dzisiejszego magnata, nad jego *ruthlessness* (bezwzględnością) w ścinaniu kosztów, nad jego talentem dla wyżyłowania ostatniej uncji wydajności z pracowników, nade wszystko nad jego fantastycznym nosem dla wywąchania możliwości ekspansji i zarobku. Bez szyderstwa, przeciwnie z uznaniem, utalentowani, choć bezimienni autorzy notatek o Thompsonie, opowiadają, jak ich bohater nabył „Scotsmana", najważniejszy dziennik szkocki na świecie, wychodzący w Edynburgu i uchodzący za organ patriotyzmu szkockiego, nie na podstawie lektury tego organu, ale przejażdżki po szkockiej stolicy. Thompson miał zwrócić uwagę na rozległy plac czy teren, na którym znajdowały się lokale redakcji i wydawnictwa, u zbiegu dwóch głównych

ulic, i patrząc na te rudery miał zawołać: ,,Ależ sam teren jest więcej wart, niż wynosi cena całego ,,Scotsmana''. Tak więc kupno tego dziennika miało się przede wszystkim okazać świetnym *real estate deal*. Analogiczne względy miały również leżeć u podstaw kalkulacji, która doprowadziła do przejęcia wielomilionowego koncernu ,,Kemsley Press''. Stary Lord Kemsley, jeden z dwóch braci Berry (z których jeden został wicehrabią Camrose i właścicielem londyńskiego ,,Daily Telegraph'') miał nie doceniać wartości gruntów, znajdujących się w jego posiadaniu: podobno można dokonać bardzo owocnych transakcyj i zarobić liczne dodatkowe miliony, sprzedając, jako place, obecne lokale drukarni i redakcyj, a biura te przenosząc na dalsze i tańsze przedmieścia.

Autorzy felietonów, z których czerpię te informacje, dodają, jakby z pewnym zażenowaniem, że nowy właściciel jednego z największych imperiów prasowych w Anglii i na świecie, ,,polityką i redakcją swych licznych pism interesuje się raczej mało''. Swoje wielkie talenty, nowy ,,boss'' poświęca administracji, pozostawiając redaktorom raczej swobodę. Byle pisma szły — co w nich jest, wydaje mu się nieistotne. Choć osobiście raczej konserwatysta, Thompson ma uważać, że pismo powinno się dostosowywać do gustów czytelników: jeżeli ci wolą Labour, pismo powinno odzwierciadlać tendencje Partii Pracy. Choć tu i ówdzie można wyczuć odcień żalu, że nowy właściciel nie posiada wyraźniejszego oblicza partyjnego i politycznego, komentatorzy śpieszą złożyć hołd wielkiemu człowiekowi, dając wyraz głębokiej wierze, że pod nowymi rządami interesy dzienników będą jeszcze bardziej rozkwitać, współpracownicy otrzymają podwyżki, nakłady i rozmiary pism wzrosną.



Tak wygląda postęp, tak wygląda wiek XX-y. *Efficiency, ruthlessness*, zarobek, wysokie płace, perspektywy podwyżki dla współpracowników, większej ilości premii i nagród dla czytelników za rozwiązywanie konkursów, krzyżówek, rebusów. Cóż z tego, że dwadzieścia dzienników w Zjednoczonym Królestwie upodobni się do ,,Prairie Magazine'' w Manitobie, czy ,,Daily Messenger'' w Saskachevanie? Cóż z tego, że tysiące artykułów wstępnych ograniczy się znowuż do powtarzania jeszcze bardziej oklepanych frazesów, nieszkodliwych, bo bez żadnej treści. Nowy koncern Thompsona, (ex-Kemsleyowski) będzie żył, rozrastał się, wypłacał dywidendy, jego właściciel uświetni jakimś nowym tytułem Izbę Lordów, jego współpracownicy nabędą domy, meble i samochody, a czytelnicy przyzwyczają się do nowych *features*, i z poważnymi minami będą powtarzać przy *tea*, wśród przyjaciół, blade opinie swych organów, tak jakby je sami wymyślili, i jakby miały być ostatnim

wyrazem mądrości wieków. Tylko źli ludzie, tylko zwyrodniali *foreignerzy* mogą być *unhappy* wobec tak szczęśliwego obrotu wypadków.

◆

Należę do nielicznych, którym się wydaje, że dziennik — to nie jest *real estate,* to nie są talenty do businessu, to nie jest kwestia sprawnej administracji i sprężystej akwizycji ogłoszeń. Mimo wszystko wierzę, że prasa powinna być organem opinii, i że strona redakcyjna jest nierównie ważniejsza od aspektów finansowych. Wiem, że i na naszej emigracji światopogląd ,,baronów prasowych'' znajduje swych adeptów i wyznawców. I mnie obijają się o uszy pewne emigracyjne sprawy prasowe, które stanowią jakby mikroskopijny i znacznie mniej intratny, mniej też obiecujący konterfekt operacyj Beaverbrooków, Rothermerów, Kemsleyów, Thompsonów. Wolę się jednak odwracać od perspektywy dywidend i wysokich zarobków, i śledzić powstawanie tak zwanych *organes d'opinion.* Dochodów nie zapewnią. Kariery też nie. Ale kiedyś, jacyś historycy, przeglądając pożółkłe roczniki tych publikacyj, będą próbować znaleźć w nich klucz do zagadek historii, do krętych dróg ludzkiej myśli.

◆

Pamiętam jak dwanaście lat temu Jerzy Giedroyc zainstalował się na nowych śmieciach w Maisons Laffitte pod Paryżem. Pamiętam pierwszą kwaterę polową ,,Kultury'' : starą ruderę z wieżyczką, balkonem, tarasem, oszkloną werandą, cały zły gust XIX wieku, który, dzięki patynie starości, nabrał romantycznego uroku, wdzięku czasów, które odeszły. Dookoła stary, zapuszczony ogród, cienista aleja, pokrzywy, którymi porosły klomby i trawniki, sczerniałe murki, rozłożyste drzewa, gąszcz krzaków, cień zagajnika, opadające tynki przypominały polskie dwory, przenosiły odwiedzającego w przeszłość, w miniony i bezosobowy czas. Ten dom, ten park były wyzwaniem naszemu stuleciu, były jakby symbolem, że czas wolno zatrzymać : a jest to jedyna niemożliwość na tym naszym świecie. W domu, ubogim i próchniejącym, znajdowała się na prawo od wejścia biblioteka : i widok tych książek, pieczołowicie zebranych, ponumerowanych, pokatalogowanych, starannie odkurzonych, poukładanych na długich półkach aż po powałę — w tym domu, w którym nie było mebli, nie było opału, nie było nic — jeszcze zwiększał poczucie wyzwania światu, epoce, życiu, jeszcze pogłębiał wrażenie bezsensowności, jeszcze wyostrzał wrażenie zaczarowanego domostwa.

Mieszkańcy ,,Domu Kultury'' odpowiadali ramom, w których się znaleźli. Żaden z nich zapewne nie był człowiekiem

normalnym : wszyscy nigdy nie powinni byli znaleźć się pod jednym dachem, a znalazłszy się nie powinni byli nigdy pod nim wytrzymać. Jednych znałem dawno, innych wcale, sądziłem, że niektórych znałem dobrze, innych mniej. Złudzenia, złudzenia. Zawsze przypominają mi się mądre słowa Jasia Rostworowskiego w przeddzień jego zrzucenia w Polsce jako kuriera Londynu, z której to tragicznej misji nie miał nigdy powrócić. ,,Mój drogi, mówił mi ten niezwykle uroczy i inteligentny chłopak, najinteligentniejszy z tak utalentowanej rodziny Rostworowskich — i mówił to *à propos* kogoś zupełnie innego — mój drogi, im dłużej żyjemy, tym bardziej zdajemy sobie sprawę, że nie znamy nikogo, że najbliżsi są dla nas jedną wieczną niespodzianką !''



Przez lata współpracowałem z pismami Giedroycia, z ,,Buntem Młodych'' potem z ,,Polityką''. Miałem z Giedroyciem dobre, nawet przyjazne stosunki, ale, by użyć zwrotu, który dzisiaj brzmi trochę staroświecko i pretensjonalnie, *il n'y avait pas entre nous d'atômes crochus*. Dla mnie przez całe życie dobrobyt, wzrost bogactwa były miernikiem mych zainteresowań : pasji Giedroycia dla sprawy ukraińskiej, jego wiary w ,,młodych'', jego namiętnego poszukiwania nowych talentów, jego zeza na lewo, jego feblika dla ,,postępowego'' frazesu nigdy nie dzieliłem. Ani jego roli politycznej, ani jego poglądów nigdy nie traktowałem bardzo na serio. Byłem tylko o parę lat od niego starszy. Ale, wychowany jako benjaminek zmurszałych, wymierających Stańczyków krakowskiego ,,Czasu'', miałem jakieś dziwne przeświadczenie, że tylko ludzie starsi ode mnie są naprawdę ,,poważni'', że tylko oni się liczą. Na Matuszewskim kończyło się pokolenie, w którym upatrywałem przywódców i przełożonych. Wobec Giedroycia miałem stosunek przyjazny, ale pobłażliwy. Wydawał mi się miłym, zapalonym studencikiem.



Wojna nas rozdzieliła, tylko bardzo z rzadka i bardzo z daleka dochodziły mnie jakieś stłumione echa działalności Giedroycia z Bukaresztu i z Tobruku, z Iraku i z Włoch. Były to wieści równie nierealne, jak echa z zaświata. Aż kiedyś już pod sam koniec wojny zjawił się w Londynie przystojny, elegancki porucznik, troszeczkę tylko przyprószony siwizną, zawsze zabiegany, zaaferowany, konferujący, zalatany. Wydał mi się obcy, daleki. Zrozumiałem, że by się z tym nieznajomym zapoznać, by z nim jakiś kontakt nawiązać, trzeba będzie dużego wysiłku : i w nastroju beznadziejności roku 1945, na ten wysiłek nie miałem ani sił, ani ochoty.

◆

Więc dopiero w tej cienistej, opuszczonej sadybie na Laffficie ten kontakt się odnowił, ożywił, prawie zacieśnił: nigdy zbyt intymnie, bo Giedroyc jest z natury samotnikiem, dzisiaj bardziej niż dawniej. *C'est un homme qui ne veut pas se livrer,* a może nie potrafi. Ze zdziwieniem skonstatowałem, jak pewien zaciekły upór stał się dominantą jego charakteru. Może był taki zawsze. Może dawniej swój egocentryzm maskował smutnym uśmiechem wielkich oczu zza rzęs wschodniego królewicza z bajki. Teraz cały Giedroyc stał się bardziej suchy, surowy, ponury, posępny. Stał się człowiekiem idei, a może obsesji. Jakiej?

◆

Nie, to nie była obsesja kariery, ani tym bardziej stworzenia imperium prasowego. Myślę, że Giedroyc wywodzi się z rasy polskich ideologów. Ci wyrośli na podłożu romantyzmu: wierzyli, że żarem wewnętrznym, że nabrzmieniem woli, że skoncentrowaniem wysiłków, że natężeniem patriotyzmu, szlachetnością wyrzeczeń można bieg wypadków zmienić, można je nagiąć do własnych ideałów. Pozytywizmowi ci ludzie tylko słowne składali hołdy, nie wierząc ani w wymowę faktów, ani tym bardziej cyfr, ani w przemożne znaczenie czynników materialnych. Zestrzelmy nasze wole, nasze zapały, ramię przy ramieniu, jeden za wszystkich, zawsze pełni zapału, zawsze pełni ofiarności — wołali — a możemy odnieść zwycięstwo.

◆

Gdyby mi powiedziano w 1939 roku, że po dwudziestu latach Giedroyc będzie tym z moich rówieśników, który potrafi stworzyć sobie własny organ, własną platformę, własne środki egzystencji, uniezależnić się od koniunktury, od czynników politycznych, nigdy bym w te przepowiednie nie uwierzył. Tylu innych wydawało mi się zdolniejszych, o większych talentach realizatorskich. Dzisiaj jeszcze patrzę na rezultaty jego wysiłków z niedowierzaniem, raczej niż z podziwem. Jak on to zrobił? Jak to się stało? St. Mackiewicz, doświadczony redaktor i znakomity publicysta, nie potrafił pisma utrzymać, a roczniki „Lwowa i Wilna", które ukazywały się czas jakiś po wojnie, nie przysparzają mu laurów. Wielkie stronnictwa nie potrafiły utrzymać swych publikacji. Pisma o dużych nakładach robią bokami, a poziom ich napełnia czytelników bardziej wybrednych zażenowaniem. W jaki sposób Giedroyc potrafił stworzyć sobie pozycję, stać się instytucją, nadać sobie indywidualne oblicze?

Od ideologów Giedroyc pożyczył przede wszystkim zawołanie: „Mierz siły na zamiary". Londyński „Dziennik Pol-

ski'' pragnie być pismem informacyjnym: gdy tylko poza te ramy wychodzi, jego próby kończą się mało fortunnie: aż zbyt często przegranymi procesami o zniesławienie. ,,Wiadomości'' są jakby rejestrem literackim, a w dziedzinie ideowej ograniczają się do odbicia nie tyle myśli, co przesądów przeciętnego emigracyjnego Polaka. Giedroyc wsiadł na wielkiego konia. Chce stworzyć pismo, które byłoby ,,ideologiczne''. Chce narzucić jakiś program. Jego pismo ma być sztandarem. Podczas gdy Grydzewski ogranicza się do prezentowania całego wachlarza ludzi pióra na emigracji, z leciuchnym tylko faworyzowaniem starych Skamandrytów czy też rzadkich, i dość zmiennych późniejszych faworytów (ongi Ksawery Pruszyński, później Zygmunt Nowakowski, Hemar, Lechoń, Wierzyński, Stroński, i Sakowski, dzisiaj Pandora, Big Ben, Silva Rerum, Jan Rostworowski), ,,Kultura'' stale wysuwa kogoś na świecznik, choć w ciągu dwunastu lat niejedną widzieliśmy w tym względzie woltę: jeden Józef Czapski utrzymał się w tej roli przodującej, podczas gdy Wraga, Wańkowicz po kolei ze szczytów spadali do krainy cieni. Bardziej stałą okazała się pozycja Hostowca-Stempowskiego, choć nigdy nie jarzyła się jak gwiazda pierwszej wielkości. Z biegiem lat Mieroszewski urósł do roli Wernyhory; Miłosz stał się wieszczem, a Gombrowicz sumieniem narodu. Giedroyc serwuje wszystkie te asy z przekonaniem, z impetem, z furią, z pasją: za każdym razem wymaga podziwu, respektu, nawet uczucia dla swoich ulubieńców. Nie toleruje ich negowania, nie znosi zastrzeżeń: prawdziwy czytelnik pisma ma ich nosić w sercu. Na swoich ulubieńców Giedroyc patrzy omalże z ojcowskim uczuciem dumy. W polityce francuskiej (przed-gaulleowskiej) istniał utarty zwrot *son poulain*, ,,źrebak'', co oznaczało wychowanka, protegowanego tego a takiego to polityka. Tak więc mówiono *c'est le poulain de Mendès-France, c'est le poulain de Bidault.* Giedroyc ma podobne reakcje. Nie są one dyktowane osobistą przyjaźnią. Są, na mój gust, irracjonalne.

◆

Co łączy tych koryfeuszów ,,Kultury''? Czy tylko przypadek? Czy tylko fakt, że niektórzy z nich znaleźli się wspólnie pod pręgierzem Katona naszej emigracji, niezłomnego rycerza Niezbrzyckiego? Czy też nazwiska kolejnych współpracowników ,,Kultury'' układają się w jakąś arabeskę, niezrozumiałą na pozór, ale jednak dającą się odczytać i odcyfrować uczonym specjalistom od hieroglifów?

◆

Są zapachy mocne, i są takie, których nie można określić. Te niuanse są łatwo uchwytne, gdy opierają się o zrąb fana-

tyzmu: łatwo je wyśledzić u Józefa Mackiewicza, który siebie uważa za jedynego człowieka na świecie walczącego z bolszewizmem, łatwo je zdefiniować u Wragi, który sądzi, że poza nim wszyscy są bezwiednymi narzędziami inspiracji bolszewickiej. Ale Giedroyc nie jest fanatykiem. Każe tylko wierzyć, nie tyle w siebie, ile w ,,Kulturę''. Jej linia może wydawać się zmienna, chaotyczna, zygzakowata. Wszystko jedno. Wyznawcy mają ją czytać nie jako pismo zajmujące, poddające pewne pewne tezy do rozważania, do przedyskutowania, ale jako swego rodzaju biblię. ,,Kultura'' ma kształtować umysły, formować poglądy, narzucać poglądy, stwarzać opinię.



Łatwo zdefiniować oblicze londyńskiego ,,Dziennika'': hurra-patriotyzm plus niezłomne giermkowanie Anglii, wierność ideologii ,,Wielkiego Marszałka'' i walka do upadłego z Sowietami. ,,Wiadomości'' zachowały jakiś posmaczek liberalizmu dziewiętnastowiecznego, plus ,,postawę narodową'', znajdującą wyraz w wojowniczym stanowisku wobec Anglii za Jałtę, Rosji za Katyń, Niemiec za Oświęcim, rządu w Warszawie za cenzurę. W tajemniczy sposób w swym redakcyjnym tyglu Grydzewski skojarzył swój dawny liberalizm z tradycją endecką i sanacyjną, w dozach bez mała *irréprochables*. Gdzie ,,Dziennik'' szarżuje dla maluczkich i prostaczków, tam ,,Wiadomości'' przychodzą z odwodem dla wybrednych i wyrafinowanych. Czego nie dokona Bregman brutalnym atakiem frontowym, tego dopnie Pragier swym wykwintnym floretem.



Ale ,,Kultura''? Ale misternie rozłożone kohorty Giedroycia? Zapewne, ma i on swoją starą husarię spod znaku Piłsudskiego. Sędziwy Sokolnicki potrafi zadąć w surmy beckowskie, z niezrównanym talentem wykazać, jak to cały świat mylił się i błądził, błąkał się w złudzeniach, oddawał się mamidłom, jeden natomiast Wielki Marszałek nieustannie wyczuwał rytm historii. Zapewne Kawałkowski nadal potrafi wywieść, ile de Gaulle zawdzięcza naukom mistrza z Sulejówka. Ale obok tych ariergardowych bojów ,,Kultura'' roi się od wkładów subtelniejszych: pełno w niej podczaszych, którzy sączą napoje bardziej wyrafinowane, o etykietach mniej przejrzystych, a więc bardziej upajających. Hostowiec, łacinnik niezrównany, Petroniusz naszej literatury, godny pozowania w balecie ,,Śmierć Narcyza'', propaguje sceptycyzm, sięgający dalej niż sama literatura. Miłosz nam każe wierzyć, że ,,lewicowość'' sama przez się jest równoznaczna z cnotą: w jej walkach, w jej szarpaninach, w jej błędach należy szukać drogi do Prawdy. Mieroszewski rozwija bez końca tezę: *pas d'ennemis à gauche!*

◆

Można by oczywiście napisać długi wywód na temat lewicowego werbalizmu, można by rozwodzić się na temat różnic, które *muszą* dzielić tych co wierzą w politykę czystą, a tych, co wyrośli na technokracji i ekonomii, a więc co w gruncie rzeczy uważają, tak jak i marksiści, że czynniki materialne kształtują świat. Można by wywodzić, że ta wzajemna *attirance* ekstremów kapitalizmu i marksizmu jest znacznie większa, niż między marksistami a odłamami radykalizującymi. Ale można podobne wywody snuć niemal z każdej innej okazji : i tak np. dla europejskiego lewicowca zmiana ustroju w Hiszpanii może wydawać się pilniejsza, niż dokonanie w tym kraju masowych inwestycyj : natomiast i przedstawiciele wielkich banków nowojorskich, i teoretycy komunizmu zgodnie będą Hiszpanom zalecać skoncentrowanie wszystkich sił na dokonaniu masowych, miliardowych wkładów. W Egipcie, nasz rodak, Józef Ruciński, dzisiaj dyrektor Banku Świata, daje Nasserowi rady wielce podobne do tych, których Moskwa udziela i Arabom i swym satelitom : radzi mu trzymać płace, ścinać konsumpcję a forsować inwestycje produkcyjne. Nawet w liberalnej Francji Pinay odrzuca koncepcje socjalistów i radykałów — nakręcanie ekspansji przez wzrost konsumpcji i wyższe płace — a zaleca ograniczanie płac, zwiększenie inwestycji. Myślę, że każdy, kto dobrze zna swą liberalną ekonomię, może znaleźć łatwo wspólny język z marksistą, łatwiej w każdym razie niż z tymi, którzy negują prymat zjawisk ekonomicznych. Za dawnych czasów przyjemniej mi się dyskutowało z Michałem Kaleckim, zawsze silnie prokomunistycznym, niż z Bobrowskim, Józefem Poniatowskim, czy ludowcami. Dzisiaj łatwiej mi rozmawiać z Ciołkoszem, niż z Bieleckim.

◆

Ale myślę, że lepiej będzie dać spokój tym sporom : musimy się pogodzić z myślą, że między szkołą ekonomii a szkołą polityki czystej nigdy prawdziwej symbiozy, prawdziwego zrozumienia być nie może. Pinay współpracuje z de Gaulle'm : po cichu ubolewa nad jego brakiem „muzykalności ekonomicznej", zapewne nieraz sobie powiada : *ce qu'il est bouché.* Erhard nie ukrywa, jak bardzo Adenauer go irytuje i drażni. W Anglii Churchill był zawsze *bête noire* Treasury. Wychowany na odmiennej formacji umysłowej, wiem że będę się zawsze gdzieś w jakimś punkcie różnił z poglądami Giedroycia. Ja mu się będę wydawał nudnym pedantem, z bzikiem na temat maltuzjanizmu, z brakiem wyczucia i szacunku dla impoderabiliów, dla różnic ideowych; mnie będzie się wydawał raz po raz mętny i wyzuty z realizmu. Nigdy żaden z nas drugiego nie przekona. Trzeba się z tym pogodzić i dać spokój sporom, które

nie mogą doprowadzić do uzgodnienia poglądów i stanowisk. Wracam więc do felietonu czy pastiszu: spróbuję bawić, nie tłumaczyć.



Czasy heroiczne ,,Kultury''. Przygarnięty przez Giedroycia, mieszkam w tej bibliotece, na dwa piętra wysokiej: śpię na polowym, żelaznym łóżku, przykrytym wojskowymi kocami: w środku stoi piecyk żelazny, dymiący, przedpotopowy, z długą rynną z blachy, która, kręcąc się i sztukując, dochodzi do okna i, opatulona starymi gazetami, przez nieszczelną szybę wyprowadza dym z pieca. Do tego żelaznego piecyka zgrabiałymi rękami znoszę z piwniczki drwa, i co godzina weń z trudem wciskam po jednym klocu, po małym bierwionie, po czym pogrzebaczem poruszam żużle, rozniecam zamierający płomień, aż nowe bierwiono się zajmie: co za radość, gdy wreszcie w tej zziębniętej skrzyni żelaznej znowu buchnie ogień! Po czym, w trzech sweterkach, w kusym płaszczyku, z kocem na nogach, skulony jak najbliżej piecyka, w kulawym krzesełku, czytam Prousta czy Beaudelaire'a. Kulturalny człowiek czy wariat? Zapewne to drugie!



Na dworze ziąb grudniowy: już o czwartej się ściemnia, od Atlantyku wieje zmarznięty podmuch, ale zawsze jakby z podszewką nadchodzącej odwilży, z zapaszkiem wiosny. Po ulicach Laffitte'a szybko przebiegają ludzkie cienie, załatwiające ostatnie dzienne sprawy przed udaniem się na spoczynek: 50 *frs de crême, cent grammes de beurre, une baguette, du rouge à* 12 *degrès,* cała Francja. Są dzieci, przedwcześnie poważne, o głosikach ostrych, śpiczastych (*pointus*), już rozróżniające gatunki sera, wartość mięsa, ostrość przyprawy. Drobne, mniejsze, jak w Niemczech czy w Anglii, o oczach zamyślonych, jakby uginające się pod zbyt wielkim dziedzictwem. Piękniejsze są włoskie. Zdrowsze są niemieckie. Grzeczniejsze są angielskie. Ale może ,,duch — wieczny rewolucjonista'' upodobał sobie te cherlawe dziewczynki, bez wyraźnego typu, bez rysów klasycznych, chude i wymizerowane, drobnokościste i cienkonogie, tych chłopaków bez rysów, ni to blond, ni to szatynów, dość brutalnych, dość brudnych, ale żywych, ale myślących, ale już krytycznych. Te Francuzki zabiegane, o twardych, zimnych oczach, o ostrych rysach, uosobienie walki o byt — przeciwstawność popularnych wyobrażeń o ,,łatwych'' paryskich kobietach. I wreszcie te starsze panie: na czarno ubrane, z cieniutkim skrawkiem jakiegoś futerka w obramowaniu kołnierza od płaszcza — jakby breloczek, który ma świadczyć o pochodzeniu z lepszej sfery. Wszystko to dygocące, skulone, zziębnięte. A potem ,,Park'': dawny ogród zamku, zbudowanego jeszcze za Ludwika XIV-go przez Mar-

kiza de Maisons, potem własność różnych grandów, z hr. d'Artois, późniejszym Karolem X włącznie, potem apanaże marszałka Lannes, księcia Montebello, darowane mu przez Napoleona: a wreszcie, po śmierci jego wdowy, własność bankiera Ludwika Filipa, rywala Rotszyldów, Laffitte'a, który własne nazwisko dodał do prastarej nazwy: Maisons sur Seine. Fortuny wielkich finansistów nigdy nie są trwałe: więc już w końcu XIX wieku potomkowie miliardera sprzedali państwu Zamek (mieści się tam marne muzeum), i rozparcelowali wspaniały park. ,,Avenue Nicolas II'' (która mnie zawsze działa na nerwy) jest zapewne jedyną tej nazwy na całym dzisiejszym świecie: i lepiej od wszelkich tablic pamiątkowych świadczy, kiedy to osiedle powstało.

Wracając z miasteczka, przechodząc obok dwóch pawilonów, które po dziś dzień znaczą granice magnackich dzierżaw, szło się długą aleją, znaczoną willami bogatej burżuazji *de la belle époque*: ale wyrwy w płotach, nieodmalowane sztachety, zapuszczone dróżki świadczyły o przewrotach socjalnych i majątkowych w burzliwym XX-ym wieku. Potem trzeba było przebiec rodzaj zagajnika, po omacku, w ciemnościach, omijając drzewa i krzaki, zarośla i rowy: i ilekroć z tych gąszczów dobiegałem do furtki, prowadzącej do ,,mego'' Laffitte'u, czułem jak ciężar spadał mi z serca, a z gardła odpadały jakieś kleszcze. Były to zresztą szczęśliwe czasy, w których tylko vendetty Korsykanów dostarczały dreszczyków zapóźnionym po wertepach i nocy przechodniom: strzelaniny Algierczyków nikomu wówczas jeszcze nie przychodziły do głowy. W alei do z rzadka oświetlonego domu biegłem już raźniej i weselej: wnet szczekanie poczciwego Blacka, wówczas młodego szczeniaka, dzisiaj czcigodnego starca, stwarzało atmosferę domu i własnego gniazda. Po grudniowej szarudze, nawet zimny hall wejściowy wydawał się przytulny. Zaraz na lewo można było się umyć w lodowatej wodzie rozpadającej się łazienki: a już z kuchni rozlegał się głos Zosi Hertz, wołającej: ,,Kolacja, kolacja''. Ta kuchnia była mi miła, bo była najcieplejszym zakątkiem tego dziwnego domu. Wyłożona białymi kafelkami, ze stołem drewnianym, który wypełniał prawie całe wnętrze, kuchnia ta była ośrodkiem życia Laffitte'u: tutaj dwa razy dziennie mieszkańcy się schodzili na posiłki, lekturę poczty, wymianę zdań; tutaj planowano numery ,,Kultury'', tutaj wyceniano szanse prenumeraty, rzucano projekty, dyskutowano znajomych, wspominano dawne czasy. U głowy stołu, vis-à-vis jedynego okna zasiadał Jerzy Giedroyc, już nie obiecujący młodzieniec, już nie genialne dziecko, ale człowiek dojrzały, przedwcześnie posiwiały, trochę celebrujący patriarcha, skupiony, godny, dostojny, z rzadka uśmiechnięty, raczej z wyrazem zbolałym, często kraczącym. Pamiętam, jak nieraz brwi mu się stroszyły, twarz mu się boleśnie wykrzywiała, i cedził przez zęby, po przeczytaniu jakiegoś papierka: ,,Po tej ostatniej podwyżce papieru już naprawdę nie wiem czy potrafimy wy-

dać następny numer „Kultury". Cisza grobowa na tę wieść na chwilę zalegała ubogą kuchenką, aż Zygmunt Hertz przerywał ten nastrój apokalipsy opowiadaniem starych warszawskich kawałów. „Z taką brodą". Ale efekt był, czar pękał, *le rouge* robił swoje, zaczynano pleść trzy po trzy, ten wspomniał, że X jest świnią, inny go bronił, życie odbierało swoje prawa: nawet nachmurzony Giedroyc czasami się uśmiechał. Gdyby mnie dzisiaj zapytano, co było ważniejsze: czy treść numerów „Kultury", czy te ubogie agapy — to bym bez wątpienia powiedział, że te drugie. „Trudniej dzień dobrze przeżyć, niż napisać księgę". Trudniej na pewno stworzyć jakieś kółko zgrane, zaprzyjaźnione, poświęcone wspólnej i umiłowanej pracy, niż stworzyć wydawnictwo. Można napisać powieść o Bouvard et Pécuchet, można stworzyć arcydzieło, opisując banalne życie jakiejś pani Bovary — nie da się nic powieściowego napisać o funkcjonowaniu „New York Times'a" czy General Motors. Ale ci sami ludzie, gdyby się byli zgrupowali dla prowadzenia drukarni, a nie redakcji (a byłoby to możliwe), byliby retrospektywnie zupełnie nie interesujący, nawet gdyby byli zrobili miliony. Albowiem właśnie tylko poczucie posłannictwa, domieszka pracy umysłowej, polityki, jakiejś postawy wobec życia czyni ludzi interesującymi: żadne pieniądze, żadne interesy nie mogą mieć tej atrakcji, jaką daje chęć, choćby romantyczna, choćby nierealna, choćby donkiszocka wpływania na losy jakiejś części ludzkości.

Być może to kółeczko „Kultury" znajdzie kiedyś swego Prousta, który przecież tyle setek stron poświęcił opisom *du petit cercle,* salonu Verdurin. Analogii nie ma oczywiście żadnych. Między kółkiem Giedroycia i *le petit cercle Verdurin* zachodzi jednak jedna analogia: oto we wszystkich tych ugrupowaniach byli, i są *les fidèles,* wierni, którzy stanowią trzon, i ośrodek, i szkielet, i armaturę: a poza tymi *fidèles* już byli i są tylko obcy. Otóż w tym kółku „Kultury" (realnym i prawdziwym, podczas gdy jej „Zespół" jest fikcją) byłem i jestem outsiderem. Nie identyfikuję się z nim, i wiem, że jestem w nim uważany za ciało obce. Co najwyżej, używając terminologii naszych stronnictw politycznych, mogę uchodzić za „sympatyka". I to letniego. I to do odwołania.

Mimo tego, te Verdurinowskie kółka mnie interesują, i to „Kultury" bardziej, niż „Wiadomości". Tych ostatnich było bardzo wiele, a wspólną ich cechą był snobizm literacki. Już przed trzydziestu laty trafiłem na ostatnie miejsce w długim ogonku admiratorów i wielbicieli Janeczki Konarskiej, ślicznej, modro-i wielko-okiej blondyny, w której się wówczas kochał Kazimierz Wierzyński, a która w końcu wyszła za mąż za Antoniego Słonimskiego. Przez respekt dla humorów pięknej, bogatej i utalentowanej kobiety, żelazna gwardia wyznawców „Wiadomości" tolerowała mnie (choć z wewnętrznym jękiem oburzenia) w wybranych cénaclach „Ipsu" i „Ziemiańskiej": było tam kilku wielkich poetów i pisarzy, było trochę bubków

i snobów, trochę gagatków z MSZ-etu, nieszczęsny ,,Tonio'' Sobański, pozer filosemityzmu, ekshibicjonista anglofilii, było trochę sanatorów, szukających jakiegoś lakieru dla własnej rubaszności i braku obycia, były leciwe i mniej leciwe damy, nadrabiające literaturą brak powabów naturalnych; i był Antoni Borman, niejako reprezentujący zawsze niewidzialnego ,,le grand Mamamouchi''. Całe to, jakże różnorodne towarzystwo, łączyło jedno wspólne uczucie: my tutaj przy tym stoliku jesteśmy samą śmietanką cywilizacji i kultury polskiej, poza nami jest tylko wulgarna Beocja, a pfe, a pfe... Później po latach spotkałem się z zupełnie analogicznym zjawiskiem, gdy w powojennym Londynie, mieszkałem czas jakiś w przytułku dla polskich pisarzy przy Finchley Rd., o drzwi od Herlinga, o piętro nad Tadziem Nowakowskim, o piętro poniżej Broncla. Bieda u nas wszystkich aż piszczała, i ona skuwała nas wszystkich, zdawałoby się, żelazną obręczą. Ale czasami Herling i jego pierwsza żona, jakżeż miła Krystyna Domańska, wydawali rodzaj przyjęcia, zapewne kosztem niedojadania przez miesiąc, i właśnie wówczas zapraszali tylko ,,intelektualistów'', tylko *le petit cercle*, tylko *les fidèles*, a więc byli tam Pragier i Zahorska, i Terlecki z Tolą Korjan i Staś Baliński, i Ciołkosze, i takie w ogóle bardzo fajne, i bardzo wyrafinowane umysły, a Tadzio Nowakowski, i Bielatowicz, i ja zostawaliśmy za drzwiami. I czułem, że Herling uważa, że w kółku współpracowników ,,Wiadomości'' należę do drugiej klasy, coś co się toleruje, ale co nie należy do jądra, do *inner circle*. Do grona już nie wybranych, ale choćby powołanych. I tak było zawsze.



Otóż tak samo, wśród *fidèles* ,,Kultury'' jestem outsiderem, i wiem, że nigdy tej niewidzialnej linii, która będzie mnie dzielić od Mieroszewskiego czy choćby Jeleńskiego nie przeskoczę. Tylko tutaj wątkiem *du petit cercle* jest co innego. Nie wiara, że ,,poza nami nie ma polskiej kultury'', że ,,my jedni ferujemy o niej bezapelacyjne wyroki''. Myślę, że prawdziwych wyznawców paryskiej ,,Kultury'' łączy raczej wiara w jakąś wspólną misję, że ci, co się dookoła tego czasopisma grupują, służą jakiejś wspólnej sprawie, że razem mają coś stworzyć. Może zbawią Polskę. Może stworzą jakąś symbiozę między Polską a emigracją. Może stworzą nową doktrynę dla polskiej lewicy. Może obmyślą nowy system polskiej polityki zagranicznej. Te cele wydają mi się zmienne, chwiejne, często chaotyczne. Ale poza tym chaosem ukrywają się dwa dążenia, bodajże stałe, i oba szlachetne.



Jednym jest właśnie wiara w to posłannictwo. Wiem: może to brzmieć i wyglądać śmiesznie. Ale jednak, bez tej

wiary wszelka praca na emigracji, polityczna, literacka czy wydawnicza, jest niemożliwa. Inaczej każdy by się przerzucił na działalność zarobkową. Zakłada się drukarnię, szuka się zamówień angielskich czy francuskich, i robi się forsę: ale wówczas — to już jest nie to, wszystko brzmi fałszywie, każde zdanie patriotyczne wydaje się brakiem taktu, jeżeli nie wręcz bluźnierstwem. A Francja, a Paryż są tak ponętne. Łatwo być ascetą w Polsce: bo gdzie są tentacje? Nie trudno o to w Anglii: bo Wyspa, poza snobizmem, innych rozkoszy dostarczyć nie może. Ale jeżeli pod samym Paryżem Giedroyc i jego towarzysze wyrzekają się samochodu, teatru, *boîtes de nuit*, kolekcjonowania mebli i obrazów, dobrych obiadów i stosunków z wielkim światem po to, by wydać jeszcze jedną książkę, by udzielić gościny jeszcze jednemu ubogiemu rodakowi z kraju czy z Londynu — to takie ofiary byłyby niemożliwe, byłyby nawet zwyrodnieniem, gdyby nie były podejmowane w przekonaniu, że się w ten sposób służy Sprawie. I ta służba musi być związana z poczuciem Misji. Bez Giedroycia ,,Kultura'' by nie powstała, tak jak się bez niego nie utrzyma. Może przyjść człowiek zdolniejszy, o bardziej wyostrzonym zmyśle politycznym czy literackim. Wszystko jedno: pismo upadnie. Wydawnictwa się nie ostoją. *Les fidèles* się rozlecą. W Polsce mieliśmy dużo ,,rodów'', wielkich i małych, zasłużonych i nikczemnych: ale duchowych spadkobierców nikt nigdy nie zostawiał. Gdzie był spadkobierca Piłsudskiego? Gdzie Sikorskiego? Po śmierci Matuszewskiego, grono jego przyjaciół wydało zbiór czy wybór jego artykułów, informując w przedsłowiu, że ,,dzieło jego nie umrze''. Tymczasem umarło całkowicie, i żadnego kontynuatora Matuszewski nie zostawił.

◆

A druga wielka siła ,,Kultury'' (to znaczy Giedroycia) — to chęć niezależności. Może chwilami przybierała formę drażniącą. Może przesadną. Może dziecinną. Może czasami chodziło o niezależność dla niezależności, omal o przekomarzanie się. Chwilami miało się wrażenie obsesji. Niektórzy zarzucali Giedroyciowi że działa na złość. Ale w tej pasji znalezienia dla siebie własnego miejsca był i cel, i rozum. Mit jedności, tak wśród nas żywy, jest bezsensowny. W latach 1914-18 byliśmy skłóceni na noże, a wyszliśmy z tej potrzeby z nieprawdopodobnym sukcesem. W latach 1939-45 byliśmy zjednoczeni jak nigdy, a wyszliśmy pogruchotani. Linia naszych władz emigracyjnych mogła mi niekiedy bardziej odpowiadać, niż linia Giedroycia: ale jest dobrze, że była i jest inna. Sam na pewno walczyłbym o inne odchylenia od naszych oficjalnych też, ale nade wszystko trzeba i naszym emigracyjnym czynnikom ,,miarodajnym'', i czynnikom krajowym, i czynnikom zachodnim unaocznić, że redaktor polski, i pisarz polski mają prawo do własnego zdania, że nie ma względów, które by pozwalały

komuś swoje zdanie narzucać, kogoś obwoływać ,,zdrajcą'', dlatego tylko, że jest innego zdania. Naturalnie, jak zawsze, zrobię jedną poprawkę : jeżeli wolność prasy ma być ograniczona tylko do redaktorów, a nie i do współpracowników, to żadnej wolności prasy nie ma. Chodzi o to, by każdy piszący pewnego kalibru mógł się wypowiedzieć, X. Kantak tak jak Józef Mackiewicz, Giertych równie dobrze jak Sławoj, Honigwill tak samo jak Pobóg, Ciołkosz jak Goetel, Grabowski jak Stahl. Gdy się stwarza syndykat wydawców, drugi radiotów i trzeci polityków, a wreszcie estetów i krytyków — to przestańmy mówić o wolności słowa.

◆

Myślę, że właśnie dzięki tej niezależności, zarówno finansowej jak i moralnej, Giedroyc zdołał zachować dla siebie i swego pisma własne, indywidualne oblicze. Nigdzie nie ma dobrych opracowań w jaki sposób poszczególni publicyści czy wydawnictwa wpłynęły na przebieg wypadków : bo są to rzeczy nieuchwytne i niewymierne. Po dziś dzień toczą się spory, w jakim stopniu filozofowie XVIII-go wieku przyczynili się do wybuchu rewolucji francuskiej. U nas, ostatni historyk emigracji, sam dziennikarz i pisarz, publicysta i redaktor, Stanisław Mackiewicz, potrafił strony całe poświęcić jakimś Hryniewskim, Modrzewskim, nawet Ściborom i podobnym pionkom, których obecności, działania nigdy nie odczułem, nigdy nie zauważyłem : a istnienie ,,Kultury'' przemilczał, chociaż ta w jakimś stopniu wpłynęła na zachowanie się naszej emigracji, może nawet niekiedy na rozwój myśli w kraju. Na pewno wpływ XX Kongresu, odwilży w Sowietach, wreszcie zmiany w stosunkach amerykańsko-sowieckich był większy w Polsce, niż promieniowanie ,,Kultury'' : ale jednak myślę, że w jakimś stopniu wpłynęła ona na liberalizację pojęć w kraju, na rozluźnienie barier, które dzieliły kraj i emigrację. Był czas, gdy te inicjatywy mogły wydawać się przedwczesne : dzisiaj, w obecnej sytuacji, są one nieuniknione.

◆

Już nie tylko dla bloku sowieckiego, ale i dla Zachodu, Polska, nie emigracja, jest jedynym partnerem. Nie tylko Nixon odwiedza Warszawę, ale i Adenauer zwraca się do opinii w kraju, ignorując zupełnie opinię emigracji. Podobnież zachowują się wszyscy korespondenci i publicyści zachodni. Nie można zapoznawać faktów. Polska jutrzejsza powstanie w kraju, z ludzi krajowych.

◆

,,Lewicowy'' Giedroyc jest na emigracji najlepszą żywą ilustracją wartości twórczych kapitalizmu. Tyle zasobniejszych

pism i wydawnictw powstało pod egidą czynników politycznych, i pod ich kontrolą: gdzież są one dzisiaj? I to pytanie odnosi się nie tylko do wydawnictw emigracyjnych, ale tak samo do tych, które były finansowane przez ,,Polskę Ludową'': ileż pieniędzy pomarnowano na to bagno?!

Ale porównajmy chociażby tę samą Giedroyciową ,,Kulturę'' z tym ,,Voice'm'', gdzie pracowałem 7 lat. Tu bieda z nędzą, groźba bankructwa co dzień, liczenie się z każdym groszem. 4 osoby na całą redakcję i administrację i pisma, i książek, — Giedroyc, jego brat, Zygmunt i Zosia Hertzowie, plus Józio Czapski i jego siostra jako rezerwy czy woluntariusze, a do tego goście, a do tego pomoc dla różnych pisarzy w potrzebie, a ,,pośrednictwo pracy'' dla tychże pisarzy, a przejezdni z kraju, a tysiące drobnych spraw i kłopotów. Tam wspaniałe biuro, nadmiar personelu, luksusowe lokale, telefony, teleskryptory, chmary różnych urzędników, instrukcje co godzina, inspektorzy, cenzorzy, doradcy polityczni, słowem armatura, sztab już nie dla dywizji, ale bodaj armii. I co? I nic. Pracownicy schodzili się plus minus punktualnie, potulnie wyrabiali godziny służbowe, wypełniali mechanicznie niewielkie pensum, którego się od nich wymagało, kłaniali się szefom, za ich plecami ich krytykując ile się dało, trochę plotkowali, poza tym nudzili się, marnowali czas, odwalali kawałki a gdy przychodzili nowi szefowie dostosowywali się do nowego kursu, i tak życie mijało. I co zostało z tej całej działalności? Nic. Nie była ani zła, ani dobra, po prostu minęła bez śladu, nawet dla samych zainteresowanych, którzy rozstali się tak jak się rozstają pasażerowie w tramwaju, nic o sobie wzajemnie nie wiedząc, nie mając dla siebie żadnego zainteresowania. A tutaj paru ludzi przy minimalnych środkach potrafiło w jakimś maleńkim stopniu jakoś ten kompas polskiej przyszłości i polskiej myśli odchylić. Czy byłoby to możliwe, gdyby redaktor ,,Kultury'' był wyznaczony przez jakieś biura, komitety, władze? Gdyby jego wydatki były schematycznie szeregowane według jakichś przepisów buchalteryjnych? Giedroyc mimowoli jest koronnym świadectwem, o ile większą wydajność ma inicjatywa prywatna i prywatny kapitał, gdy znajdzie się w rękach inteligentnego człowieka!



Ta bezładna sylwetka ,,Kultury'' nie może nawet marzyć o oddaniu atmosfery twierdzy Polski emigracyjnej w Maisons Laffitte póki nie pokusi się o charakterystykę nie tylko Jerzego Giedroycia, ale jego codziennych towarzyszy pracy: Zygmunta i Zosi Hertzów i Józia Czapskiego. Zygmunt Hertz — to nieraz Sanczo Pansa laffittowskiego Don Kiszota, i bez jego ziarnka realizmu, bez jego zmysłu humoru i dobrego apetytu, no i bez tego roboczego wołu Giedroyc by zapewne nie wyciągnął. Gdy sztab ,,Kultury'' urzędował jeszcze na Corneille'u, ekspedycja

książek i numerów odbywała się z Laffitte'u, nie z Paryża: i całymi dniami Zygmunt, niczym riksza, pchał taczkę wypełnioną po brzegi torbami, pełnymi książek. Czasem próbowałem mu pomagać, ale szybko rezygnowałem: zły stan mego serca był idealną wymówką od przerażającej harówki. Ale on ze swą taczką nigdy nie ustawał, jak polscy zesłańcy w kopalniach w Nerczyńsku. Rano, przy kawie, w szlafroku, otwierając pocztę, Zygmunt Hertz był zawsze zwiastunem dobrej nowiny. ,,Jeszcze jeden prenumerator'' wykrzykiwał, albo: ,,Znowu tysiąc franków na Dom Kultury''. Poza tym uważam go za wybitnego ekonomistę i wielkiego fachowca w sprawach gospodarczych. Gdy coś mówię, zawsze przyznaje mi rację.



O Zosi Hertz znacznie trudniej pisać, jak o Zygmuncie. Wpływ kobiet jest zawsze większy, ale i bardziej nieuchwytny, niż mężczyzn: wobec mężczyzn możemy być obojętni, wobec kobiet zawsze mamy stosunek bardziej osobisty, animozji czy sympatii, odrazy czy *attirance*. Przez wieki kobiety wpływały na *les affaires* tylko przez mężczyzn: dopiero w naszym stuleciu wzięły się bezpośrednio do businessu, zresztą z coraz większym powodzeniem: Elizabeth Arden, Helena Rubinstein, Chanel, tysiące innych założyły olbrzymie przedsiębiorstwa, wykazały energię, talenty organizacyjne, rzutkość, których nikt by się po białogłowie jeszcze w roku 1900 nie spodziewał. Sądzę, że w każdej redakcji, ba w każdym nawet współczesnym biurze musi być kobieta, która staje się, nie wiadomo dlaczego, nie wiadomo jak, punktem krystalizacyjnym życia każdego z tych kółek. *Human relations* wszędzie zależą bardziej od kobiet, niż mężczyzn: największy *bel-esprit* nie potrafi założyć salonu, o atmosferze domu decyduje żona, nie mąż, choćby najwybitniejszy. Nawet w ministerstwach, w ambasadach, w landarach radiowych, jakże bezosobowych, od sekretarek zależą stosunki biurowe: czy przeważa gniazdo intryg, zawiści i niesnasek, czy też przeciwnie ludzie różni, obcy, z natury sobie obojętni mogą ze sobą współżyć i współpracować. W londyńskim Strattonie (polskim Ministerstwie Informacji czasów wojny) odejście Strońskiego stało się katastrofą nie w najmniejszym stopniu z powodu zastąpienia sekretarki ministra, Mysi Bohomolec, kobiety rozumnej, wyrobionej, *mondaine*, taktownej, dobrze wychowanej, przez jakieś klempy z wyboru Kota.

Za moich młodych lat egerią krakowskiego ,,Czasu'' była korektorka, pani Alicja Wróblewska (wspominał ją Boy w swym szkicu ,,Znasz li ten Kraj?''). Podobno była kiedyś bardzo piękna: gdy ją poznałem, były to zamierzchłe czasy. Była drobna, bardzo szczupła, zawsze w tym samym czarnym kapeluszu, zawsze na czarno ubrana, z dość ostrym noskiem, z wąskimi ustami. Przychodziła stale i zawsze dokładnie o 4-ej popołudniu, siadała przy stoliku w pokoju obok pokoju Beau-

prégo : po jej lewej stronie znajdowała się sławna ceratowa kanapa, na której goszczono Stańczykowskie ekscellencje, na której widziałem i Skrzyńskiego, i Sikorskiego, a także Stanisława Kota. Pani Wróblewska zapalała na swym biurku lampkę pod zielonym abażurkiem, zdejmowała czarne rękawiczki (ale nigdy kapelusza, tak że dotąd nie wiem, czy włosy miała siwe), i zabierała się do korekty : przez osiem godzin nie wstawała od swego stolika, i ostatnia, już późną nocą, opuszczała stary dwór Kirchmayerów przy ulicy Tomasza. Gdzie mieszkała? Nie wiem. Co robiła od rana do czwartej popołudniu ? Nie wiem Nie brała nigdy wakacji i nigdy nie chorowała. Czy miała przyjaciół ? Nie wiem. Mówiono, że była bezbożna, i że nawet na łożu śmierci w czasie wojny w Krakowie odmawiała przyjęcia księdza, którego pani Pruszyńska, matka Misia i Ksawerego, jej sprowadzała. Pani Wróblewska nigdy nie mówiła ,,Beaupré'', tylko ,,Prezes'' (Beaupré był prezesem syndykatu dziennikarzy w Krakowie), tak samo nie mówiła nigdy ,,Estreicher'', tylko ,,Rektor'', i przestrzegała by się wszyscy trzymali tej nomenklatury. Magnatów — Zdzisława Tarnowskiego czy Stanisława Badeniego — tytułowała per Hrabio, mniejsi musieli kontentować się zwyczajnym panem. Zawsze pamiętała, że Bobrzyński i Jaworski byli Ekscellencjami, i tak o nich mówiła. Mnie bardzo polubiła, i nazywała mnie ,,Zbysz''. Moją karierę w ,,Czasie'' w wieku lat 20 (był to największy sukces mego życia) zawdzięczam nie Beauprému, i nie Estreicherowi, i nie Jaworskiemu, a pani Alicji. Ta cicha, milcząca, smutna zawsze kobieta byłą nie tylko westalką ,,Czasu'', ale i jego zniczem. Ci, których nie lubiła, nigdy nie dostali się do grona prawdziwych ,,przyjaciół'', do miana *les fidèles*. Na ,,obiadach przyjaciół Czasu'', jednej z nielicznych manifestacyj naszego przedwojennego życia politycznego i towarzyskiego na jakimś prawdziwym poziomie zachodnim, pani Wróblewskiej nie było, bo były to zebrania wyłącznie męskie : ale jej duch niewidzialnie na nich przewodził, i lista zaproszonych czy wybranych była przez nią poddawana drobiazgowej cenzurze. To ona decydowała : *dignus est intrare*.

◆

Jak ta Zosia jest w stanie robić korektę, rachunki, prowadzić kasę i korespondencję, biegać do drukarni, łamać numer, pilnować rewizji, czuwać nad ekspedycją, zajmować się nadto wydawnictwami, a ponadto prowadzić dom zawsze pełen gości, i gotować strawę dla całej ferajny — a przy tym wyglądać świeżo, młodo, elegancko i szykownie, to jest doprawdy sekret nad sekrety. Ale najistotniejsza jej rola jest nieuchwytna. Jak pani Wróblewska decydowała bezapelacyjnie : ,,to jest niezgodne z tradycją Czasu'', i to krótkie zdanie, wygłoszone jej cienkim staccatto, było takim samym wyrokiem śmierci na artykuł czy delikwenta, jak w życiu towarzyskim mruknięcie pani Franciszkowej Potockiej : *c'est un homme qui n'est pas de notre*

bord, tak w ,,Kulturze'' Zosia Hertz, decyduje o przyjęciu do loży, względnie jeszcze częściej o wydaleniu z grona *fidèles.* To ona jest strażnikiem i westalką ,,Kultury''. A także ona decyduje o ludzkich stosunkach w laffitte'owskim gnieździe. Bez niej nigdy by się ten Zespół czy grono nie utrzymały. Ona zlikwidowała jednych, ona przyhołubiła drugich. Ona decyduje, że Zbyszewski od biedy ujdzie, ale daleko mu do talentu i wziętości Gombrowicza. Ona dopuszcza do grona wybranych Jeleńskiego, czy Michałowskiego, a trzyma na kilometrową odległość innych sympatyków. Ale nade wszystko, Zosia Hertz ma jakąś piekielną witalność, jakąś niespożytą energię. Może by Giedroyc mógł cudem jakimś znaleźć równie idealną korektorkę, maszynistkę, sekretarkę, administratorkę i... kucharkę oraz panią domu w jednej osobie. Byłby to cud. Ale takiego dynamo, tego ładunku inicjatywy na pewno by znaleźć nie mógł, bo sądzę, że w całej Polsce go nie ma.

◆

I wreszcie Józef Czapski. Funkcje jego w prowadzeniu ,,Kultury'' są nieokreślone. Na pewno, oddał on jej w dawnych trudnych momentach ogromne usługi, jako kwestor i kwestarz, w Stanach i w Południowej Ameryce. Jeździł, wygłaszał odczyty, namawiał ludzi na datki. Nie znam drugiego równie utalentowanego na emigracji kwestarza. Na pewno Czapski oddał i oddaje nadal ,,Kulturze'' wielkie usługi, jako *sui generis* minister spraw zagranicznych : ma on podwójną łatwość do nawiązywania stosunków i przyjaźni, i jako artysta, i jako hrabia, bo właśnie te dwie grupy społeczne — arystokracja i cyganeria — są najbardziej międzynarodowe, najmniej sztywne, najmniej zaściankowe w obcowaniu z cudzoziemcami. Ale te realne, konkretne usługi Czapskiego są nieważne w porównaniu z jego wkładem w życie duchowe, osobiste, towarzyskie, wewnętrzne *du petit cercle* Laffitte'u. Giedroyc daje poczucie Misji. Zygmunt sprowadza idealistów na twardy grunt rzeczywistości. Zosia daje motor wściekłej energii, i ciepło rodzinnego gniazda. A Józio Czapski dodaje całości pocałunku fantazji. Pamiętam nowelkę popularnego pisarza dla dzieci Jean Lichtenberger, w której wywodził, że biedne dzieci bardziej potrzebują nugatów jak chleba : *dix sous de luxe — c'est la première necessité.* Tę samą myśl wyraził Proust, jak, zawsze bardziej epigramatycznie : *il n'y a que le superflu qui soit indispensable.* Czapski — to te *dix sous de luxe* falansteru w Lafficie, to ten niezbędny, konieczny *superflu.*

◆

Czapski wymagałby sam dla siebie studium, sylwetki. Zawsze czuję się ubogi, banalny, gdy rozmawiam z Czapskim. Zazdroszczę mu entuzjazmów, zazdroszczę mu żyłki cygańskiej,

kropelki krwi niemieckiej, która go skłania do klasyfikacyj, do metodycznego podziału na szkoły, do szukania definicyj; mniej może petersburskiego dzieciństwa, które pozostawiło mu jakiś posmaczek przygody, rewolty, anarchii. Czapski jest bardziej paryski ode mnie: ja jeszcze więcej zjadłem szmalcu od niego. Jest i bardziej rosyjski: za młodu za wiele deklamował Bloka czy Jesienina. Jest bardziej zdolny do bezinteresownego zapału. A w ogóle jest zdolniejszy: ma szerszą gamę czy paletę.

Być może Czapski jest człowiekiem zbyt zdolnym, i być może to stanowi jego nieszczęście. Czy można być malarzem i jednocześnie krytykiem malarstwa? Właśnie Czapski jest i jednym, i drugim, i to mnie niekiedy przeraża. Poeta nie może być ani krytykiem ani essayistą. Być może, Czapski powinien przestać pisać, by lepiej malować, albo przestać malować, by lepiej pisać. Być może powinien wybrać: pejzaż, *nature morte* czy portret, nie próbować sił na wszystkie strony. A może powinien zostać tym czym jest: czarującym dyletantem, przede wszystkim czarującym człowiekiem, potem dopiero malarzem, krytykiem, essayistą i żołnierzem.

Jeżeli o mnie chodzi, to waham się między sprzecznymi uczuciami. Chciałbym zobaczyć nie małe obrazki Czapskiego, na mój gust przeważnie zbyt pośpieszne, ale jakąś jego *nature morte,* wazon kwiatów, czy stół, czy krzesło, szalenie wypracowaną, wytoczoną, wyszlifowaną, prawie że flamandzką, Van Goes'owską w koronkowym wykonaniu, a jednak śmiałą, impresjonistyczną w fakturze, jakąś bardziej indywidualną, mniej bonnardowską czy soutinowską, jakąś bardziej odrębną. Chciałbym też przeczytać nie jego krótkie szkice, choćby tak bystre jak ten jego o Soutinie, ale wielkie, poważne dzieło o malarstwie francuskim XX wieku, gdzie by operował i rosyjskim wytrychem, i francuskim lancetem, i niemieckim katalogiem. Jedno wyklucza drugie. Ale każda z tych ewentualności wyklucza trzecią, obecną: że można przyjechać do Paryża, raczej do Laffitte'u, wyciągnąć Józia do kafejki, na butelkę Traminer'a, na jajeczniczkę *fines herbes,* i słuchać jego improwizacji, *à bâtons rompus,* tej perlącej się konwersacji BEZINTERESOWNEJ, wolnej od wszelkiej pozy, od wszelkiej kokieterii, od wszelkich względów osobistych, karierowych, interesownych. Taki wieczór z Czapskim orzeźwia, rozpogadza, każe znowu wierzyć w szlachetność duszy ludzkiej. Po niej zawsze wydaje się, że artyzm, że sztuka nie są tylko frazesem, tylko pedanterią, tylko afektacją. I że można być *bien* nie będąc snobem. Więc wolę Czapskiego takim, jakim jest.



A przyszłość? Gdyby w Polsce istniała niepodległość, istniała wolność, istniały normalne, cywilizowane stosunki, ,,Kultura'' wróciłaby do kraju, nie jako poszczególni bankruci,

szukający wsparcia, ale jako grono ludzi, pragnących służyć krajowi. Niestety, pod cenzurą, pod przymusem, pod dyktandem żadna służba krajowi jest niemożliwa. A szkoda. Giedroyc będzie musiał zapewne jeszcze długie lata wytrwać na emigracji, nadal przeżywać wszystkie jej zawody i smutki. Jedno wydaje mi się pewne : do nazw miejscowości podparyskich, które stały się częścią naszej historii, naszej świadomości — Batignoles, Montmorency — trzeba dodać nazwę ,,Maisons Laffitte''.

W. A. ZBYSZEWSKI

Przeciw glinianej teorii pocieszenia

Przeciętny polski inteligent o problematyce Azji wie bardzo niewiele. W czasie ubiegłej wojny setki Polaków spędziło kilka lat w Indiach na przymusowych ,,wczasach''. Ale starsi panowie grali w bridge'a a młodych zachęcano do lektury ,,Pana Tadeusza''. Zetknąłem się w Londynie z wielu polskimi ,,Indusami'' i stwierdziłem, że równie pożytecznie mogli spędzić sześć lat na Wenus. Bo zakładając, że na Wenus byłby dostateczny zapas tlenu i ryżu to i tam można by ,,oddychać Soplicowem'' w całkowitej izolacji od otoczenia.

Ale to się zmieni. Mało rzeczy jestem tak pewien jak tej. Analfabetyzm w sprawach azjatyckich wygaśnie w Europie jeszcze przed upływem tego stulecia. Młodym dziennikarzom doradzam, by już dziś specjalizowali się w sprawach azjatyckich ponieważ ,,newsy'' azjatyckie dominować będą na szpaltach prasy europejskiej wcześniej niż europocentrycy starej daty łaskawie to sobie wyobrażają.

Tibor Mende w studium pt. ,,Triangle of destiny'' — stwierdza, że w roku 2.000 mieszkańcy Chin, Indii i Japonii stanowić będą 60 % ludności ziemi. Według obliczeń demografów amerykańskich w roku 2.000 ludność Chin wynosić będzie bilion sześćset milionów — w porównaniu z 800 milionami Rosjan i Amerykanów łącznie. Za pięć lat to jest w roku 1965 — ludność Chin wzrośnie do 700 milionów w porównaniu z 190 milionami Amerykanów i 235 milionami Rosjan. Chińczyków przybywa 15 do 20 milionów rocznie, podczas gdy Amerykanów przybywa zaledwie trzy miliony a Rosjan trzy i pół miliona.

Problemy Azji można klasyfikować rozmaicie. Dla naszych celów wystarczy gdy zagadnienie azjatyckie rozbijemy na dwie grupy, tj. problemy bezpośrednie i pośrednie. Zagadnieniem bezpośrednim jest głód, który w niniejszym artykule interesuje nas wyłącznie w aspekcie politycznym. Głód

jako dynamo przemian polityczno-społecznych jeszcze ciągle czeka na swego biografa.

Czołowym zagadnieniem pośrednim, które dopiero zarysowuje się przed nami — jest wzrost potencjału gospodarczego Chin i Rosji. Jeżeli tempo rozwoju potęgi gospodarczej euro-azjatyckiego bloku komunistycznego zostanie utrzymane musimy się liczyć z załamaniem klasycznych struktur kapitalistycznej ekonomii. „Free enterprise" na rynkach światowych nie sprosta konkurencji w tej skali.

Celem tego artykułu jest wykazanie, że jeżeli na czas nie zostaną podjęte odpowiednie kroki — grupa zagadnień objętych terminem „głód" spowoduje upadek wszelkich form demokratycznych w Azji — a z kolei niehamowany postęp rozwoju potencjału gospodarczego bloku komunistycznego zmusi Zachód do etatyzacji gospodarczej na skalę nieznaną w historii krajów kapitalistycznego świata. Czy więc jedyne co nam pozostało to upodobnić się do naszych przeciwników?

Europejczycy w swojej omfaloskopicznej filozofii (omfaloskopia — zapatrzenie w własny pępek — definicja Józefa Wittlina) — skłonni są przypuszczać, że głównym teatrem konfliktu między Wschodem a Zachodem będzie oczywiście Europa. Tak nie jest. Los nas wszystkich rozstrzygnie się w owym „no-mans-land" krajów o zapóźnionym rozwoju — innymi słowy w południowej Azji, w Afryce i w południowej Ameryce. Komuniści i nie tylko komuniści wyrażają pogląd, że uprzemysłowienie i modernizacja tych krajów nie odbędzie się po linii systemu kapitalistycznego. Czy to oznacza — że jedyną alternatywą jest model komunistyczny?

Sądzę, że na ten problem wiele światła może rzucić analiza sytuacji w Indiach. Ktoś może zapyta dlaczego analiza sytuacji w Indiach a nie — powiedzmy w Burmie? Odpowiedź jest prosta. Po pierwsze Indie są po Chinach najpotężniejszym w sensie potencjału ludnościowego krajem azjatyckim. Po drugie Indie i Chiny reprezentują dwie przeciwstawne koncepcje polityczno-społeczne. Indie to demokracja, wiara w negocjacje i w kompromis. Chiny to totalizm, wiara w metody policyjnego przymusu i w politykę siły. Jeżeli więc chcemy porównywać na terenach Azji owe dwa przeciwstawne systemy to przede wszystkim na przykładzie Chin i Indii.

Zacznijmy od arcy-problemu tj. głodu. Wielomiesięczną pracę ekspertów amerykańskich przeprowadzoną w Indiach z ramienia Fundacji Forda można streścić w następującym wniosku. Jeżeli przyrost ludności w Indiach w okresie 1959-1965 utrzyma się na obecnej stopie, produkcja ziarna winna wzrastać o 8% rocznie by zapewnić konieczne do przeżycia minimum. Jeżeli jednak produkcja środków żywności wzrastać będzie tylko 3% rocznie, tak jak dotychczas — niedobór tzn. różnica pomiędzy produkcją a niezbędnym do przeżycia minimum wyniesie w najbliższych 6 latach 25%. Raport ekspertów

Fundacji Forda kończy się opinią ujętą w jednym zdaniu: „trudno sobie wyobrazić program importu czy racjonowania żywności, który mógłby zaradzić kryzysowi w tej skali".

Należy jeszcze dodać, że dzięki postępowi sanitarnemu, który wydatnie umniejszył kośbę permamentnych epidemii, przyrost naturalny w Indiach podniósł się w ostatnich latach z 5 na 7 milionów rocznie.

Pierwszy induski plan pięcioletni był niewątpliwym sukcesem. W całym kraju powstają fabryki, siłownie elektryczne, piece hutnicze itp. Lecz to wszystko jest przysłowiową kroplą w morzu. Tibor Mende wyraża pogląd, że mimo wszystkich imponujących osiągnięć induska rewolucja przemysłowa nie wyrwała mas ludzkich z letargu — nie wyzwoliła owego powszechnego dynamizmu, który jest podstawowym warunkiem sukcesu.

Problemem zasadniczym Indii jest bezrobocie w rolnictwie. Ocenia się, że *ponad jedna trzecia* gigantycznej masy ludności rolniczej jest bezrobotna. Plany pięcioletnie na tym odcinku nie spowodowały poważniejszych przemian.

Indie, w przeciwieństwie do Chin, opierają swój proces uprzemysłowienia na budowie wielkich i kosztownych zakładów przemysłowych. Jest rzeczą wysoce wątpliwą czy dla Indii była to droga najwłaściwsza. Rzadko rozsiane wielkie jednostki przemysłowe nie są w możności zlikwidować bezrobocia. Pochłaniają natomiast gros kapitału inwestycyjnego. Trudno oprzeć się wrażeniu, że model chiński, oparty na licznych, małych i tanich zakładach przemysłowych, daleko szybciej i wydatniej rozładowałby bezrobocie.

W sumie całe zagadnienie sprowadza się do prostego stwierdzenia, że Indie nie są w stanie wyżywić milionowych mas swoich bezrobotnych.

Więc jakie jest wyjście z tej sytuacji? Marksiście odpowiedź na to pytanie nie nasuwałaby trudności. Marksista wskazałby, że te same dziesiątki milionów bezrobotnych, które dziś są nieopisanym ciężarem w innym ustroju stanowiłyby potężną siłę produkcyjną. Na zarzut, że tego rodzaju aktywizacja w praktyce oznaczałaby likwidację demokracji i wolności osobistych marksista odpowiedziałby, że nic z wolności i parlamentarnej demokracji temu, któremu demokracja nie jest w stanie zapewnić ani pracy ani chleba.

Wadą wszystkich marksistowskich rozwiązań jest schematyzm i szablonowość. Polacy nie są Rosjanami a Indusi nie są Chińczykami.

Podzielam osobiście opinię tych znawców przedmiotu, którzy wyrażają obawy odnośnie przyszłych losów demokracji w Indiach. Wydaje mi się, że na dłuższą metę obecny model parlamentarnej demokracji okaże się w Indiach nie do utrzymania. Ale nie jestem również pewien czy na dłuższą metę klasyczny zachodni model będzie można utrzymać i na... Zachodzie. Skłonny jestem przypuszczać, że gdy blok państw ko-

munistycznych osiągnie szczyt swej przemysłowej ekspansji — walka konkurencyjna z tego rodzaju gigantycznym „kombinatem" będzie wymagała daleko posuniętych reform w zachodnim modelu gospodarczym.

Wracając do Indii sytuację można ująć następująco. Przytłaczająca większość Indusów nie pragnie komunizmu. Przede wszystkim komunizm oznaczałby ustrój satelicki podporządkowany Pekinowi. Z drugiej strony, demokracja parlamentarna nie jest w stanie rozwiązać podstawowych problemów z głodem i bezrobociem na czele. Jakie jest więc wyjście? Odpowiedzi na kardynalne narodowe pytania nie można importować z zagranicy. Odpowiedź na owe problemy wypracować muszą sami Indusi. Natomiast Zachód swoją polityką może im w tym pomóc albo zaszkodzić.

Trudno przewidzieć co stanie się w Indiach, gdy epoka Nehru dobiegnie kresu. Cokolwiek jednak nastąpi byłoby katastrofą gdyby Zachód powtórzył w Indiach błędy popełnione w Chinach.

Gdyby wojna była za pasem wówczas postępowanie Amerykanów w wielu wypadkach uznać by należało za logiczne i słuszne. Wówczas można by przyjąć, że nawet najreakcyjniejsza dyktatura warta jest poparcia pod warunkiem, że jest antykomunistyczna i pro-amerykańska. W takiej sytuacji liczą się bowiem tylko bazy — lotniska — porty i sojusze a nie subtelności ideologiczne.

Jeżeli jednak przyjąć, że według wszelkiego prawdopodobieństwa — konflikt Wschód-Zachód rozegra się na drodze pokojowej — wówczas polityka amerykańska budzić musi zasadnicze zastrzeżenia.

Weźmy dla przykładu następującą ewentualność. Indie nawiedza klęska głodu. Brak już premiera Nehru. Na widowni pojawia się Czang-Kai-Szek w wydaniu induskim. Oczywiście tego rodzaju gentleman oparłby się na najbardziej reakcyjnych kołach i pod sztandarem antykomunizmu zlikwidowałby nie tylko demokrację ale i reformę rolną. Wszyscy lewicowcy, liberałowie i postępowi intelektualiści — wylądowaliby w miejscach „odosobnienia". Do głosu doszliby wielcy właściciele ziemscy, kapitaliści i tzw. zachowawcy. Ci ostatni pod wszystkimi szerokościami geograficznymi są płomiennymi patriotami sądzą bowiem, że naczelną funkcją tradycyjnego patriotyzmu jest zachować ich przywileje i korzyści.

Jeżeli stawiamy na pokój a nie na wojnę — to popieranie reakcyjnych dyktatorów w Azji czy gdziekolwiek indziej — jest polityką samobójczą. Wydawać by się mogło, że nie ma powodu by Ameryka popierała i finansowała „dojrzewalnie komunizmu". A każda reakcyjna dyktatura w gruncie rzeczy nie jest niczym innym. Organizatorami oporu przeciwko dyktaturze są zawsze komuniści. Niejako samorzutnie powstaje

„front ludowy", który pod przywództwem komunistów zespala wszystkich przeciwników dyktatury z liberałami i rzetelnymi demokratami włącznie. W Indiach komuniści w takiej sytuacji mogliby liczyć na wydatną pomoc chińskiego „wielkiego brata", który w przeciwieństwie do Ameryki jest tuż za miedzą.

Problemy wewnętrzne Indii mogą być rozwiązane tylko na drodze radykalnych reform i wydatnej pomocy z zewnątrz. Indie domagają się stale dopuszczenia Chin do ONZ. Wielu zachodnim publicystom wydaje się, że taki krok wzmógłby prestiż Pekinu a tym samym osłabił pozycje Indii. Lecz Indusi zapatrują się na tę sytuację wręcz odwrotnie. Sądzą, że dopuszczenie Chin do ONZ ułatwiłoby Indiom w razie potrzeby montowanie oporu przeciwko Pekinowi na arenie międzynarodowej. Osobiście przypuszczam, że Indusi mają rację.



W Chinach nie ma bezrobocia. Z wszystkich osiągnięć chińskich w oczach Indusów ten sukces wydaje się najistotniejszy. W rzeczywistości nie tylko nie ma bezrobocia ale jest brak siły roboczej. W związku z tym przed kilku miesiącami zlikwidowano propagandę ograniczania ilości urodzin. Minister zdrowia oświadczył niedawno, że w Chinach nie ma żadnego powodu do ograniczania ilości urodzin, bo pracy i chleba jest więcej niż ludzi.

Likwidacja bezrobocia została osiągnięta przez totalną kolektywizację. Wszyscy zachodni korespondenci, którzy odwiedzali Chiny podkreślają zgodnie, że kolektywizacja nie natrafiła na żaden opór czy sprzeciw ze strony chłopa chińskiego. Źródła chińskie podają, że na skutek kolektywizacji (komuny) — rekordowy zbiór zbóż w 1957 roku podwojono w roku 1958. Eksperci z „Research Institute of America" oceniają powyższe dane za przesadzone — biorąc jednak pod uwagę fakt, że w tak wielkim mieście jak Kanton skasowano racjonowanie żywności — rzeczoznawcy amerykańscy przyjmują, że wzrost produkcji żywności w roku 1958 wyniósł 25 %.

Zachodni znawcy przedmiotu analizując sukces komun podają rozmaite przyczyny mające wyjaśnić dlaczego chłop chiński okazał się tak podatnym materiałem na kołchoźnika. A więc czytamy, że chłopi chińscy od stuleci walczyli kolektywnie z powodziami, suszami, szarańczą i innymi elementarnymi klęskami. Inni autorzy sądzą, że przedszkolem kolektywizacji była wspólna solidarna walka przeciwko japońskiemu najeźdźcy. Osobiście sądzę, że nie ma potrzeby szukać przyczyn zbyt daleko. Chłop chiński był wyzyskiwany bez miłosierdzia przez wielkich właścicieli ziemskich i okresami cierpiał głód. Obecnie również wyzyskiwany jest bez miłosierdzia ale widmo głodu oddaliło się od niego. Dawny pan gnębił ale w razie

klęski jeść nie dawał. Obecny pan gnębi znacznie wydatniej, ale przez cały rok zapewnia garść ryżu dziennie i kawałek dachu nad głową. Per saldo sytuacja chłopa chińskiego uległa poprawie. Nie tylko stopę życiową ale i poczucie zadowolenia w Azji trzeba mierzyć i oceniać kryteriami azjatyckimi. To co polskiemu chłopu z proszowskiego czarnoziemu wydawałoby się piekłem nie do zniesienia — dla chłopa chińskiego wyrosłego w tradycji głodu i plag — wydać się może pierwszym kręgiem nieba na ziemi.

Chińczycy budują przemysł tak jak Faraonowie budowali swoje piramidy. Z armii niewolników, z oceanu łez i krwi — nie pozostało śladu ale piramidy stoją. Nie wszystko można budować na krzywdzie i wyzysku ale przemysł można. Na wyzysku zbudowane są wszystkie potęgi przemysłowe świata z brytyjskim przemysłem włącznie. Chiny również nie odstąpiły od tej świetlanej tradycji. Lecz za sto lat i chińscy robotnicy będą pracowali 40 godzin tygodniowo — będą się golili elektrycznymi aparatami i kupowali telewizory. I wówczas o dzisiejszych nieszczęsnych pionierach nikt nie wspomni. Kto się dziś rozczula nad dziećmi, które pracowały niegdyś w kopaniach angielskich lub nad nieletnimi dziewczętami, których wiotkie mięśnie i zręczność stanowiły fundament brytyjskiego przemysłu tekstylnego.

Krzywdy i wyzysku nie wolno nigdy usprawiedliwiać „obiektywnymi" przyczynami, wolno natomiast zauważyć, że ani na Zachodzie ani na Wschodzie nie wynaleziono dotąd bezbolesnej rewolucji przemysłowej.

Materialny sukces chińskiej rewolucji przemysłowej jest poważny. Jest zdumiewający tym bardziej, że według ocen ekspertów pomoc udzielona Chinom przez Sowiety w przeliczeniu na dolary jest znacznie mniejsza od pomocy jaką od Amerykanów otrzymał Czang-Kai-Szek.

Cyfrę robotników zatrudnionych w produkcji stali i żelaza w Chinach ocenia się na 50 milionów. W tej gałęzi Chiny zatrudniają więcej ludzi niż wszystkie przemysły stalowe całego świata łącznie.

Eksperci zarówno angielscy jak amerykańscy są zgodni w opinii, że chińska rewolucja przemysłowa przełamała moment bezwładności i nabiera rozmachu. Co to znaczy? W opinii rzeczoznawców RIA oznacza to, że w roku 1965 blok komunistyczny będzie największą potęgą przemysłową na kontynencie euro-azjatyckim, a jego produkcja przewyższy znacznie łączną wytwórczość zachodniej Europy i Japonii.

Jak się ukształtuje pokojowe współistnienie z tego rodzaju super potęgą przemysłową? Należy przewidywać, że za kilkanaście lat blok komunistyczny rzuci na rynki światowe masy towarów konsumpcyjnych, maszyn i surowców. Kalkulacja komunistyczna — jak wiemy — odbiega od klasycznej kapitalistycznej kalkulacji produkcyjnej. Cena towarów w świecie

komunistycznym zależy od momentów politycznych, a nie tylko ściśle ekonomicznych. Amerykanie mówią o ,,unfair Communist price competition''. ,,Fair'' czy ,,unfair'' — owej walce konkurencyjnej Ameryka musi sprostać. Jedno można przyjąć za pewnik. Dni ,,prywatnej inicjatywy'' w handlu międzynarodowym są policzone. Największy prywatny businessman nie zdzierży na rynkach międzynarodowych blokowi komunistycznemu, gdy ów blok podejmie ofensywę eksportową. W fachowych kołach amerykańskich rozważa się projekt powołania rządowej monopolistycznej agencji handlu międzynarodowego. Jakich reform politycznych i ekonomicznych wymagałaby realizacja tak rewolucyjnego projektu! I jakaż daleka droga od ,,free enterprise'' po państwowy monopol handlu międzynarodowego. Trudno dziś przewidzieć wszystkie przemiany strukturalne jakie tej skali reformy w konsekwencji pociągnęłyby za sobą. System kapitalistyczny by sprostać konkurencji bloku komunistycznego trzeba będzie krok po kroku ,,odprywatniać''. Jak się raz wejdzie na drogę upaństwawiania — trudno przewidzieć sekwens takiej ewolucji. Wydaje się jednak, że kapitalizm pod ciśnieniem światowego komunizmu przekształci się w system, który w niczym nie będzie przypominał kapitalizmu z ,,Kapitału'' Karola Marksa.

Z chwilą gdy Chiny staną się potęgą przemysłową równowaga sił w południowej Azji ulegnie zmianie. Kraje azjatyckie w jeszcze większym stopniu będą się wówczas orientować na Pekin a nie na Moskwę.

Prasa amerykańska doniosła, że gdy Adlai Stevenson w rozmowie z wysoko postawionymi osobistościami na Kremlu zauważył, że w roku 2000 ludność Chin wyniesie bilion 600 milionów odpowiedź rosyjska brzmiała: ,,to jest jeszcze jeden powód do ustanowienia przyjaźni rosyjsko-amerykańskiej''.

W perspektywie najbliższych dziesięciu lat odprężenie pomiędzy Waszyngtonem a Moskwą wydaje się znacznie bardziej prawdopodobne niż zmiana klimatu pomiędzy Waszyngtonem a Pekinem. Amerykanie są antykomunistami ale bynajmniej nie są antyrosyjscy. Jeżeli chodzi o Chiny sytuacja jest znacznie bardziej skomplikowana. Każdy Amerykanin od dziecka płacił na misje w Chinach i wkład finansowy oraz — nie waham się użyć tego słowa — uczuciowy stwarza atmosferę emocjonalnego zaangażowania. Przeciętny Amerykanin na dnie serca uważa, że Chińczycy okazali Stanom Zjednoczonym czarną niewdzięczność za przyjaźń i olbrzymią materialną pomoc.

To wszystko prawda ale spójrzmy na scenę z chińskiej loży. Turystyka po Rosji stanowi ostatni krzyk mody w Ameryce. Tłumy Amerykanów od wiceprezydentów zacząwszy na aptekarzach skończywszy podróżują po Związku Sowieckim. I wreszcie korona tych osiągnięć — wizyta Chruszczowa w Stanach Zjednoczonych i zapowiedziana re-wizyta prez. Eisenhowera w Moskwie. Owa wymiana wizyt stanowi oficjalny

akt pasowania Rosji na światowe mocarstwo równe Stanom Zjednoczonym.

A Chiny? Rząd chiński nie jest nawet uznany przez Waszyngton. Chiny nie są członkiem ONZ. Dla Waszyngtonu rząd chiński jest bandą uzupartorów. Legalnym reprezentantem Chin jest Czang-Kai-Szek.

Narody o kolonialnej przeszłości, narody poniewierane i krzywdzone, których odcień skóry na dobitek nie jest stuprocentowo biały, do spraw prestiżowych przywiązują niezmierną wagę. Przeciętny Chińczyk nie może sobie wytłumaczyć stosunku Ameryki do Chin względami ideologicznymi, gdyż Rosja jest również państwem komunistycznym a traktowana jest jako równorzędny partner z wszystkimi honorami. W sumie, Pekin lekceważenie okazywane przez Amerykę brać musi nie jako skierowane pod adresem komunizmu tylko pod adresem Chińczyków. Bo gdy się jest komunistą rosyjskim liczyć można w Ameryce na zainteresowanie i kurtuazję. Tylko dla Chińczyków wszystkie drzwi są zamknięte. Jest oczywiste, że tego rodzaju polityka budzić musi w masach chińskich poczucie zawiści. O rządzie polskim czy węgierskim można w końcu powiedzieć, że jest narzucony i satelicki. Ale komunistyczny rząd chiński nie jest narzucony i w stosunku do nikogo nie jest satelicki. Polak czy Węgier może stosować owo kontrastowe rozróżnienie pomiędzy ojczyzną a jej ustrojem. Ale Chińczyk może być tylko w ideologicznej opozycji do swego rządu — nie ma jednak podstaw do kwestionowania jego legalizmu i autentycznej chińskości. Gdyby Waszyngton nie uznawał rządu węgierskiego, polskiego czy czechosłowackiego uważając, że są to de facto ekspozytury zaborczego mocarstwa byłaby to polityka nieżyciowa ale nie pozbawiona logiki. Natomiast nieuznawanie rządu chińskiego jest polityką zarówno nieżyciową jak i nielogiczną. Rząd w Pekinie nie jest bowiem ekspozyturą zaborczego mocarstwa.

Gdyby Stany Zjednoczone przygotowywały w oparciu o Formozę wojnę wyzwoleńczą polityka amerykańska w stosunku do Chin byłaby zrozumiała. Ale Ameryka nie żywi tego typu zamiarów. Politycy amerykańscy naciskami w tej sprawie wysuwają zawsze ten sam argument. Uznanie komunistycznych Chin przez Stany Zjednoczone wywarłoby katastrofalne wrażenie w niekomunistycznych państwach azjatyckich. Przez owo „katastrofalne wrażenie'' należy rozumieć osłabienie oporu przeciw komunistycznej infiltracji.

Skłonny jestem przypuszczać, że to jest totalne nieporozumienie. Polityka izolowania Chin wzmacnia sojusz sowiecko-chiński ponieważ odbiera Pekinowi swobodę manewru. Chińczycy skazani są na ten sojusz bo de facto nie mają żadnego innego wyboru. Jak długo Chiny są izolowane, Rosja zawsze może na nie liczyć. Niewątpliwie leżałoby w interesie Ameryki ułatwiać a nie utrudniać Chinom ewentualną grę z Rosją. Sądzę, że odprężenie i zbliżenie pomiędzy Waszyngtonem

a Moskwą przy równoczesnym wrogim izolowaniu Pekinu — pchnęłoby z czasem Chiny na drogę agresji w południowej Azji. Chińczycy usiłowaliby wówczas zmontować własne imperium satelickie by utrzymać ,,balance of power'' z Sowietami zabezpieczonymi od strony Ameryki.

W sumie wydaje się, że izolacja Chin niesie z sobą więcej minusów niż korzyści. Kraje południowej Azji a zwłaszcza Indie byłyby trudne do obrony. Dlatego dopóki czas należy bronić tych obszarów na drodze politycznej inicjatywy międzynarodowej. Jeżeli odprężenie miałoby dotyczyć wyłącznie stosunków amerykańsko-sowieckich z wyłączeniem Chin — w południowej Azji pokoju nie będzie. Należy unikać nawet pozoru, iż w sprzyjających okolicznościach Zachód byłby gotowy wraz z Rosją przeciwstawić się Chinom. Sprawa nabrałaby natychmiast rasistowskiego posmaku, ożyłyby brednie o ,,żółtym niebezpieczeństwie'' co Chińczykom umożliwiłoby wystąpienie w roli championa ludów kolorowych. Pomijam fakt, że gdyby kiedyś sytuacja zabsurdalizowała się do tego stopnia — bynajmniej nie jestem pewien czy należałoby poprzeć Rosję?'' Być może należałoby poprzeć Chiny przeciwko Rosji. Ale to są spekulacje, które na szczęście wybiegają poza ramy współczesnej publicystyki.

Chciałbym zakończyć ten artykuł następującymi dwoma wnioskami.

Żaden system ekonomiczny nie jest wolny od kryzysów. Jest wielce prawdopodobne, że i w Chinach nastąpią załamania i wydatne zwolnienie tempa produkcji. Niemniej byłoby wielkim błędem każde odstąpienie od planu czy zwolnienie tempa wytwórczości interpretować jako nasz ,,triumf''. Przez 40 lat rozmaici ,,spece'' tłumaczyli nam, że Rosja jest kolosem na glinianych nogach. Byłoby katastrofą gdyby ową ,,glinianą teorię'' pocieszenia stosowano również do Chin. Doświadczenie z Sowietami uczy, że lepiej jest przesadzić w ocenie niż nie docenić możliwości przeciwnika. Amerykanie nie docenili możliwości Rosji w dziedzinie technologicznej i narazili się na serię upakarzających zaskoczeń.

I wniosek drugi. Jeżeli konflikt Wschód-Zachód rozegrać się ma w płaszczyźnie ekonomicznej — głównym teatrem wojny będą kraje azjatyckie, zapóźnione w rozwoju gospodarczym. W krajach tych modeli uprzemysłowienia nie rozpatruje się pod kątem widzenia ideologii tylko w perspektywie praktycznej zastosowalności. Przyjęty zostanie ten model, który szybciej zapewnia sukces. Jeżeli model komunistyczny gwarantować będzie szybsze uprzemysłowienie, zostanie powszechnie przyjęty i żadna propaganda wolności demokratycznych faktu tego nie odrobi. By wygrać tę konkurencję Amerykanie muszą swemu modelowi zapewnić większą skuteczność. Model demokratyczny jeżeli ma być w praktyce szybszą drogą do uprzemysłowienia niż model komunistyczny — musi być po-

party olbrzymią pomocą materialną. By sprostać temu zadaniu Amerykanie winni powołać do życia ,,super plan'' Marshalla, w którym musieliby wziąć proporcjonalny udział wszyscy sojusznicy Zachodu. Koncepcję tę wysunął gen. de Gaulle. Podobną inicjatywę wysunął dominowany przez Demokratów ,,Senate Foreign Relations Committee'' w sierpniu bieżącego roku. Jeżeli to nie nastąpi należy się obawiać, że demokracja w krajach azjatyckich wygaśnie w najbliższych kilkunastu latach.

Juliusz MIEROSZEWSKI

Kronika angielska

ENSENHOWER — CHRUSZCZOW

Piszę tę notatkę w przeddzień wyjazdu Chruszczowa do Stanów Zjednoczonych.

Czego wzajemnie od siebie oczekują Eisenhower i Chruszczow ?

Nim postaramy się odpowiedzieć na to pytanie, należy podkreślić z naciskiem, że pierwszy punkt rozgrywki trzeba zapisać na korzyść sowieckiego premiera. Ten punkt niezmiernej wagi zdobył Chruszczow darmo — bez żadnych ustępstw czy obietnic ze swojej strony.

Bez względu na to czy Prezydenta uważamy za wielkiego czy miernego polityka — należy stwierdzić obiektywnie, że z wszystkich żyjących współcześnie mężów stanu cieszy się on największym osobistym szacunkiem i autorytetem moralnym. Eisenhower to jest ów zwycięski wódz Sprzymierzonych w drugiej wojnie światowej — żołnierz i człowiek bez skazy, niezbrukany żadnymi politycznymi machinacjami — uosabiający swą skromnością i nieskazitelnym trybem życia zachodni ideał doskonałego gentlemana. Tak widzą go setki milionów ludzi na wszystkich kontynentach globu. I oto ten sam Eisenhower z odkrytą głową wita Chruszczowa jako sobie równego i ściska jego dłoń. To jest nie tylko smakowita scena dla telewizji i międzynarodowej armii foto-reporterów. Polityczne znaczenie tej sceny jest olbrzymie.

Chruszczow zostaje przyjęty jako mąż stanu wielkiego mocarstwa. Między nim a prezydentem Eisenhowerem są poważne różnice w zapatrywaniach i poglądach, ale nie ma przepaści. Nie ma przepaści w sensie politycznym czy moralnym, która dyskwalifikowałaby Chruszczowa jako honorowego gościa Białego Domu. I to jest sukces do którego Chruszczow dążył uparcie od wielu lat i byłby za niego niewątpliwie zapłacił wysoką cenę. Ale nie musiał nic płacić, bo ów sukces oferowano mu darmo.

Oczywiście tylko emigracyjni politycy mogą sobie pozwolić na katońską niezłomność. Mąż stanu prowadzący realną i konkretną politykę często nie może uniknąć uścisku dłoni splamionej krwią i rabunkiem. Bywa, że trzeba przełknąć upokorzenie i zniewagę jeżeli wymaga tego wzgląd na interesy państwa. Ale musi być jakiś *cel* po temu.

W sumie należy stwierdzić, że Chruszczow osiągnął wielki sukces osobisty na arenie światowej nie ofiarując absolutnie nic wzamian. Jeżeli nawet rozmowy w Waszyngtonie nie przyniosą żadnych rezultatów — to fiasko obciąży w całości konto polityki amerykańskiej — gdyż z punktu widzenia Chruszczowa wizyta w każdym wypadku będzie znakomitym osiągnięciem. Gdy nad Białym Domem załopoce flaga z sierpem i młotem obok gwiaździstego sztandaru Ameryki — Chruszczow będzie mógł sobie powiedzieć: „a ot, doszliśmy! Po trupach, czystkach, łagrach i Budapesztach — doszliśmy i dopięli swego!" Jakaż to wspaniała lekcja dla „małych braciszków" we wschodniej Europie. Ale i oni może w końcu pojmą, że w polityce liczą się tylko sukcesy a nie metody.

O ile stosunkowo łatwo odpowiedzieć jest na pytanie czego po wizycie w Waszyngtonie oczekuje Chruszczow — o tyle trudno jest wyrozumieć czego po tej imprezie spodziewa się Eisenhower.

W Europie wszelka inicjatywa polityczna jest zablokowana przez Kanclerza Adenauera. Amerykanie nie rozumieją stanowiska Rosji w sprawie niemieckiej. Można oczywiście popierać Adenauera — wyposażyć armię niemiecką w bronie atomowe i rozbudować Federalną Republikę w zachodnio-europejskie mocarstwo. Amerykanie na dnie duszy kołyszą nadzieję, że z czasem Niemcy przejmą na swe barki główny ciężar „stróżowania", co pozwoli na częściową ewakuację wojsk amerykańskich z dalekiego europejskiego kontynentu. Amerykańscy ekonomiści, generałowie i politycy sądzą, że Europa Zachodnia tylko poprzez udział Niemiec osiągnąć może status wojskowy i gospodarczy zapewniający jej bezpieczeństwo vis à vis Rosji. W razie zneutralizowania Niemiec głosi powyższa teoria — Europa zachodnia byłaby do utrzymania jedynie jako przyczółek amerykański.

Można, rzecz prosta, realizować tę koncepcję. Ale jest nonsensem realizować ją i mówić równocześnie o pokoju i odprężeniu. Albowiem taką politykę można urzeczywistniać tylko wbrew Rosji.

Polityka rosyjska w stosunku do Niemiec jest niezmiernie konsekwentna. Wystarczy przekartkować zbiór wypowiedzi sowieckich odnośnie Niemiec na przestrzeni ubiegłych czternastu lat, by się przekonać, że w tej sprawie nie było nigdy żadnego odchylenia. Rosja straciła dwadzieścia milionów ludzi i dopóki wojenne pokolenie znajduje się przy sterze, nastawienie Moskwy w stosunku do Niemiec nie ulegnie zmianie.

W sumie polityka zbrojenia i wprzęgania Niemiec w system zachodnio-europejski możliwa jest tylko za cenę permanentnego naprężenia i okresowych kryzysów, których ryzyko trudno jest z góry obliczyć. Sytuacja tego rodzaju nie tylko przekreśli wszystkie nadzieje Amerykanów częściowego powrotu za Ocean, lecz przeciwnie wiązać będzie stale poważne siły amerykańskie na kontynencie.

Jeżeli dążymy do odprężenia i stabilizacji w Europie — to ów cel osiągnąć można wyłącznie na drodze kompromisu amerykańsko-rosyjskiego. Dopóki poglądy na problem Niemiec, Waszyngtonu i Moskwy są

diametralnie sprzeczne — dopóty o żadnym odprężeniu w Europie nie może być mowy.

Koncepcja pasa neutralnego — którą omawialiśmy wielokrotnie na tych łamach — mogłaby stanowić kompromisowe rozwiązanie i w rezultacie przynieść odprężenie na kontynencie europejskim. Z wypowiedzi Chruszczowa należy wnioskować, że negocjacje po tych liniach — choć na pewno niełatwe — byłyby jednak możliwe. Ale Amerykanie nie zamierzają wysuwać tego rodzaju propozycji. Prez. Eisenhower — według doniesień prasowych — zamierza przede wszystkich poruszyć problem rozbrojenia. Nie wchodząc na razie w szczegóły tej nader skomplikowanej sprawy — warto podkreślić, że jest to — jak mówią Anglicy — stawianie wozu przed koniem. Gdy przeciwnikom odbierzemy karabiny to przy najbliższej okazji rzucą się na siebie z pięściami. Rozbrojenie *nie likwiduje sporu*. Spór można zlikwidować jedynie na drodze kompromisu i z kolei tylko osiągnięty kompromis czyni rozbrojenie propozycją realną. Regionalne rozbrojenie byłoby możliwe w Europie, ale dopiero wówczas gdyby Amerykanie i Rosjanie znaleźli kompromisową formę rozwiązania kwestii niemieckiej. Utworzenie pasa neutralnego przyniosłoby w konsekwencji również i ograniczenie zbrojeń. Ale zacząć się musi od „A", tj. od rozwiązania politycznego.

Rozważania powyższe nie zbliżą nas do odpowiedzi na pytanie co Amerykanie pragną osiągnąć zapraszając Chruszczowa do Waszyngtonu. Jeżeli nie zamierzają negocjować — względnie przygotować terenu dla negocjacji — to wizyta jest tylko prezentem dla Chruszczowa — prezentem, który on potrafi znakomicie zdyskontować.

Kanclerz Adenauer nie ma żadnej polityki wschodniej. Ale temu trudno się jest dziwić. Republika Federalna jest młodym państwem ciągle jeszcze na politycznym dorobku. Natomiast fakt, że Ameryka nie ma żadnej polityki wschodnio-europejskiej — może się stać w przyszłości źródłem trudnych do odrobienia błędów i powikłań.

Problem sprowadza się do następującej tezy. Ani Rosjanie nie są w możności zmusić Ameryki do zaakceptowania rosyjskiej koncepcji rozwiązania kwestii niemieckiej — ani Amerykanie nie są w stanie wymusić na Rosji przyjęcia amerykańskiego punktu widzenia na problem Niemiec. Jeżeli więc dążymy do odprężenia jest oczywiste, że musimy wypracować rozwiązanie *trzecie*, kompromisowe. Ale wpierw trzeba mieć koncepcję kompromisu jaki się zamierza negocjować. I tej koncepcji, jak dotąd, Amerykanie nie mają. Na brak koncepcji Rosjanie odpowiedzą faktami dokonanymi, jak zawarcie odrębnego traktatu pokojowego z NRD — dalszymi kryzysami w Berlinie itd. I wówczas trzeba albo ryzykować gwałtowne zaostrzenie sytuacji i ewentualny konflikt — albo trzeba ustępować.

Jeżeli Amerykanie nie mają koncepcji rekonstrukcji węzła środkowo-wschodnio-europejskiego — to w takim wypadku zaproszenie Chruszczowa było błędem. Bo zaproszenie przedwczesne jest zawsze błędem. I w takim razie suma korzyści z tej wizyty przypadnie wyłącznie Chruszczowowi. Gdyby wizyta sowieckiego premiera była natomiast wstępem do negocjacji w sprawie Niemiec i choćby częściowej zmiany sytuacji narodów wschodnio-europejskich (te dwa zagadnienia są ze sobą funkcjo-

nalnie związane) wówczas, ale tylko wówczas, ofiarny gest prez. Eisenhowera nie poszedłby na marne.

CENA POLSZCZYZNY

Jeden z młodych poetów emigracyjnych, który przed dwudziestu laty opuścił Kraj kilkuletnim dzieckiem — przyznał w rozmowie ze mną, że nie zawsze jest pewien swojej polszczyzny. To wyznanie zdumiało mnie, ponieważ poezje owego młodego człowieka cenię wysoko.

Conrad pisał po angielsku, ale jak wiadomo również nie zawsze był pewien swojej angielszczyzny. Wydaje mi się, że suwerenny stosunek można mieć tylko do jednego języka — własnego. Są ludzie, którzy mówią kilkoma językami, ale żaden z tych języków nie jest ich własnym. W pewnych stadiach wynaradawiania emigranci szybciej zapominają języka ojczystego niż przyswajają sobie język kraju osiedlenia. W czasie wojny spotykałem Polaków w armii amerykańskiej, którzy mówili bardzo źle po polsku i bardzo źle po angielsku.

Przez suwerenny stosunek do języka rozumiem instynktowne wyczucie formy. Jeżeli dany fragment prozy brzmi mi obco i źle po polsku, żaden językoznawca czy uczony purysta nie przekona mnie, że to jest dobra polszczyzna. Bo w końcu co to jest dobra polszczyzna ? Przez dobrą polszczyznę rozumieć należy język polski, którym w danym okresie historycznym mówi i pisze ogół wykształconych Polaków. Będąc jednym z nich i zarabiając na życie od trzydziestu lat pisaniem po polsku — nie uznaję żadnego autorytetu nad sobą w tej dziedzinie. Uwagi dotyczące mojej angielszczyzny przyjmuję zawsze z pokorą i wdzięcznością. Ale u nikogo nie zamierzam pobierać lekcji języka polskiego.

Własnego języka nie można się nauczyć — trzeba w nim wzróść. Czy emigracja polska może w tym wypadku zastąpić ojczyznę ? Innymi słowy czy Polak, który opuścił kraj pięcioletnim dzieckiem — może na emigracji wzróść i ukształtować się w języku polskim ? Sądzę, że nie.

Czy można być polskim pisarzem lub poetą, gdy nie spędziło się nawet tygodnia w mieście, w którym wszyscy mówią po polsku. Jeżeli ktoś opuścił Kraj kilkuletnim dzieckiem to w sensie językowym można przyjąć, że w Polsce w ogóle nie był. Polszczyzna jego, jako już wykształconego i dorosłego człowieka jest w całości polszczyzną emigracyjną. Oczywiście lekturą, studiami — można znajomość języka polskiego doprowadzić do wysokiego poziomu. Ale tą drogą nie nabierze się nigdy owej instynktownej pewności, którą dać mogą tylko lata przeżyte w atmosferze własnego języka.

Oczywiście można pisać po angielsku. Ale co ma robić młody pisarz, który wychował się wprawdzie zagranicą, ale pragnie pisać po polsku i dla Polaków ? Nie wielu takich mamy, ale przecież są i tacy. Co takiemu młodemu człowiekowi należy doradzić ?

Mamy trzy typy autorów piszących po polsku. Pisarzy krajowych — pisarzy emigracyjnych i pisarzy o dwóch wcieleniach. Ci ostatni stanowią interesującą nowość w historii polskiej literatury. Dawniej można było mówić po prostu i zwyczajnie o twórczości Melchiora Wańkowicza. Dzisiaj fraza ta wymaga bliższego określenia. Twórczość literacka Wań-

kowicza istnieje bowiem w dwóch wydaniach — w wydaniu krajowym i emigracyjnym. W tym wypadku nie chodzi o podział bibliograficzny, lecz o podział znacznie bardziej istotny. ,,Monte Cassino'' czy ,,Hubalczycy'' w wydaniu emigracyjnym różnią się treściowo od wydań krajowych. Nie ulega wątpliwości, że za oryginał uznać należy w tym wypadku wydanie emigracyjne. Wydanie krajowe jest bowiem przycięte do wymogów cenzury.

Pozycja starszych wiekiem pisarzy, którzy swe dzieła wydali, albo przed wojną albo zagranicą — jest niepomiernie korzystniejsza niż pisarzy młodych, znajdujących się na starcie. Wańkowicz godząc się na cięcia i skróty może sobie powiedzieć, że pełne oryginały jego dzieł są bezpieczne w bibliotekach prywatnych i publicznych zagranicą. I dzięki temu wydania krajowe może traktować jako wydania przejściowe. Zmieni się sytuacja, wówczas będzie można sięgnąć po oryginały i wydać je w kraju. Ktokolwiek zechce kiedyś pisać o twórczości Wańkowicza będzie musiał oprzeć się na tekstach oryginalnych, wydanych na emigracji a nie na ,,digestach'' krajowych. Ale w sumie, cena którą płacą pisarz w sytuacji Wańkowicza jest minimalna. Obcięcia dotyczą bowiem tylko wydania krajowego, a nie oryginału, który pozostaje nienaruszony.

Sprawa się komplikuje jeżeli cięcia dotyczą nie jednego wydania lecz oryginału. Znam w Londynie młodych poetów, których tomiki wierszy leżą od miesięcy u krajowego wydawcy, zatrzymane przez cenzurę. Czasem wystarczy skreślić kilka słów, czasem trzeba wyłączyć ze zbiorku dwa lub trzy wiersze.

Niezłomni, którzy już wszystko mają za sobą i dlatego z niezmierną łatwością zdobywają się na purytanizm i katonizm — zagrzmią w tym miejscu: ,,niech młodzi wydają swoje tomiki na emigracji''.

Choć jestem stary i nad wygnańczą mogiłą wydatnie pochylony — rozumiem tych młodych i moje sympatie są po ich stronie.

Wchodzą tu w grę dwa zagadnienia. Młody poeta czy pisarz na starcie — wychowany i wykształcony w Anglii — powinien co roku przynajmniej kilka tygodni spędzać w Polsce i słuchać żywej polszczyzny. Drugi problem to publikacje. Młody pisarz bez nazwiska, który chce pisać po polsku i dla Polaków — będzie dążył do wydawania swoich książek w Kraju. To jest zrozumiałe. Wierzyński może do końca życia nie wydrukować w Polsce jednej linijki i pozostanie Wierzyńskim. Każda nowa książka Miłosza wydana zagranicą będzie zawsze budzić zainteresowanie w Kraju, ponieważ jego pozycja jako poety i pisarza jest w Polsce ugruntowana od lat.

Na emigracji powstawały znakomite dzieła literackie — ale autorzy tych arcydzieł — czy to Mickiewicz czy Tomasz Mann — wyjechali zagranicę jako dojrzali ludzie i problematykę swoich ojczyzn unieśli wraz z sobą na emigrację. I my — pisarze emigracyjni — od skromnych wyrobników pióra zacząwszy (jak niżej podpisany), a na luminarzach jak Gombrowicz czy Miłosz skończywszy — piszemy w oparciu o ów kawał polskiego lądu, który wywieźliśmy w nas samych. Ani ,,Transatlantyku'', ani ,,Doliny Issy'', ani ,,Drogi do nikąd'' czy ,,Obozu Wszystkich Świętych'' nie mógłby napisać autor, który spędził w Polsce tylko pierwszych pięć lat swego życia.

I oto dochodzimy do sedna sprawy. Niezłomnym katonom, którzy uważają, że młodzi powinni być pisarzami emigracyjnymi — należy odpowiedzieć, iż pisarzem emigracyjnym może być tylko emigrant. Ktoś kogo wywieziono z Polski dwadzieścia lat temu małym dzieckiem emigrantem nie jest. Bogdan Czaykowski by zostać pisarzem emigracyjnym musiałby pomieszkać w Polsce dwadzieścia lat, a następnie „wybrawszy wolność" osiąść w Londynie.

Gdy odrzucimy cały emigracyjny „pol-realizm" i zakłamanie wypadnie obiektywnie stwierdzić, że przed młodym kandydatem na pisarza stoją tylko dwie drogi otworem: albo powrót albo język angielski. Innymi słowy młody człowiek w takiej sytuacji musi się albo „zanglicyzować" albo się spolszczyć. Nie można być polskim pisarzem nie znając Polski, kraju, atmosfery, gwar, a przede wszystkim ludzi. Emigracja tego wszystkiego nie zastąpi.

Powrót nie musi oznaczać osiedlenia się w Warszawie czy w Krakowie. Musi natomiast oznaczać akceptację Polski Ludowej. Kto chce wydawać w Kraju książki i publikować w prasie krajowej swoje utwory — kto chce co roku swobodnie po Polsce podróżować, ten musi zrezygnować z aktywnej postawy politycznego przeciwnika ustroju komunistycznego.

Młody architekt wracający z emigracji do Kraju może sobie powiedzieć: „będę budował domy, które są potrzebne Polakom bez względu na ustrój". Ale pisać książek „bez względu na ustrój" nie można.

Dylemat jest koszmarny. Albowiem w naszej sytuacji spolszczyć się musi oznaczać dla młodego pisarza rezygnację z tego wszystkiego w czym się na Zachodzie wychował i co w kulturze zachodniej jest najistotniejsze. To brzmi patetycznie ale niemniej odpowiada prawdzie. Decydując się na powrót młody pisarz musi świadomie zaakceptować wszystkie zasadnicze ograniczenia, które nakłada na ludzi pióra ustrój komunistyczny.

Przed młodym człowiekiem ścielą się inne perspektywy i inne możliwości. Młody człowiek liczyć może na czekanie i przetrzymanie. Dlatego młody pisarz w pewnym momencie dojść może do wniosku, że jego repolonizacja jest ważniejsza od wszystkiego innego. Jestem ostatni, który by go potępiał. Ale decydując się na świadome przyjęcie obroży nie należy tłumaczyć sobie i innym, że między obrożą a „open neck shirt", którą się do tej pory nosiło — nie ma żadnej różnicy.

LONDYŃCZYK

Przegląd niemiecki

Do niedawna w Niemczech Zachodnich w wypowiedziach na tematy niemiecko-polskie wyraźnie przeważał ton i sugestie nadawane przez Związki Wysiedleńców; sprowadzały się one do następujących tez:

— Utrzymanie za wszelką cenę przedwojennych granic Niemiec, przy czym maksymaliści tej tezy uważają nawet zdobycze Hitlera w Kłajpedzie i w Czechach (układ monachijski z 1938 roku) za obowiązujące w zrozumieniu prawa międzynarodowego.

— Sugerowanie Polakom, żeby sobie odbierali utracone Wilno i Lwów, a może nawet Mińsk i Kijów, w czym mogą liczyć na jak najwydatniejszą pomoc niemiecką, jeżeli dobrowolnie zwrócą powojenne nabytki terenowe.

— Wytłumaczenie Czechom i Słowakom, że powrót Niemców do Czechosłowacji jest koniecznością i leży w interesach tych narodów.

— Przekonanie zarówno Polaków, jak Czechów i Słowaków, a także całej Zachodniej Europy, że tego wszystkiego można dokonać bez myśli o odwecie, bez zemsty i gwałtów, a w najlepszej zgodzie.

— Jak najostrzejsze przeciwdziałanie wszelkim, choćby drobnym, przejawom odstępstwa od powyższych tez.

Stąd pochodziły interwencje dyplomatyczne o mapki umieszczone w samolotach angielskiej linii lotniczej, przedstawiające Odrę i Nysę jako zachodnią granicę Polski. Stąd wiele hałasu prasowego, gdy prezydent Eisenhower ukazał się w amerykańskiej telewizji na tle mapy Europy z granicą Polski na Odrze. Stąd próby oddania pod sąd, jako zdrajcy stanu, poważnego autora i publicysty P.W. Wenger'a, który odważył się głosić i publikować swe bardzo przeciwstawne poglądy. Stąd także stale spotykamy w prasie wysiedleńców ostre piętnowanie wszelkiej myśli o jakichkolwiek ustępstwach i niemal homeryckie boje, toczone z politykami typu profesora Carlo Schmid'a, znajdującego jednak coraz liczniejszych naśladowców.

Ale ostatnie miesiące przyniosły sporo znamiennych ewolucji w stosowaniu rygorów tego „Grossdeutschrealizmu" — jak może nazwałby to zjawisko Józef Mackiewicz. Zaczęło się od incydentu z utrąceniem projektu ministra spraw zagranicznych, von Brentano, który zamierzał podczas ostatniej konferencji genewskiej wystąpić z propozycją zawarcia „paktu nieagresji" między Bonn a Warszawą i Pragą. Projekt storpedowały zabiegi Kierownictwa Związków Wysiedleńców, jednakże koncepcja nie została pogrzebana i w kołach rządowych trwają dalsze rozważania, zmierzające do jakiegoś ruszenia z martwego punktu stosunków między Bonn a Warszawą.



Następnym incydentem było ustalenie kilkunastoosobowej delegacji zachodnio-niemieckiej na zjazd Międzynarodowej Unii Parlamentarnej, obradującej w Warszawie między 27 sierpnia a 4 września. Początkowo wyznaczono proporcjonalną ilość posłów ze wszystkich ugrupowań Bundestagu. Warszawa nadesłała wizy wjazdowe dla wszystkich członków delegacji, ale w prasie warszawskiej ukazały się napastliwe wypowiedzi pod adresem delegatów reprezentujących jednocześnie Bundestag i kierownictwo Związków Wysiedleńców. Na skutek tych napaści, partie rządowe wycofały cały skład swej delegacji, wysyłając tylko jednego posła. Delegaci opozycji pojechali w niezmienionym komplecie.

W wyniku pobytu w Warszawie delegat partii rządzących, poseł Kopf, nie ukrywa „niespodziewanych doświadczeń", jakie parlamentarzyści

niemieccy wywieźli z Polski i oświadczył, że na najbliższym posiedzeniu komisji spraw zagranicznych Bundestagu, podda obszernej dyskusji owe wywiezione z Polski ,,niespodziewane doświadczenia". Czy ta dyskusja potoczy się całkowicie zgodnie z przykazaniami ,,Grossdeutschrealizmu — można powątpiewać.

◆

Dalszy incydent wydarzył się podczas owacyjnego powitania, zgotowanego prezydentowi USA w Bonn. Powitanie było całkowicie pozbawione jakichkolwiek cech planowanego i dyrygowanego entuzjazmu, a nieprzeliczone tłumy witały Eisenhowera z niekłamanym zapałem. Udział w powitaniu był tak ogólny że — jak z wyrazem ulgi stwierdził szef policji w Bonn — ,,nawet ciemne elementy nie wykorzystały braku policji w śródmieściu i ilość przestępstw popełnionych w tym czasie była znikoma".

Dysonansem były jedynie transparenty z napisami : ,,Sudety", ,,Górny Śląsk", ,,Pomorze", ,,Drugi Wersal". Były one dziełem Kierownictwa Związku Wysiedleńców.

Jaki skutek odniesie ta transparentowa demonstracja na zewnątrz — nie sposób ocenić. Natomiast w Niemczech pewno nie przysporzy popularności Kierownictwu Związków Wysiedleńców, — przeciwnie, już wzmogła nasilenie głosów krytycznych.

◆

Myśl poddania rewizji obowiązujących dotychczas kanonów ,,Grossdeutschrealizmu" rozszerza się także i wśród Niemców bezpośrednio dotkniętych wysiedleniem. Nie jest to zjawisko nowe. Istnieje ono już dość dawno, było jednak raczej przejawem rezygnacji, a nie czynnego programu politycznego Ale ostatnio można zaobserwować coraz liczniejsze próby znalezienia nowych dróg i stąd jednocześnie wzmożone przeciwdziałanie obrońców dawnego porządku rzeczy.

Ciekawym przykładem postępującej ewolucji jest, opublikowana przez organ informacyjny Zjednoczonych Organizacji Uchodźców, wymiana listów między posłem do Budestagu, baronem Manteuffel-Szoege, a wysokim urzędnikiem Wydziału Wschodniego Ministerstwa Spraw Zagranicznych, byłym posłem Niemiec Zachodnich w Waszyngtonie — von Kessel. Korespondencja rozpoczęła się następującym listem :

,,Wielce Szanowny Panie von Kessel ! Jak się dowiaduję, wygłosił Pan niedawno, na młodzieżowym zebraniu arystokracji nadreńskiej, referat, w którym Pan wywodził że ,,sztywna postawa" wobec satelitów musi być zarzucona i że należy nawiązać stosunki dyplomatyczne. Na zarzut pewnej wysiedlonej węgierskiej studentki, że taka polityka byłaby zdradą węgierskiego i polskiego narodu, odpowiedział Pan, że młoda dama nie jest dostatecznie obznajomiona ze sprawami polityki zagranicznej. Na zapytanie jednego z uczestników co na taką politykę powiedzą Związki Wysiedleńców, miał Pan odpowiedzieć, że te Związki prowadząc nadal dotychczasową politykę przegrają bez reszty swoją ojczyznę. Uczestnicząca młodzież była przez Pana wezwana do zachowania milczenia o usłyszanym referacie. Te ciężkie zarzuty przeciw Związkom Wysiedleńców zmuszają mnie — jako członka prezydium Zjednoczonych Organizacji Wysiedleńców — do zwrócenia się z prośbą o Pańskie wyjaśnienia".

W następnym numerze „Deutscher Ostdienst" (Nr 6 z 7.IX.59) opublikowano odpowiedź posła von Kessel :

„Wielce Szanowny Baronie Manteuffel-Szoege ! Rzeczywiście przed kilku tygodniami wygłosiłem odczyt w majątku pana von Boeselager. Pan von Boeselager na początku, albo po zakończeniu mego wykładu, zażądał od obecnych, aby nic o czym się tu mówi nie wyszło poza nasze koło, gdy publiczna dyskusja byłaby niemożliwa. Osobiście zaznaczyłem, że życzenie gospodarza jest także i moim.

W swoim odczycie rzeczywiście wyraziłem wiarę, że lepiej byłoby, abyśmy w stosunku do naszych satelickich sąsiadów byli mniej sztywni. Nie powiedziałem przeto nic innego niż minister spraw zagranicznych oświadczał i proponował w ostatnich tygodniach. W wynikłej dyskusji dałem wyraz swemu przekonaniu, że jeżeli my wysiedleni — jako były właściciel majątku na Śląsku uważam się za uprawnionego przemawiać we własnej sprawie — odrzucimy nawiązanie stosunków z Polską i dopiero kiedyś później powrócimy do rozmów o wschodnich terenach, to świat zachodni wówczas słabiej będzie popierał nasze roszczenia rewizyjne, a Polacy będą nadal kolonizować te tereny. Mówiłem tedy o „Wysiedlonych", a nie o „Związkach Wysiedleńców".

W związku z tym interesowałoby mnie, jako wysiedlonego, jak Związki wyobrażają sobie odzyskanie wschodnich terenów : ponieważ żadnej wojny prowadzić nie możemy i nie chcemy, pozostaje jedynie droga bilateralnych pertraktacji — bilateralnych, gdy Moskwa nam tych terenów z całą pewnością nie odda — zresztą droga, po której kroczyliśmy w zagadnieniu Saary z dużym sukcesem.

Co się tyczy wypowiedzi węgierskiej studentki, to była ona od pierwszego zdania niezwykle porywcza i osobiście agresywna. Mając na względzie jej losy, absolutnie nie brałem jej tego za złe i tylko żeby z dyskusji usunąć osobisty charakter powiedziałem w końcu, że w tych zagadnieniach należy uwzględniać większe światowo-polityczne zależności, których w dyskusji ograniczonej czasem, nie zdołamy wyczerpać.

Kończąc pragnę zaznaczyć, że w przyszłym tygodniu rozpoczynam urlop, a od 1 października na własne życzenie przechodzę w stan spoczynku. Pragnę także, w pewnej mierze już jako osoba prywatna, wejść w kontakt z Panem, aby poznać Pańskie poglądy na naszą politykę wschodnią. Wydaje mi się że poznaliśmy się w pierwszych latach wojny, kiedy Pan pracował w Ministerstwie Spraw Zagranicznych".

W tym samym numerze „Deutsche Ostdienst" opublikowano następny, tym razem bardzo długi list barona Manteuffla do posła von Kessel. Nie on nas jednak w tej chwili interesuje, ale notatka redakcyjna, poprzedzająca teksty obu listów, a donosząca, że

„Ta dyskusja łącząca się z ustąpieniem von Kessel'a ze służby czynnej jest specjalnie pouczająca — według doniesień prasowych ten miarodajny współpracownik Wydziału Wschodniego M.S.Z. złożył prośbę o przeniesienie w stan spoczynku, gdyż nie zgadza się z polityką wschodnią Kanclerza".

Z tych rzeczywiście pouczających dyskusji i notatki można by wnioskować że :

— Poglądy Kanclerza pokrywają się ściśle z poglądami Związków Wysiedleńców : wniosek taki wydaje się nie odpowiadający rzeczywis-

tości, natomiast „Deutscher Ostdienst" na pewno pragnąłby taki wniosek zasugerować jak najszerzej.

— Kto jest w nazbyt kontrowersyjnej opozycji do poglądów Związków Wysiedleńców, łatwo może ulec gwałtownemu pragnieniu przejścia w stan spoczynku ; taki wniosek byłby nieuzasadniony przecenianiem wpływów „Związków".

— Istnieją i rozwijają bardzo aktywną działalność „Związki Wysiedleńców, ale jednocześnie także żyją i myślą po prostu „Wysiedleńcy"; jest to wniosek całkowicie słuszny : nie tylko że istnieją po prostu „Wysiedleńcy" nie myślący kategoriami „Grossdeutschrealizmu", ale ilość ich wzrasta, choć znaczenie ich jest na ogół nie doceniane, tak jak znaczenie „Grossdeutschrealistów" jest przeważnie przeceniane.



Równocześnie z wielkimi przemianami w Niemczech utrwalają się w Europie Wschodniej wyniki procesów dziejowych, które w latach 1940-50 w gwałtowny sposób oddzieliły Polaków od Ukraińców, Białorusinów, Litwinów i Niemców, procesów które radykalnie zepchnęły ze wschodnich obszarw kolonizacyjnych polszczyznę do Bugu i Sanu, a niemczyznę do Odry i Nysy i nawet grożą niemczyźnie dalszym odepchnięciem za Elbę.

Czy wyniki tych procesów można odwrócić ? Czy granice państwa niemieckiego można z powrotem przesunąć na Wschód, na linie z 1914 czy 1937, może z 1942 roku ? Czy Polacy mogą myśleć o powrocie za Bug i San do granic traktatu ryskiego, lub do granic z czasów wspólnoty państwowej litewsko-polskiej ?

Wydaje się, że dziś znaczna większość zarówno Niemców jak i Polaków nie myśli poważnie o takich możliwościach. Okoliczność że „Grossdeutschrealiści" snują takie marzenie, a „Polrealiści" śnią z niemniej bujną fantazją o pozostaniu nad Odrą i o powrocie do Wilna i Lwowa, czy może jeszcze dalej na Wschód, nie zmieni faktu że stale będzie wzrastać ilość zarówno Polaków jak i Niemców — nie wyłączając wysiedleńców — wątpiących aby takie projekty, choćby najzręczniej propagowane, mogły odmienić bieg utrwalającego się procesu historycznego.



W dwudziestą rocznicę wybuchu wojny Kanclerz Niemiec Zachodnich wygłosił mowę radiową do Polaków. Pomijam motywy i kulisy tej mowy, myślę jednak że warto uważnie zaznajomić się z jej treścią, która w dosłownym tłumaczeniu brzmiała następująco :

„Przed dwudziestu laty, 1 września 1939 roku, rozpoczęła się wojna. Długie lata panowały w Europie, na morzach i w innych częściach świata okropności i gwałty. Po ustaniu działań wojennych, okropności i gwałty zamieniły się w okres strachu, spowodowanego straszliwymi broniami, jakich dotychczas ludzkość nie znała. Mimo upływu dwudziestu lat, prawdziwy pokój dotychczas nie zapanował na naszym globie.

Nie chcę dzisiaj wygłaszać politycznej mowy, pragnę jednak powiedzieć : Zadaniem wszystkich ludzi, obojętne jakiego wyznania, jakiego koloru i jakich politycznych przekonań, jest zakończyć stan niepokoju i zbrojnego strachu, przywrócić trwały spokój światu, wypełnionemu lękiem, tak aby wszystkie narody mogły się oddawać wewnętrznemu i zewnętrznemu postępowi.

Ale specjalne słowa muszą być dzisiaj poświęcone narodowi, który wskutek napaści wojsk hitlerowskich Niemiec i Związku Sowieckiego stał się piewszą ofiarą wojny : myślę o Polskim Narodzie. Wiele ponad sto lat ten sympatyczny naród, bez jakiejkolwiek własnej winy, cierpiał w wojennych i politycznych sprzecznościach Europy ; trzykrotnie rozrywany i dzielony, przed dwudziestu laty stał się pierwszą ofiarą ostatniej wojny, gdy Niemcy Hitlera i Związek Sowiecki napadli i okrutnie zniszczyli jego kraj.

Dzisiejsze Niemcy są innymi Niemcami niż były za Hitlera. Triumfalne przyjęcie, zgotowane przed kilku dniami zwycięskiemu wodzowi antyhitlerowskich wojsk wskazuje dobitniej niż słowa to mogą wyrazić, jak głębokie nastąpiły przemiany wśród Niemców w porównaniu do czasów narodowego socjalizmu, jego doktryn i jego czynów. Dlatego mówię z najgłębszym przeświadczeniem, że te Niemcy, te nowe Niemcy, staną się dobrym sąsiadem Polski.

Podczas ostatniej wojny byłem w obozach koncentracyjnych razem z polskimi żołnierzami i oficerami. Związała nas wówczas więcej niż wspólnota niedoli obozowej : powstała między nami wspólnota oparta na fundamencie głębokiej zgodności duchowej.

W ciągu ubiegłych dziesięciu lat, jako kanclerz Niemieckiej Republiki Związkowej, wielokrotnie oświadczałem i powtarzam dziś to oświadczenie : Naszym dążeniem będzie ustalić Porozumienie, Poszanowanie i Sympatię między dzisiejszymi Niemcami i Polskim Narodem, aby na tym gruncie wyrosła z czasem prawdziwa przyjaźń".

S. W. KOZŁOWSKI

Kronika berlińska

ZACHODNI BERLIN

Tegoroczna jesień w Niemczech jest rzadko piękna. Złoci się słońcem, niebieści pogodnym niebem, i pęcznieje dorodnym winem. Koniunktura „cudu gospodarczego", mimo poważnych wahnięć w gospodarce węglowej nad Ruhrą, które powstały na skutek wypierania węgla przez paliwa płynne, święci nieprzerwanie triumfy. Nawet zachodni Berlin grzeje się dziś mocniej w słońcu tej koniunktury, niż w poprzednich latach. Jak oświadczył w połowie września burmistrz Brandt przed tutejszym parlamentem miejskim — liczba bezrobotnych spadła od zeszłego roku z 60.000 do 38.000, przy czym w niektórych zawodach odczuwa się dotkliwy brak siły roboczej, a eksport przemysłu berlińskiego wzrósł o przeszło

23 procent. Chyba nigdy jeszcze w powojennych latach tylu mieszkańców tego miasta nie spędziło urlopu we Włoszech, Hiszpanii, Austrii i Szwajcarii, a nawet w Afryce, co w tym roku. Po dziś dzień linie lotnicze na trasach południowych są wykupione do ostatniego miejsca.

I chociaż w Genewie nie doszło do żadnego porozumienia z Rosją, które gwarantowałoby *status quo* położenia zachodniego Berlina, wszelkie symptomy kiełkującej zimą i na wiosnę paniki, odpływu kont bankowych, wstrzymania projektów budowlanych i pośpiesznego szukania pracy i mieszkań w Republice Federalnej, znikły nieomalże zupełnie. Nie znaczy to bynajmniej, że ludność berlińska zapomniała o wciąż jeszcze grożącym jej niebezpieczeństwom. Ale i tu odczuwa się — a może jeszcze bardziej niż gdzie indziej — zmiany w polityce na wysokim szczeblu. ,,Dopóki tam na górze będą gadać, nie mamy się czego bać'' — brzmi najczęściej powtarzana obecnie w Zachodnim Berlinie formuła. Jest w tym powiedzeniu bezsprzecznie pęd do ucieczki od nieprzyjemnych perspektyw, zawartych w sowieckich projektach, jak też świadomość własnej niemocy wobec wielkiej polityki.

Ale za tą pozorną fasadą spokoju i sztucznego optymizmu kryją się bardzo sceptyczne poglądy a nawet niewiara, aby mogło dojść do jakiejś trwałej ugody między Zachodem a Rosją. Miejscowi politycy mówią co prawda o tym niechętnie, a gazety unikają świadomie wszelkich poważnych dociekań na tematy berlińskie, nie chcąc się narazić na zarzuty wschodniego sąsiada, że psują klimat koegzystencji. A zresztą nie chcą siać niepokoju i zamętu wśród zdyscyplinowanej ludności. Zostawiają tę domenę artystom politycznego kabaretu ,,Stachelschweine''.

Kabaret ten świetnie oddaje atmosferę Berlina, stosunek jego mieszkańców do tzw. wielkiej polityki : zdrowy rozsądek, graniczących często z cynizmem.

NIEMCY WSCHODNIE PO GENEWIE

Komunistom wschodnio-niemieckim obecny rozwój sytuacji nie zupełnie przypada do smaku. Od początku sowieckiej ofensywy w sprawie Berlina, liczyli na ultymatywną politykę Moskwy i jak na razie przeliczyli się. Ultimatum zostało cofnięte, a ich reżym — w obliczu rozmów amerykańsko-rosyjskich — nie ma dużo do powiedzenia. Ale w ostatecznym bilansie konferencji genewskiej mają ważne powody ku temu, aby być z jej przebiegu zadowolonymi. We wszystkich rozmowach przedstawiciele władz partyjnych i rządowych zwracają stale uwagę na to, że nareszcie udało się przeforsować, przez długie lata zwalczaną na Zachodzie tezę w sprawie udziału przedstawicieli obydwu państw niemieckich. W Berlinie Zachodnim niektórzy politycy udają jakby nic o tym nie wiedzieli, ale są i tacy Berlińczycy, którzy widzą w tym pierwszy krok w kierunku uznania tzw. Niemieckiej Republiki Demokratycznej przez mocarstwa zachodnie najpierw de facto, a później i de jure. Jakby nie było, fakt, że na konferencji genewskiej zasiadali obserwatorzy z Niemiec zachodnich i wschodnich w tym samym charakterze i z tymi samymi prawami, stanowi niebyle jaki sukces reżymu SED. Przez długie lata komuniści wschodnio-niemieccy kołatali do przedpokojów kancelarii dyplomatycznych Zachodu

zawsze z tym samym negatywnym skutkiem. Tylko raz, bodajże w 1952 roku przedstawiciele rządu wschodnio-niemieckiego mieli możność wyłuszczenia swojego punktu widzenia przed specjalną komisją ONZ na sesji w Paryżu. Dopiero berlińska ofensywa Chruszczowa złamała opór Zachodu i Bonn przeciwko konsultacjom komunistów ze wschodniego Berlina. Dla rządów Ulbrichta, Grotewohla jest to wielka zdobycz, bo dotychczas Niemcy wschodnie nie były w stanie przełamać blokady dyplomatycznej świata niekomunistycznego. Wiadomo, że dotychczas NRD posiada stosunki dyplomatyczne tylko z blokiem wschodnim i z Jugosławią. Zresztą nawiasem mówiąc, Belgrad wyszedł na uznaniu NRD jak przysłowiowy Zabłocki na mydle. Sympatii Ulbrichta i Grotewohla sobie nie pozyskał i nagonki przeciwko opozycji komunistycznej wewnątrz SED nie ukrócił, natomiast naraził się na zerwanie stosunków dyplomatycznych z Niemcami zachodnimi. Podobno dyplomacja jugosłowiańska idąc na ten krok ufała głosom prasy zachodnio-niemieckiej, że rząd boński nie poważy się nigdy na odwołanie swojego ambasadora z Belgradu. Ale i ówczesny ambasador Adenauera w Belgradzie, zresztą już nieboszczyk, dr Pfleiderer, który reprezentował dość samodzielnie swój punkt widzenia, uspokajał w podobnym duchu polityków jugosłowiańskich. W każdym razie przykład Jugosławii przestraszył wszelkich amatorów nawiązania stosunków dyplomatycznych z Niemcami Wschodnimi. Co prawda premier Grotewohl odbył niedawno podróż po krajach arabskich i zabiegał u Nehru przynajmniej o wymianę konsulatów, ale nic nie wskórał. Kiedy jednak państwa zachodnie pójdą na de facto uznanie NRD, już nazajutrz posłowie krajów arabskich, Indii i prawdopodobnie Finlandii, będą stali w ogonku w Ministerstwie Spraw Zagranicznych we wschodnim Berlinie. Stosunkowo największą sympatią cieszą się komuniści wschodnio-niemieccy w krajach arabskich. Pomaga im w tym fakt, że dotychczas rząd Ulbrichta i Grotewohla nie zapłacił Żydom prześladowanym przez reżym hitlerowski ani złamanego szeląga tytułem odszkodowań. Stąd też polityczni komiwojażerzy wschodnio-niemieccy mogą z powodzeniem w Kairze i Bagdadzie wytykać palcem na Bonn, że tam rządzą rzekomo filosemici, którzy płacą grube pieniądze Izraelowi, przyczyniając się tym samym do zagrażania ruchom wyzwoleńczym świata arabskiego. Ci sami panowie rozmawiając z łatwowiernymi ultralewicowcami z Londynu, którzy w ostatnich miesiącach coraz częściej odwiedzają Berlin wschodni, zapewniają, że antysemici siedzą wyłącznie w Bonn. Jak dotąd tego rodzaju metoda daje jak najlepsze wyniki.

O Anglikach w Niemczech wschodnich — oczywiście wśród ludności a nie w kołach reżymowych, które są zachwycone — zaczyna panować jak najgorsze mniemanie. Przyczynił się do tego głównie b. labourzystowski minister obrony Shinwell, który po kilku dniach pobytu w NRD udzielił rozgłośni wschodnio-berlińskiej i pismom komunistycznym nie bardzo mądrego wywiadu. Oświadczył on ni mniej ni więcej, że nie spotkał się nigdzie w Niemczech wschodnich z symptomami jakiegokolwiek ucisku politycznego, przeciwnie wydaje mu się, że ludność żyje jak najzupełniej swobodnie. Rozmawiałem o tym z pewnym starym socjaldemokratą, majstrem fabrycznym we wschodnim Berlinie. Opinia o panu Shinwellu wypadła niezbyt pomyślnie. „Nie tylko starzy towarzysze socjaldemokraci" — opowiadał mi mój znajomy — „ale nawet młodzi chłopcy, którzy bie-

gają w niebieskich koszulach komunistycznej organizacji FDJ, przeczytali z odrazą wypowiedzi tego niby socjalisty. Panie, jak się taka świnia nie wstydzi coś podobnego ogłaszać i to w dodatku w radio wschodnio-niemieckim ?" W Niemczech wschodnich a także i w Berlinie szerzy się pogląd, że Anglicy pierwsi zdezerterują ze wspólnego frontu i tym samym zmuszą Waszyngton, Paryż i Bonn do uznania *status quo* na Łabie. Są w tych opiniach niewątpliwie jakieś pozostałości przez długie lata wpajanych w niemieckie głowy propagandowych haseł o ,,perfidnym Albionie", ale trudno odmawiać tym zaniepokojonym ludziom pewnej racji, zwłaszcza kiedy się ma do czynienia z wypowiedziami w rodzaju wywiadu Shinwella lub z takim faktem, jak przerzucenie korespondenta agencji Reutera z Bonn do wschodniego Berlina z oficjalną misją dziennikarską.

WALTER ULBRICHT O PAKCIE HITLER — STALIN

Dwudziesta rocznica agresji hitlerowskiej na Polskę została przez komunistyczną propagandę partii SED wykorzystana w celach wybielenia Ulbrichta od nieprzyjemnego zarzutu, że jakoby kiedyś miał wypowiedzieć się pozytywnie o porozumieniu między Stalinem i Hitlerem z 23 sierpnia 1939 r. Tego niewdzięcznego zadania podjął się jeden z naczelnych ,,ideologów", sekretarz komitetu centralnego, Albert Norden. Potrzeba takiej publicznej ekspiacji wodza partii wynikła stąd, że działające w zachodnim Berlinie wydawnictwo ,,Aequator-Verlag" rozkolportowało w Niemieckiej Republice Demokratycznej broszurę pod tytułem ,,Wielka zdrada", której tematem były rozmaite zbrodnie Stalina i systemu stalinowskiego, a szczególnie rola Rosji w wojnie hiszpańskiej, pakt z Hitlerem, antysemityzm, wytępienie komunistów polskich. Pośród opublikowanych dokumentów znalazły się również cytaty z osławionego artykułu Ulbrichta, ogłoszonego w lutym 1940 r. w piśmie komunistów niemieckich ,,Die Welt", które się ukazywało w Sztokholmie. Norden oskarżył autorów wspomnianej broszury o zwykłe fałszerstwo. Zaintrygowany przedmiotem sporu, wypożyczyłem sobie od znajomego niemieckiego ekskomunisty komplet, rzadkiego dziś zresztą sztokholmskiego ,,Welt'u" i oto co znalazłem w 6 numerze z datą 9 lutego 1940 roku. Walter Ulbricht pisał : ,,Wielu ludzi pracujących, którzy pragną socjalizmu, wita ów pakt naprawdę, gdyż wzmacnia on przyjaźń z wielkim krajem Sowietów". Trochę dalej czytam następujące zdania : ,,Rząd niemiecki zadeklarował gotowość do utrzymywania przyjaznych stosunków ze Związkiem Sowieckim, podczas gdy angielsko-francuski blok wojenny dąży do wojny przeciwko socjalistycznemu Związkowi sowieckiemu". I dalej w tym samym duchu pisał dzisiejszy przywódca komunistów niemieckich : ,,Dlatego nie tylko komuniści, ale i wielu robotników socjal-demokratycznych oraz narodowo-socjalistyczny lud pracujący, widzą swe zadanie w tym, aby za żadną cenę nie dopuścić do zerwania paktu. Bo kto intryguje przeciwko przyjaźni między niemieckim i sowieckim narodem, ten jest wrogiem narodu niemieckiego i zostanie napiętnowany jako wspólnik imperializmu angielskiego". Najkapitalniejszym odkryciem jest jednak fakt, że Ulbricht wyraził wówczas swą solidarność z podbojem Polski przez Hitlera, używając określenia, ,,obce narody zostały włączone do wielonarodowościowego państwa nie-

mieckiego". (W niemieckim oryginale artykułu Ulbrichta definicja ta brzmi : „im deutschen Nationalitaetenstaat eingegliederten Voelkern"). Zresztą Walter Ulbricht napisał wtedy także znamienne słowa : „Klasa robotnicza, chłopi i pracująca inteligencja Niemiec, Austrii, Czechosłowacji i Polski będą najsilniejszymi czynnikami, gwarantującymi pakt sowiecko-niemiecki i klęskę planów brytyjskich".

STOSUNKI MIĘDZY NRD A POLSKĄ

Wnioskując z tonu urzędówek wschodnio-berlińskich i warszawskich, można by przyjąć, że między Ulbrichtem a Gomułką, między SED a PZPR i obydwoma rządami panują jak najczulsze stosunki. Rzeczywistość oglądana z bezpośredniej bliskości i trochę od „podszewki" przedstawia się inaczej. Reżym Ulbrichta szkodzi Gomułce jak i gdzie tylko może. Komuniści wschodnio-niemieccy prowadzą wewnątrz partii agitację, w której nadal szkalują politykę PZPR. Od przemian październikowych na rynku księgarskim NRD nie ukazała się prawie żadna książka tłumaczona z polskiego, podczas gdy w NRF wydano cały szereg pozycyj. Prywatne wyjazdy turystyczne do Polski są konsekwentnie i celowo utrudniane przez władze policyjne i paszportowe. Wizyta Nixona w Warszawie została pokwitowana na zewnątrz oziębłym milczeniem, a wewnątrz aparatu partyjnego jak najgorszymi oskarżeniami i insynuacjami pod adresem Rapackiego, Cyrankiewicza a nawet Gomułki.

Wymiana naukowa z wyjątkiem dyscyplin techniczno-przyrodniczych uległa nieomal zupełnej likwidacji. Szczególnie boją się tutaj polskich historyków, filozofów, krytyków literackich. Wszystko, co się ukazuje w ruchu wydawniczym w Polsce jest traktowane jako niebezpieczna „bibuła" antykomunistyczna. Jedynymi ludźmi o których w otoczeniu Ulbrichta panuje dobra opinia, to Zawadzki, Zenon Nowak, Franciszek Mazur, Witaszewski, z pomniejszych : Werblan, Starewicz i Dłuski. Z pisarzy cieszy się powodzeniem bodajże tylko Kruczkowski i Iwaszkiewicz. Nawet Putramenta nie darzą zbytnią sympatią. Natomiast bardzo wysoko są nadal notowane akcje Piaseckiego i całego PAX'u, szczególnie w kołach pro-komunistycznej Unii Chrześcijańskiej, której czołowi działacze już od wielu lat współpracują jak najściślej z paxowcami.

Od strony społeczeństwa sprawa stosunków polsko-niemieckich wygląda wręcz odwrotnie. Choć zainteresowanie Polską pod wpływem odwrotu rządów gomułkowskich od wielu zdobyczy czy obiecanek Października wyraźnie zmalało, mimo to Polska ma w NRD wielu sympatyków. Ludzie interesują się losem i wynikami reform popaździernikowych, a głównie polityką rolną PZPR, literaturą i sztuką. Studenci, a nawet i przedstawiciele starszej generacji uczą się polskiego.

KOMUNIŚCI I HITLEROWCY

Działający w zachodnim Berlinie tzw. Komitet Wolnych Prawników wydał niedawno broszurkę o b. hitlerowcach w NRD pod tytułem „Ehe-

malige Nationalsozialisten in Pankows Diensten". Przeglądam broszurkę i odnotowuję rozmaite ciekawostki : Otóż okazuje się, że pod proletariacko-anty-faszystowską politurą reżymu wschodnio-niemieckiego działa na rozmaitych stanowiskach 180 oficerów polityków, dziennikarzy, naukowców, a nawet bardzo wysokich urzędników, którzy kiedyś nosili odznakę partii hitlerowskiej. Wszystko bardzo skrupulatnie sporządzone, uporządkowane według alfabetu i zaopatrzone w jak najdokładniejsze daty : wstąpienia do partii, numeru książeczki NSDAP, lub karty SS-owskiej. Okazuje się, że nawet szef prasy rządu wschodnio-niemieckiego Kurt Blecha, obecnie członek partii komunistycznej, należał do zwolenników Hitlera. Do partii nazistów wstąpił w 1941 roku, w kilka miesięcy po uderzeniu na Rosję Sowiecką. Najlepszy kawał udał się autorom broszurki ze zdemaskowaniem Ernsta Grossmanna, członka Komitetu Centralnego SED i przewodniczącego wzorowego kołchozu wschodnio-niemieckiego im. Waltera Ulbrichta, poza tym ,,Bohatera Pracy", który na XIX Zjeździe partii sowieckiej został wysłany w charakterze delegata do Moskwy. Tenże Grossmann — jak się okazuje — jako aktywny nazi z numerkiem legitymacji NSDAP Nr 6855320, uczestniczył w likwidacji Republiki Czechosłowackiej, a w czasie drugiej wojny światowej należąc do elity oddziałów Himmlera, tzw. SS-Totenkopfverband, był podoficerem załogi obozu koncentracyjnego w Sachsenhausen. Przykra to historia dla Partii Ulbrichta tym bardziej, że w broszurce widnieje zdjęcie wybitnego obecnie komunisty w autentycznym mundurze SS. Bujną przeszłość ma za sobą rektor Akademii Nauk Państwowych i Prawniczych profesor Herbert Kroeger, kawaler komunistycznego ,,Orderu Zasługi dla Ojczyzny", wpływowy członek partii komunistycznej, poseł do parlamentu wschodnio-niemieckiego i współredaktor ideologicznego organu SED ,,Einheit". Otóż był on w partii hitlerowskiej i w SA, SS, a nawet w specjalnej komórce podlegającej bezpośrednio głównemu urzędowi służby bezpieczeństwa Himmlera. A oto wyższy urzędnik wschodnio-niemieckiego ministerstwa bezpieczeństwa, niejaki Kurt Lange. Ten pracował bezpośrednio w kierownictwie hitlerowskiej policji tajnej i przesłuchiwał jako członek komisji specjalnej uczestników antyhitlerowskiej rewolty z 20 lipca 1944 roku. Najciekawszą karierę zrobił chyba jednak sędziwy profesor Peter Adolf Thiessen przewodniczący Rady Naukowej przy rządzie DDR, odznaczony najwyższymi odznakami w państwie Ulbrichta, a nawet sowieckim orderem Lenina. Ten był jednym z pierwszych hitlerowców bo wstąpił do partii nazistowskiej jeszcze w 1925 roku, mając zaszczytne miejsce w kolejności członkowskiej, mianowicie Nr 3096. Nie brakuje w tej kolekcji kierownika partii nazistowskiej we Lwowie z czasów okupacji Horsta Dreslera-Andressa, który co prawda jest teraz tylko reżyserem teatru w Eisenach w Turyngii.

Oczywiście, że b. nazistów w rozmaitych urzędach jest więcej w Niemczech zachodnich niż w konkurencyjnym państwie wschodnim, ważne jest jednak to, że dotychczas w Berlinie wschodnim twierdzono z uporem, iż u nich czystka antyhitlerowska została przeprowadzona jak najgruntowniej.

BERLIŃCZYK

Obrotowy Winkelried

W jednym z czerwcowych numerów *Tygodnika Powszechnego* ukazał się artykuł Stanisława Stommy: ,,Cień Winkelrieda'' (1), który porusza zagadnienia warte szczególnej uwagi.

Autor tego artykułu widzi w wypowiedziach niektórych publicystów zagranicznych i w inspiracjach niektórych grup emigracyjnych dążenie do zwiększenia konfliktów politycznych wewnątrz naszego kraju. Uważa on dalej, że wpychanie nas na tę drogę napięcia i walki podyktowane jest ,,cudzym interesem politycznym'' zgodnie z tradycją cierpiętnictwa i romantycznego ,,winkelriedyzmu'', w którym Polsce zawsze przypadała rola bezgranicznych poświęceń dla drugich. Tej linii politycznej Stomma przeciwstawia ideę wewnętrznego pokoju i pracy nad polskim eksperymentem dobrego sąsiedztwa z Rosją sowiecką i współżycia z krajowymi komunistami w bloku socjalizmu i demokracji ludowej. Wobec tej jedynej, w przekonaniu Stommy, realnej linii politycznej stanowisko emigracji rysuje się jako ciasny ekstremizm, pełen tępej zaciętości ludzi, którzy ,,liczyli na odbudowę państwa w oparciu o Zachód'' — i przegrali definitywnie. Zgodnie ze schematem komunistycznym autor artykułu uważa właściwie wszystkie polityczne środowiska polskiej emigracji albo za ekspozytury obcego interesu, albo za zespoły graczy politycznych, albo za ludzi zawieszonych w próżni.

Artykuł ten powinien wywołać szerszą dyskusję. I autor i waga poruszonych spraw i charakter zarzutów zmusza każdego, kto świadomie znalazł się za granicą jako emigrant polityczny, do odpowiedzi na tego rodzaju wystąpienie. Przy tym bez precyzyjnego ustalenia treści słów, których się w takiej dyskusji używa, łatwo jest zatracić granicę między realizmem politycznym i podporządkowaniem się każdej sytuacji, opartej

(1) Nr 25, z 21 czerwca, 1959 r.

o przemoc, jak też między potępianym romantyzmem i poczuciem prawa do niezależności i wolności wyboru w budowie swego życia narodowego. A warto przy tym pamiętać, że tak jak idea pokoju wewnętrznego za wszelką cenę doprowadziła filozofów do nieludzkich konstrukcji państwa totalistycznego, państwa — Lewiatana, tak i idea niepokoju i walki o wolność była nieraz źródłem lekkomyślnych i straszliwych nieszczęść.

Przede wszystkim więc, zgodnie z drogą nam obydwu zasadą odrodzeniową „dyszla w głowie", usuńmy wątpliwości co do spraw za mało sprecyzowanych, w których czynnik emocjonalny i wewnętrzna dynamika samych słów naruszają równowagę sądu racjonalnego.

Cztery sprawy wymagają dokładniejszej precyzji przed dyskusją meritum wystąpienia Stommy. Pierwszą jest niewątpliwy fakt, że u podstaw wszystkich zrywów powstańczych w Polsce leżało dążenie Rosji do zduszenia polskiego życia narodowego i do politycznego opanowania naszego kraju. Symbolem tego dążenia może być moment z dziedziny cenzury. Przy końcu ubiegłego wieku nawet z książek kucharskich wykreślano słowo *wolny* w zdaniu: smażyć na wolnym ogniu... Żadne inspiracje nie wywołałyby zrywów rozpaczy, gdyby alternatywą winkelriedyzmu nie były kibitki na Sybir i pełna rusyfikacja narodu. W tym nawiązywaniu do historii realistyczna polityka musi widzieć także cień Winkelrieda, który padał ze Wschodu. Oczywiście od czasów carskich dużo się zmieniło. Ale pewne tendencje Rosji występują zawsze w niezmienionej formie. W skrócie wygląda to tak. W r. 1956 ukazał się w ZSSR 63-ci numer czasopism „Palestinski Sbornik". Wszystkie 62 numery poprzednie wyszły przed Rewolucją. Kontynuacja polityki na Bliskim Wschodzie nawiązuje nawet w numeracji do tego, co w tej dziedzinie robiło się za Rosji carskiej. Podobnie jest na przedpolu każdej linii parcia imperium rosyjskiego. Trudno sądzić, że podtrzymywanie komunizmu na pozycjach rosyjskiego imperializmu i tępego ubóstwiania rosyjskiego państwa ułatwia realistyczną politykę w sferze wpływów rosyjskich. Gdy komuniści stają się nowymi Pobiedonoscewami jest zrozumiałe, że rodzą się marzenia o nowej rewolucji. Nie w wymiarze lokalnym, nie tylko na ziemiach polskich, ale w skali światowej.

Dalej, Stomma nie przeprowadza ścisłej granicy między postawą i działalnością politycznej grupy katolików świeckich i katolików w ogóle; granicę tę nawet zaciera. Tymczasem musi istnieć, bo istnieje, różnica między tymi dwoma płaszczyznami życia i dążeń. Czym innym jest grupa polityków katolickich, a czym innym — Kościół Katolicki w Polsce, czy ogół katolików. Byłoby szaleństwem i niezrozumieniem uniwersalizmu katolickiego, gdyby katolicy w Polsce angażowali się do walki politycznej o cele polityczne z tytułu swoich religijnych przekonań. Żyjemy w epoce rozdziału Kościoła od państwa, nie tylko w krajach sfery wpływów rosyjskich, a ta sytuacja

sama w sobie „tolerari potest" z punktu widzenia doktryny katolickiej, Jest ona pod wieloma względami korzystna dla Kościoła, który także w takiej sytuacji może osiągać — jak w Stanach Zjednoczonych, we Francji czy Belgii — coraz większe rezultaty religijne i intelektualne, oraz coraz doskonalszy wyraz organizacyjny swoich celów wiecznych. Oczywiście możliwe to jest jedynie przy zupełnej swobodzie życia religijnego, organizacyjnego i intelektualnego Kościoła. Niestety, prymitywizm i zła wola „intelektualistów" typu faszystowskiego, hitlerowskiego i komunistycznego początkowej epoki rewolucyjnej (czy tylko?) ogranicza Kościół w jego pracy i działalności kościelnej. Opór na najistotniejszych pozycjach religijnych — aż do męczeństwa — nigdy w dziejach nie potrzebował inspiracji emigracyjnych. Gdybyśmy w tym względzie mieli coś inspirować z zagranicy — to większość z nas inspirowałaby raczej pokorną definicję „pozycji najistotniejszych" w religii, z których społeczeństwu katolickiemu rezygnować nie wolno. Doświadczenie zachodnie dowodzi, że rezygnacja z pozycji nieistotnych, że oderwanie się od najbardziej nawet uświęconych tradycją zewnętrznych form religijności, nie szkodzi na dłuższą metę głębi życia religijnego i intelektualnego w duchu wiary i łaski. Lekkomyślne pomawianie katolików o kompromisowość i uległość ustabilizowanym rządom komunistycznym może być przejawem walki nie z komunizmem ale z katolicyzmem. Nie biorą w tym udziału katolicy, którzy się znaleźli na emigracji. Nie biorą w tym udziału choćby dlatego, że wiąże ich autorytet Kardynała Prymasa i zaufanie do Episkopatu w Polsce. Na naszą postawę wpływa także odczucie roli katolicyzmu w świecie zmaterializowanych potęg, bez względu na ich ustroje polityczne. Wyraźniej niż z kraju widzimy na emigracji rozmiar wpływu katolików, skromnych emigrantów z Włoch i z Irlandii, a częściowo także z Polski, na duchowy wyraz życia Stanów Zjednoczonych. Lojalność tych emigrantów wobec laickiego państwa nie tylko nie budzi wątpliwości, ale często nabiera kolorów dumy narodowej. Nie szkodzi to ani życiu religijnemu ani ich dziejowej roli cywilizacyjnej, utrwalającej pierwiastek duchowy w świecie zmaterializowanym. Nie można wyznaczać roli Polski katolickiej w świecie wpływów rosyjskich sugestiami oporów politycznych i pchania katolików na drogę wzrastających napięć wewnętrznych.

Natomiast zupełnie czym innym jest ocena działalności polityków katolickich. Gdy grupa katolików świeckich angażuje się do działalności politycznej, wtedy poddaje się ona ocenie politycznej. W postawie grupy Stommy, jako zespołu polityków współpracujących z rządem, pewne błędy są oczywiste i często się je omawia. Jednym z nich jest brak konsekwencji w wyborze swego miejsca pomiędzy miejscem intelektualistów katolickich, zainteresowanych tylko kulturą, a działalnością polityczną, która siłą rzeczy dąży do władzy i do współudziału

w rządzie i administracji kraju. Grupa Stommy przejawia w dziedzinie politycznej zbyt bojaźliwą i skromną ocenę własnego politycznego znaczenia i korzyści, jakie jej istnienie przynosi całemu blokowi komunistycznemu. Zarzuca się tu tej grupie postawę przeważnie obronną w stosunku do konkretnej działalności komunistów — i wreszcie brak wypracowań nowych praktycznych instytucji życia politycznego, które by były lojalną rozbudową humanistycznej postawy katolickiej, dokonywaną na platformie rzeczywistości demokracji ludowej, przyjętej za swoją.

Istotnym błędem emigracyjnej krytyki grupy Stommy jest fałszywe pojmowanie jej jako przyczółka demokracji liberalno-parlamentarnej. Przeciwko takiemu ujęciu zadań katolików świeckich, zajmujących się w kraju polityką, skutecznie bronią się ich reprezentanci, szczególnie sam Stomma i Kisielewski. Niezależność tej grupy od chrześcijańskiej demokracji zachodniej jest, i długo jeszcze będzie, warunkiem skuteczniejszego jej działania w ramach demokracji ludowych. Fakt ten musi powodować rozczarowania zwolenników innej orientacji, ale rozsądnej o to pretensji mieć nie można. Katolicy świeccy działający na płaszczyźnie demokracji ludowej, muszą być politykami lojalnymi w stosunku do podstawowych założeń swego politycznego zaangażowania. Wszystko inne jest złudzeniem i fanfaronadą. Ale nawet w tych ramach grupa polityczna może osiągać konkretne cele swej pracy, uzasadniające wybór drogi i usprawiedliwiające upokorzenia kompromisów i podległości, przyjętych dobrowolnie. Może ich również nie osiągać. Stomma widzi osiągnięcia ogółu katolików, a nawet całego społeczeństwa w Polsce, ale nie wskazał osiągnięć politycznych swojej grupy.

Precyzji wymaga też zbyt ogólna koncepcja, według której w interesie obcych potęg leży tylko przeszkadzanie ,,polskiemu eksperymentowi'' we współżyciu z Rosją sowiecką i w koegzystencji z komunistami. Rzeczy są bardziej złożone niż się to pozornie wydaje. Powodzenie tego eksperymentu może także leżeć w interesie obcych środowisk — i to jeszcze jak licznych i jak potężnych. Grupa Stommy zbyt słabo zna Zachód i nie zauważa roli, jaką spełnia w bloku ,,koegzystencji''.

Wreszcie ogromnie utrudnia dyskusję rozciągłe ujęcie ,,napięcia w Kraju''. Czy wszystko godne jest potępienia, co zwiększa te napięcia i walkę wewnętrzną i czy odpowiedzialni są za to jedynie przeciwnicy komunizmu? Czy stanie przy swoich przekonaniach w ramach prawnego porządku i lojalności wobec rządu i państwa oraz dążenie do przemian tego, co jest oczywiście błędne, na drodze dopuszczalnej i legalnej działalności intelektualnej społecznej i politycznej jest równoznaczne z majaczeniami o powstaniach i wojnie? Czy nie ma granic kompromisu i podporządkowania monopolowi partii komunistycznej? Nie wiem jakie wrażenie odnieśli inni czytelnicy —

a czyta Stommę sporo ludzi — ale mnie się wydało, że jego dewizę można by sformułować tak : ,,nie najlepiej jest jak jest; nie może być jak było, ale nie należy myśleć o tym, jakby być mogło''. Stomma pochodzi ze środowiska ,,Odrodzenia'', w którym wychował się radykał miary Dembińskiego. Większość tego środowiska zawsze miała skłonności raczej do ustalania jakby mogło i powinno być niż do uświęcania porządku istniejącego, opartego o jakąkolwiek przemoc. Myślę, że i w danym wypadku słabość stanowiska Stommy przejawia się nie tylko w dyskutowanym artykule, ale w ogólnej postawie, która może być atrakcyjna jedynie wtedy, gdy szuka nowych rozwiązań.

Wyjaśnienia te określają już z grubsza postawę ,,wyjściową'' do dyskusji spraw zasadniczych.

◆

Głównym zagadnieniem artykułu Stommy jest zarzut, że emigracja dąży do spotęgowania konfliktów i walk wewnętrznych w kraju. Zarzut ten postawiony pod tytułem : Cień Winkelrieda, na tle potępienia powstań, wymaga określenia jaki jest charakter tych emigracyjnych inspiracji i gdzie biegną granice proponowanych rzekomo walk i wewnętrznych niepokojów.

Emigracja, jak może sądzić każdy jej obserwator i przeciętny uczestnik — jest niezadowolona z zawodu, który wzrasta w miarę oddalania się od nadziei październikowych. Zawód obejmuje nie tylko katolików Stommy, jak również odpowiedź Stommy nie jest ograniczona ściśle do stanowiska jego grupy. Wielu polityków emigracyjnych optymistycznie oceniało prawdopodobieństwo i granice ewolucji wewnętrznej, rozpoczętej w r. 1956. Możliwość i skuteczność większego oporu poszczególnych grup narodu w stosunku do bezdusznej machiny konserwatywnego komunizmu ożenionego z rosyjskim imperializmem wydawała się im łatwą i konieczną konsekwencją zapoczątkowanych zmian. U ludzi tych nostalgia pragnień narusza czasem równowagę sądu. Zapominają oni, że w łatwiejszych warunkach Zachodu nie mogą się zdobyć na emigracji na wspólne działanie przynajmniej w minimalnym zakresie narodowych celów ogólnych, które leżą odłogiem wobec zupełnego rozbicia politycznego. Mimo tej okoliczności tak sprzyjającej refleksji i umiarkowaniu, każdy chętniej osądza kogoś, np. grupę katolików świeckich, niż siebie.

U innych widać w postawie do kraju, która może być nazwana ,,inspiracjami, zmierzającymi do potęgowania napięć wewnętrznych'' — wiarę w kruchość reżymu komunistycznego i stąd pretensje do wszystkich o to, że temu reżymowi pomagają. Wśród białej emigracji rosyjskiej do dziś oczekuje się załamania reżymu bolszewików. Te same nadzieje widać w

różnych ośrodkach emigracyjnych, które trudno ustawić według schematu : prawica — lewica. Na ostatnim kongresie Międzynarodowej Unii Chłopskiej, w maju tego roku, jeden z polskich delegatów analizując obecną rzeczywistość polityczną, naszego kraju powtórzył znaną już ocenę wypadków październikowych twierdząc, że były one tylko genialnym ratunkiem rozlatującego się PZPR. „Gomułka" — powiada delegat — „wypuścił setki księży i zakonników z więzień aby mogli poprowadzić swe trzody do urn wyborczych, do głosowania na kandydatów komunistycznych, w najbardziej krytycznym okresie jaki reżym wówczas przeżywał". Tenże sam delegat dalej stwierdził za brytyjskim dziennikarzem D. Floyd'em : „Pan Gomułka uratował komunizm w Polsce przed zupełnym załamaniem i rozsypką — i w ten sposób uratował Polskę dla sowiecko-komunistycznego bloku". Takie stanowisko zakłada, że gdyby nie Gomułka Polska przestałaby być państwem ludowej demokracji i uzyskałaby pełną niezależność od Rosji. Te poglądy polityczne były roztaczane przed delegatami emigracji z dziesięciu innych krajów za kurtyną, w których nie było Gomułki, a w których sytuacja jest gorsza od naszej. Istnieje pewien rodzaj „logiki" politycznej, która przeskakuje przez takie konkretne fakty, które burzą piękno fantazji politycznych, Ta fantastyczna koncepcja w swej bezsensowności przekracza nawet „realizm" nadziei, że Powstanie Warszawskie mogło zapewnić Polsce niezależność. A nie jest to, niestety, pierwsze i jedyne tego rodzaju wystąpienie. Odbiegają one daleko od oceny rzeczywistości swych krajów, dokonywanej przez przywódców innych narodowości. Dla kontrastu warto przypomnieć sobie to co pisał na ten temat sekretarz Benesza Ed. Taborsky.

„Co może tłumaczyć tę stałą uległą służalność czechosłowackich przywódców komunistycznych wobec Kremla, mimo tak wielu czynników, które powinny ją zmniejszyć? Paradoks, ale pierwsza przyczyna leży w wewnętrznej słabości kierownictwa czechosłowackiej partii. Im oni są słabsi wobec szeregów partyjnych, tym bardziej muszą się opierać o sowiecką partię. Są oni znienawidzeni wśród członków partii za swoje zachowanie w okresie rządów Stalina, a grupa ich lojalnych zwolenników stale się zmniejsza. Jeżeli zrodziłaby się i upowszechniała wiara, że oni nie mogą dłużej liczyć na poparcie Kremla, wówczas wzrosłyby możliwości rozłamu i wewnątrznej walki w partii. W ten sposób słabość ich niepewnego kierownictwa powoduje, że musi ono lgnąć do swych moskiewskich gospodarzy i opiekunów; nie przestaje ona też pchać ich nieodwołalnie pod sowiecką kontrolę, chociaż poza tym obiektywne warunki zdawałyby się bardziej sprzyjać zapewnieniu sobie przynajmniej małego stopnia niezależności. To, co winno być przyczyną zadowolenia dla tych, którzy pragną powrotu wolności w Czechosłowacji, mianowicie szczupłe członkowstwo partyjne i mizerne poparcie przywódców partii przez społeczeństwo Czechosłowacji jako całości, to stało się teraz,

przez ironię losu, główną siłą, mocno trzymającą Czechosłowację w orbicie sowieckiej" (2).

Można się nie zgodzić z takim tłumaczeniem mechaniki zależności partii komunistycznych od Moskwy. Ale problem powinien być przemyślany do końca przez każdego, kto twierdzi, że tylko poprzez Gomułkę Polska pozostała w zasięgu wpływów Rosji.

Wreszcie głównym źródłem, skąd niektórzy mogą czerpać natchnienie do większych wewnętrznych spięć, jest istnienie samej politycznej emigracji jako faktu, ciążącego na powojennej rzeczywistości światowej.

W postawie emigracji nie widać tendencji, zmierzającej do wepchnięcia Polski na drogę romantycznego cierpiętnictwa na rzecz państw trzecich. Ten rodzaj samobójczego romantyzmu, który by zachęcał rodaków w kraju do jakiejkolwiek akcji nielegalnej, należy uważać za szaleńczy i zbrodniczy z wielu powodów. Niektóre z nich uzupełniają rozumowanie Stommy.

Przede wszystkim każda działalność potęgująca napięcia wewnętrzne może się rozwinąć do rozmiarów rozruchów i powstania, a każde powstanie w sferze wpływów sowieckich musi się skończyć „tragedią węgierską". Eksperyment Fidel Castro może się udać jedynie w izolowanym obszarze wysp, przeciwko rządom skorumpowanym i słabym, w sytuacji, w której zryw wewnętrzny o ogromnym ładunku społecznym i rewolucyjnym nie grozi wpływom potęgi sąsiedzkiej. Nie ma miejsca na Fidel Castro w Europie Środkowo-Wschodniej.

Położenie krajów za kurtyną jest wynikiem i fragmentem wielkiego konfliktu światowego, który w danym momencie opiera się głównie o dwie potęgi gospodarcze i militarne: o Stany Zjednoczone i Rosję sowiecką. Szybko wzrasta poza tym potęga Chin i znaczenie Indii. Jakaś powstańcza inicjatywa małych narodów nie wpłynie ani na przyśpieszenie rozstrzygnięcia tego konfliktu, ani na samo rozstrzygnięcie.

W tym konflikcie my jesteśmy już na bocznym torze i ani nie możemy wjeżdżać na główny tor z własnym rozkładem jazdy, bez pewności szybkiej katastrofy, ani nie powinniśmy doczepiać swego skołatanego wozu do pędzących, zawsze we własnym interesie, kolosów i potęg (atomowych). Z perspektywy amerykańskiej ponadto widać wyraźniej, że Polska jest krajem bardzo małym i materialnie niesłychanie słabym. W obecnej epoce zestawienie naszych sił z otaczającymi potęgami nie wymaga wielu obliczeń do bardzo oczywistej konkluzji: ani militarnie ani ekonomicznie nie możemy zaważyć na losach obecnego konfliktu światowego. Branie takiego ciężaru na

---

(2) „Recent Developments in Czechoslovakia" by Edward Taborsky. *The American Slavic and East European Review*, 16:50-65, Febr., 1957, s. 64-65.

własne barki byłoby szaleństwem nawet wtedy, jeśli się wierzy w krótkotrwałość tej formy politycznej, jaką jest ,,demokracja ludowa'' w dotychczasowym moskiewskim wydaniu — nawet wtedy, a nie tylko przy założeniu trwałości tego ustroju i wspierającego go układu sił międzynarodowych.

Romantycy polityczni wśród wielu złudzeń jedno pielęgnują najtroskliwiej. Sądzą oni, iż jako naród jesteśmy w świecie popularni i lubiani do tego stopnia, że wystarczy ,,pokazać Zachodowi, niech wiedzą i widzą'', jak cierpimy i pragniemy wyzwolenia, aby zaraz nadeszła stamtąd pomoc. Otóż rzeczywistość jest wręcz odmienna. Pomijając fakt, że uczucia nie wpływają na decyzje, którym poradzić nie można materialnie — jak np. w r. 1944 — wcale znowu tak bardzo lubiani nie jesteśmy. Jesteśmy trudni, nie łatwo się dostosowujemy do form życia, metod postępowania i planów Zachodu, swoim indywidualizmem i często anarchicznym niezdyscyplinowaniem sprawiamy zwykle wszystkim dużo kłopotu. Dużo nam szkodzi każdy objaw antysemityzmu, choćby manifestowanego indywidualnie, który jest zwykle rozciągany przez pewne czynniki na cały naród. Jesteśmy narodem w większości katolickim, a na trudnościach katolickiego kandydata na prezydenta Stanów widzimy, ile jeszcze uprzedzeń i zacofania istnieje w tej mierze w świecie o większości niekatolickiej. Namiętnej naszej miłości wolności i niepodległości wielu nie rozumie, a kto ją rozumie uważa ją często za przeszkodę w integracji politycznej ponadpaństwowych i ponadnarodowych obszarów świata. Przy tym niepodległość na Zachodzie ma spełniać funkcję okoliczności sprzyjającej materialnemu urządzeniu się jednostek, a z obliczeń wielu ekonomistów i socjologów wynika, że te możliwości w wypadku Polski powinny być najwyższe w połączeniu z wielkim obszarem ekonomicznych wpływów Rosji. Na Zachodzie jest wiele środowisk, które nas wręcz nienawidzą. Wystarczy wspomnieć tylko Niemców, których pozycja jest silna w Stanach. Stanu tego w zasadzie nie zmienia fakt, że i przyjaciół mamy oddanych, znających nasz kraj, nasze wartości i nasze prawa do życia niezależnego. Nie zmienia tego także niewątpliwa popularność i wzrost szacunku dla nas po roku 1956, występujące wraz ze zwiększającym się zainteresowaniem tym, co się dzieje w naszym kraju. Mimo wszystko możemy być pewni, że zamieszki, strajki czy jakiekolwiek rozruchy wywołane przez nas samych czy też na skutek jakichś inspiracji z Zachodu czy ze Wschodu byłyby zlikwidowane przy akompaniamencie protestacyjnych telegramów i rezolucji.

Każde napięcie i zwiększanie walk wewnętrznych w kraju byłoby jeszcze i dlatego zbrodniczym szaleństwem, że nie liczyłoby się zupełnie z przesunięciem zainteresowań wielkich mocarstw z małych krajów na kontynenty, z Europy na dalsze części świata. O Stanach Zjednoczonych pisze na ten temat znakomity publicysta C.L. Sulzberger: ,,Przyszłe dziesięcio-

lecie jest tym, w którym musimy skoncentrować naszą dyplomatyczną uwagę bardziej na Afryce i Azji niż na stosunkowo ustabilizowanej Europie (3). Opinia ta wcale nie jest odosobnioną. W parze występuje niesłychanie silna dążność do koegzystencji z Rosją, której atrakcyjność jest równie wielka jak powszechna jest niechęć do komunizmu. Zjawisko skomplikowane zapewne, ale realne. To pragnienie współżycia z Rosją wyraża się nie tylko w kategoriach intelektualnych, w konkretnej ,,szkole politycznej'' z Kennanem, Warburgiem, Bohlenem — i z szeregiem wybitnych profesorów uniwersytetów. Jest ono również widoczne w tysiącach artykułów prasowych i w ogólnym nastawieniu opinii publicznej, w rosnących jak grzyby po deszczu studiach rusycystycznych. Wyraża się ono w dużym podobieństwie pewnych elementów obydwu cywilizacji i w poważnym wspólnym interesie. Liczą się z tym nawet kandydaci na wysokie urzędy państwowe i robią z zabiegów o pokojowe stworzenie ,,modus vivendi'' z Rosją Sowiecką główny element rozgrywek wyborczych, sięgających nawet do wycieczek na Kreml i ostatnich wzajemnych wizyt osobistości politycznych Stanów Zjednoczonych i Rosji.

Byliby jednak w błędzie, zarówno Rosjanie jak i niecierpliwi prorocy przegranej Zachodu w demokracjach ludowych, gdyby sądzili, że zabiegi te dorównają się kapitulacji. Są pewne linie w stosunkach politycznych świata, poza którymi broni się już tylko najistotniejszego interesu, wprost swego istnienia. Tam niech się Rosja ani komuniści kapitulacji nie spodziewają. Rzecz w tym, że Polska nie jest objęta tymi liniami w zakresie, którego my pragniemy, w zakresie politycznej niezależności. Rozruchy w takim kraju jak Polska mogłyby być co najwyżej kartą przetargu o małej zresztą wadze. Czy są na emigracji zwolennicy takiej roli? Chyba nie! A jednak powstanie węgierskie wybuchło w r. 1956. Obawy Stommy mają więc za sobą fakt, który mógłby się wydarzyć w Polsce. Trzeba i to dorzucić do dyskusji, że rozpaczliwe wołanie o pomoc powstańców węgierskich nie było słyszane, a mimo zabiegów przywódców węgierskich na emigracji, oddanych demokratów związanych z Zachodem, nawet protesty nie łatwo znajdowały miejsce na zgromadzeniach oficjalnych. Wspomniany już publicysta Sulzberger znamiennie pokwitował wypadki węgierskie i wewnętrzne niepokoje amerykańskie spowodowane zarzutami, że do zrywu węgierskiego przyczyniły się inspiracje radia Free Europe. ,,Przed węgierską rewoltą'' — pisze on we wspomnianej już książce — ,,ludność Europy wschodniej na podstawie amerykańskich programów radiowych liczyła na pomoc Stanów Zjednoczonych, jeśli odważyłaby się na rewoltę przeciwko Moskwie.

(3) *What's Wrong with U.S. Foreign Policy, Harcourt, Broce and* Co., New Jork 1959.

Pozwolić, aby podobne wrażenie się zrodziło, nawet tylko jako wniosek z jakichś założeń, to znaczy postępować zwodniczo, okrutnie i niemoralnie. W rezultacie postępowanie takie przyniosło także poważne szkody naszej własnej sprawie'' (4). Żadne powstanie w małych krajach Europy nie będzie własną sprawą Stanów Zjednoczonych. Ma więc rację Stomma — i trzeba odświeżać świadomość tego, że rozruchy i powstania w krajach za kurtyną mogą być jedynie coraz silniejszym zaciąganiem sznura na własnej szyi. Do zwiększania napięć i walk wewnętrznych w Polsce mogą zachęcać zwolennicy totalnego komunizmu i imperializmu rosyjskiego — i mogą je faworyzować Niemcy. Opinia większości emigracji — tak jak ją widzi przeciętny emigrant — jest jednoznaczna: akcja taka podkopywałaby sam byt narodu i państwa.

P. Stomma zastrzegł się, że jego artykuł ,,nie pretenduje do wyczerpania całokształtu motywów naszego działania''. To założenie wiąże również tych, którzy podejmują z nim dyskusję. Ale pewne tezy artykułu wymagają dalszego wyjaśnienia, choć sięga ono do szerszych założeń działalności grupy Stommy.

Jednym z tych założeń jest ,,łagodzenie sprzeczności wewnętrznych'', które ma tworzyć ,,więź między dawnymi i nowymi laty''. Na czym ma ono polegać? Wszystko, co na ten temat Stomma napisał w dyskutowanym artykule, należy do postawy kulturalno-społecznej środowiska katolickiego w ogóle. Nie widać w tym elementów działalności politycznej, choć postawę tę Stomma przeciwstawia kierunkom politycznym Zachodu. Takie podejście z jednej strony niepotrzebnie inspiruje niechęć do demokracji zachodnich, z drugiej zaś zaciemnia pojęcie prawdziwej działalności politycznej w kraju. Działalność polityczna, którą można by nazwać niezależnym realizmem politycznym, musi realnie istnieć i rozwijać się między dwoma odrzuconymi biegunami. Niewątpliwie musi ona odrzucać zdecydowanie drogę konfliktów wewnętrznych. Z drugiej strony jednak nie może się ona utożsamiać z takimi ugrupowaniami, które przyjmują za swoje nie tylko podstawowe założenia demokracji ludowej, ale także program partii komunistycznej i wyłączność jej w dziedzinie inicjatywy politycznej, wykonania zadań politycznych i interpretacji zjawisk politycznych. Żadna z tych skrajnych pozycji ani nie jest realna, jeśli szukamy własnego interesu politycznego, ani nie jest wyrazem wolności wyboru. Każda z nich ustala się w cieniu jakiegoś Winkelrieda, bo każda ,,proponuje poświęcenie interesów własnych, gdyż odpowiadałoby to interesom cudzym''. Parafrazując Kisiela, jest to cień Winkelrieda obrotowego, niestety, i o tym nie wolno zapominać. Niezależne grupy polityczne muszą mieć jakiś zakres swego niezależnego działania, widoczny i oczywisty dla wszystkich. Im bardziej niekomunis-

(4) Ibid., s. 80-81.

tyczne grupy polityczne utożsamiają się w działaniu politycznym z programem partyjnym komunistów tym mniej treści i znaczenia posiada ,,polski eksperyment koegzystencji''. Tym mniej on też wzbudza nadziei w świecie, oczekującym stopienia się lodów, rozładowania napięcia i pokojowej współpracy. W systemie demokracji ludowej wszystko można ograniczyć terrorem groźby potęgowania napięć i walk wewnętrznych. W szczególności trudno jest uprzedzać w tym systemie decyzje partii komunistycznych w zakresie spraw zasadniczych. Ale żyrowanie fantastycznych błędów politycznych partii komunistycznej, które odkrywają dopiero Chruszczow czy Gomułka, w momencie który im odpowiada, podcina wiarę w możliwość istnienia w sferze wpływów sowieckich choćby ograniczonej ale niezależnej grupy politycznej. Łagodzenie sprzeczności wymaga mocnego stanowiska politycznego w sprawach, które w interpretacji komunizmu powodują rozdrażnienie wewnętrzne i napięcie międzynarodowe. Istnieje ścisła współzależność między pokojem wewnętrznym w krajach ogarniętych po r. 1945 wpływami sowieckimi i między topieniem się lodów w świecie. W tej perspektywie rola grupy Stommy jest kolosalna. Prawdą jest, że jej istnienie rozbraja przeciwników demokracji ludowej. Jest ona argumentem przeciwko zarzutowi, że w świecie wpływów komunistycznych nie jest do pomyślenia żadna forma pluralizmu politycznego. Ale czy nie jest argumentem bez pokrycia ? !

Dalej, tworzenie więzi między dawnymi i nowymi laty jest postawą kulturową ale nie polityczną. Wbrew wyrzekaniom na wąski ekstremizm emigracji jest tu sporo środowisk i jednostek, które mniej się interesują więzią między dawnymi i nowymi laty, niż między dniem dzisiejszym i nowym jutrem. Główny konflikt rozgrywa się nie o wczoraj, lecz o jutro, o ludzkie wartości przyszłości. Jest wśród nas mniej zwolenników wczorajszych form niż jutrzejszej treści życia, które musi być oparte o sprawiedliwość i jakąś ludzką wolność. Formy nie są istotne; upodabniają się zresztą pod ogromnym wpływem współczesnej techniki i mechanizacji. Max Lerner wskazuje na coraz więcej podobieństw między życiem w Stanach Zjednoczonych i w Rosji. Istotna jest treść, która nie może się zatrzymywać w swym rozwoju na tym, co się ukształtowało w epoce przemocy, w okresie, który wywołał tyle pogardy i rozczarowania u samych komunistów. Wewnętrzna logika tych zjawisk wymaga większego udziału niezależnych grup politycznych w tworzeniu tej przyszłości. Jest to bezwzględny warunek powodzenia ,,polskiego eksperymentu''.

Stomma twierdzi, że ,,przegrali ci, którzy liczyli na odbudowę państwa w oparciu o Zachód''. Być może, że osobiście przegraliśmy, gdy myślimy o naszym udziale w powojennej odbudowie kraju i w konfrontacji dążeń z rzeczywistością. Nie jest to jednak przegrana, która by nie była poważnym elementem rzeczywistości powojennej. Tak poważnym, że leży

ona — choćby jak ta przysłowiowa mysz Churchill'a — u podstaw ewolucji, która się dokonuje w całym świecie wpływów komunistycznych, i która tkwi w świadomości Zachodu jako gwarancja przeciwko odmianie nastrojów w kierunku stalinowskiego monizmu.

Zapewne i indywidualnie i zbiorowo emigracja będzie jeszcze przegrywać nie na jednym polu. Nie wygra wyścigu z czasem i procesu starzenia się nie odwróci. Upodobni się coraz bardziej w swych marzeniach do Żydów przez tysiąclecia życzących sobie ,,na drugi rok w Jerozolimie''. Musi skontrolować i odrzucić, jeśli jeszcze tego nie zrobiła, takie karty swoich programów politycznych jak ugoda z Rosją ponad głowami komunistów, jak wiara w powrót liberalnej demokracji parlamentarnej w jej formach dziewiętnastowiecznych, jak marzenia o nieograniczonej niepodległości, wspartej czy nie wspartej o legalizm, jak powrót do kraju w zespole kandydatów do rządu. Wszystko to może przegrać. Jednego nie przegra: czujności, aby jedyną gwarancją ,,polskiego eksperymentu'' i praw do własnej drogi, wiodące do własnej przyszłości materialnej, kulturalnej i duchowej nie były tylko zmieniające się wiatry z Kremla. Nie przegra czujności co do tego, czy w Kraju hula dogmatyzm czy postawa poszukiwawcza, pozwalająca na konsekwentne zużytkowanie własnego doświadczenia dziejowego jako źródła wyboru swych dróg pracy dla celów ogólnonarodowych.

To jasne, że zawsze w życiu narodów ostateczną instancją ich bytu niezależnego jest ich własna praca, nauka, twórczość. Jeśli takie są ideały nowych, rodzących się środowisk społecznych w Kraju to na nich zawsze wesprze się most na drodze wiodącej w przyszłość ponad najtrudniejszą rzeczywistością dnia dzisiejszego. Ale byłoby szaleństwem i działaniem w interesie drugich, byłoby podtrzymywaniem tradycji Winkelrieda na rzecz Wschodu, gdybyśmy nie zabiegali o poparcie naszych praw do bytu niezależnego w świecie wolnym, który tej wolności nigdy się nie wyrzeknie. Jest w nas jakiś kompleks antyzachodni, reprezentowany w pewnym okresie błyskotliwie przez Mackiewicza. Gdy go podtrzymuje i narzuca czytelnikom publicysta, wówczas jego praca intelektualna i publicystyczna może spełniać rolę soli i pieprzu w codziennym pokarmie ludzkich refleksji. Ale jeśli jej ulega przywódca polityczny, wówczas ryzykuje oderwanie sprawy swego kraju od wielkiego nurtu wolności w świecie, z którym liczy się poważnie nawet każdy polityk rosyjski.

Wiem, że kraj nie znosi deklamacji: trudno uwierzyć w nurt wolności na Zachodzie, który by posługiwał się niemieckim narzędziem. Nikt jednak skuteczniej nie podbudowuje chęci użycia tego narzędzia od tych, którzy przed światem stawiają tylko jedną alternatywę: kapitulację przed totalistycznym komunizmem, kapitulację na poziomie wielkiej dwójki

czy czwórki, na poziomie krajowych ,,parlamentów'', na poziomie ,,polskiego eksperymentu'', na poziomie samorządu nawet, do sołtysa włącznie, na poziomie całego życia pełnego uporczywych braków i terroru dogmatyzmu w sprawach, w których cierpienia nie odkłada się do życia pozagrobowego. Tego żądają komuniści; na szczęście takiej kapitulacji nie będzie.

Wacław SOROKA

Sprawy i troski

Polonia kanadyjska

Otwarcie bram dla powojennej emigracji nastąpiło po dokładnym, wielce skrupulatnym rozważeniu wszystkich czynników i elementów sytuacji gospodarczej kraju, możliwości poszczególnych prowincji, gałęzi gospodarki narodowej no i potencjonalnych kandydatów na imigrantów.

Nie było w postępowaniu rządu kanadyjskiego żadnego pośpiechu, działał powoli i ostrożnie. Zapewne odegrały pewną rolę — ale chyba bardzo nieznaczną — przesłanki humanitarno-polityczne, o których wiele mówiono bardziej ze względów psychologicznych aniżeli praktycznych. Natomiast aspekt humanitarno-polityczny podkreślali przede wszystkim rzecznicy przyszłych imigrantów i ich przeciwnicy.

Komisja senacka, wyłoniona przez Izbę uchwałą z dnia 8 maja 1946 r., została upoważniona do zbadania ustawy imigracyjnej z punktu widzenia jej działania w istniejących okolicznościach i warunkach. W szczególności komisja miała zbadać i ustalić: 1) celowość przyjęcia imigrantów; 2) jaki typ imigrantów jest bardziej odpowiedni (pochodzenie, przygotowanie zawodowe itp.); 3) skąd można takich imigrantów zdobyć; 4) warunki i możliwości wchłonięcia ich, zabezpieczenie im zatrudnienia i 5) terminy wjazdu.

Dnia 25 czerwca 1946 r. przed komisją stanęli przedstawiciele polskich organizacji, składając obok wyjaśnień memoriały, oraz odpowiadając na pytania członków komisji. Wydawało się przecież wówczas, że znakomita większość Polaków nie powracających do kraju będzie mogła usadowić się w Kanadzie, przypuszczano iż właśnie tutaj są najbardziej odpowiednie warunki dla masowej emigracji. Zakładano, że około 500.000 uchodźców polskich będzie mogło przybyć do Kanady.

Nie tylko daleko posunięta ostrożność władz kanadyjskich, obiektywne warunki tego kraju, ale i nastawienie sa-

mych uchodźców polskich, spowodowało znakomite pomniejszenie tych optymalnych cyfr i doprowadziło te do skromnych rozmiarów.

W memoriale złożonym przez Kongres Polonii Kanadyjskiej znajdują się również pewne dane statystyczne dostarczone przez Stowarzyszenie Lotników Polskich. Miały one być reprezentacyjne, służyć jako dowód wartości elementu polskiego.

Statystyka obejmuje jedynie 13.000 mężczyzn oraz 1.200 kobiet z pomocniczej służby.

Pod względem wieku podział był następujący:

Poniżej	25	lat	27,5 %
od	25-35	,,	38,0 %
,,	35-40	,,	26,7 %
,,	40-50	,,	7,3 %
Ponad	50	,,	0,5 %

Jeśli chodzi o wykształcenie to 4,5 % posiadało uniwersyteckie, 23,2 % średnie; 71,8 % podstawowe, a 0,5 % żadnego. Dalej memoriał podaje, że 56% tej grupy stanowią samotni, 27% żonaci z rodzinami poza Polską, a tylko 17% jest żonatych z rodzinami w Polsce.

Wreszcie podkreśla się, że ci kandydaci na imigrantów nie są bez własnych zasobów finansowych. Posiadają bowiem przeciętne oszczędności równowartości $ 800.00 plus gratyfikacje wojenne.

Zarówno ten memoriał, jak i drugi, Stowarzyszenia Polaków w Kanadzie, grupującego organizacje o charakterze parafialnym zachodnich prowincji, oraz zeznania Wiktora Podoskiego, byłego konsula generalnego i pierwszego posła R.P. w Ottawie, występującego z upoważnienia polskich organizacji zawodowych, wskazywały na wysoką wartość potencjonalnych imigrantów polskich, apelując o dopuszczenie jak największej ich ilości.

Przeciwko wpuszczeniu wychodźców polskich występował p. Walter Dutkiewicz, sekretarz generalny Demokratycznego Komitetu Pomocy Polsce. Była to naonczas centrala organizacji czy stowarzyszeń komunistycznych. P. Dutkiewicz jest po dziś dzień przywódcą komunistów polskich w Kanadzie i redaktorem ich organu ,,Kroniki Tygodniowej''.

Oświadczył on wówczas, że on i jego organizacja są *„zdecydowanie przeciwni wszelkim planom sprowadzenia do tego kraju grup politycznych. Odnosi się to zarówno do tak zwanych Displaced Persons w zach. Niemczech jak i do członków Polskich Sił Zbrojnych w Wielkiej Brytanii.* Te grupy bowiem usiłują dostać się do Kanady nie dlatego, że nie posiadają domu (ojczyzny), ale dlatego że odmawiają powrotu. Odmowa ta, mówi się, oparta jest na względach politycznych...

Ekstremiści polityczni zdecydowali użyć to wojsko dla swoich własnych ambicji politycznych. Ci przywódcy przedwojennego systemu rządów w Polsce usiłowali przez lata zatruwać serca żołnierzy nienawiścią i podejrzeniami wobec odrodzonej Polski. Pracowali gorliwie and wypaczeniem prawdziwego oblicza istniejących warunków w Polsce... Memoriał ,,demokratów'' dalej wywodzi: ,,Domagamy się więc, by wojskom polskim w Wielkiej Brytanii dano wszelką możliwość swobodnej decyzji powrotu do rodzin i do kraju, gdzie są z niepokojem wyczekiwani, gdzie są bardzo potrzebni dla prac nad odbudową. A jeśliby ciągle jeszcze znaleźli się nieprzejednani, to ci nie są na pewno typem imigranta jakiego pragnie Kanada. Pod względem ekonomicznym będą nieproduktywni. Ich jawnie określonym zamierzeniem jest *prowadzenie walki politycznej z Kanady, która ma być ich następną bazą operacyjną ..''.*

Pan Dutkiewicz wyjaśniał, że przypuszczalnymi imigrantami będą przede wszystkim zawodowi oficerowie, nie posiadający ani kwalifikacji zawodowych ani pieniędzy. Wskazał również na niebezpieczeństwo, gdy chodzi o uchodźców z obozów niemieckich.

,,Oczywiście są tam różnego rodzaju ludzie, którzy z rozmaitych powodów nie życzą sobie powrotu do kraju ojczystego. *Niektórzy po prostu nie lubią pracować podczas gdy inni mogli dopuścić się czynów, które powodują obawę przed powrotem.* Jeszcze innym narzucono przekonanie, że zostaną gdzieś przyjęci, gdzie jest łatwiej aniżeli w zniszczonej wojną Europie. Mam odwagę twierdzić, że *ci którzy pozostali w Niemczech i mają nadzieję emigrować nie należą do zbyt produktywnego elementu.*

Dlatego też postawiłbym znak zapytania nad całym problemem sprowadzania ich do Kanady. Wielu z tych ludzi nie posiada dokumentów a więc nie można sprawdzić ich przeszłości. *Powstaje więc niebezpieczeństwo sprowadzenia wszelkiego rodzaju Quislingów, szczególnie tych, którzy współpracowali z niemieckimi władzami okupacyjnymi. Wielu z tych Quislingów wyrządziło Polsce ogromne szkody, wymordowali oni setki tysięcy Polaków i obecnie ukrywają się w zachodnich Niemczech.* Powtarzam będzie niemożliwe sprawdzić ich przeszłość i dlatego *byłoby niebezpieczne dla Kanady sprowadzenie ich tutaj''.* (Podkreślenia moje B.H.).

Nadzieje i obawy natury politycznej okazały się złudne. Niewątpliwie ścisła okazała się teza Kongresu Polonii Kanadyjskiej o zdolności adaptacyjnej przyszłych imigrantów. Można to ocenić należycie dopiero teraz po upływie kilkunastu lat, kiedy z jednej strony dla poważnej większości proces ten został już praktycznie zakończony, z drugiej gdy rozpoczęła się znowu — jakkolwiek ograniczona — emigracja bezpośrednio z Polski.

ROZWÓJ IMIGRACJI

Ministerstwo Imigracji oblicza, że w okresie od 1 stycznia 1946 do 31 grudnia 1957 r. na ogólną liczbę 993,222 imigrantów z wszystkich krajów, za wyłączeniem Wielkiej Brytanii, Francji i Stanów Zjednoczonych, było 66.756 Polaków. Z innego zestawienia wynika, że od 31.12.1944 r. do 31.12.1949 r. przybyło 30.071 Polaków, a w następnym pięcioleciu tj. do końca 1954 r. — 31.219. Ostatnim rokiem silnego napływu polskiego był 1951 r. — 13.078 osób, a najniższą cyfrę zarejestrowano w 1955 r., mianowicie 2.073. Imigracja polska okazała się więc znacznie mniejsza od holenderskiej, niemieckiej czy włoskiej, a co ważniejsze odmiennie się kształtowała.

Nowoprzybyła ludność polska osiedliła się w znakomitej większości w dwóch prowincjach : Ontario i Quebec a praktycznie dałaby się ścieśnić w tej ostatniej do Montrealu i kilku mniejszych ośrodków przemysłowych. Dawna „stolica'' Polonii Winnipeg, ustąpiła już bezpośrednio po wojnie swoje miejsce Toronto, gdzie mieści się największe skupisko polskie, liczące wraz z przedmieściami około 40.000 Polaków. Cyfrowe dane są szacunkowe, również dlatego iż stan jest płynny.

Powojenna emigracja zrodziła się z przesłanek politycznych. Nie znaczy to oczywiście, że ta masa, która osiedliła się w Kanadzie miała jednolite oblicze, lub też iż zamierzała tutaj prowadzić określoną działalność. Różne przypadkowe okoliczności rozstrzygały o wyborze miejsca emigracji, ale zasadniczym powodem była — jeśli nie jawna wrogość — to niechęć do systemu komunistycznego. Nie można dalej nie podkreślić, że w tej masie imigracyjnej przeważali bądź ludzie pochodzący z terytoriów włączonych po wojnie do ZSSR bądź tacy, którzy poznali ZSSR i system sowiecki jako zesłańcy, czy jeńcy. To było oczywiście dostatecznym powodem pozostania zagranicą.

Pierwsze zetknięcie się żołnierzy otoczonych sławą, synów narodu, który był „natchnieniem świata'', z rzeczywistością kanadyjską było raczej bardzo bolesne. Dla jednych oznaczało ono dwuletni kontrakt na farmie. Kontrakt, który w wielu wypadkach nie odbiegał od niewolnictwa lub co najmniej bezwzględnego, bezmyślnego wyzysku.

Gdyby nie pomoc i interwencje organizacji polonijnych, los większości skierowanych na farmy byłby wręcz tragiczny.

Władze państwowe stanęły po stronie pokrzywdzonych, tzn. zwalniały ich z umów z chlebodawcą. Zresztą były one jednostronne : farmer mógł bowiem w każdej chwili zrezygnować ze swego pracownika, a ten żył w przekonaniu, że jest doń przywiązany. W rzeczywistości natomiast imigranci ci byli zobowiązani do pozostania w określonej gałęzi produkcyjnej, a więc w danym wypadku w rolnictwie, ale bynajmniej nie u jednego pracodawcy, szczególnie nie u takiego który nie wypełniał warunków kontraktu. Większość jednakże byłych

żołnierzy żyła pod wrażeniem przymusu pozostania na jednym miejscu, nie miała odwagi upominać się o swoją należność i znośne warunki pracy.

Jeszcze tragiczniejsze było położenie niektórych grup DP, sprowadzonych na kontrakty przemysłowe do fabryk tekstylnych, wyrobów skórzanych, górnictwa. Koszarowano ich w barakach, gdzie panował reżym wojskowy. Otrzymywali najniższe możliwe stawki, odliczano należność za zajmowane klitki, łóżka, wyżywienie itp. Pracowali 6 dni w tygodniu. Właściciel przedsiębiorstwa odliczał sobie z tych nędznych zarobków koszt ich sprowadzenia. Najgłośniejsza była sprawa Ludger Dionne w St. Georges de Beauce, Que.

Dionne, podówczas poseł liberalny, właściciel przędzalni, sprowadził lotniczo z zachodnich Niemiec ponad sto Polek. Podpisały one z nim kontrakt na dwa lata, przyjmując godzinne stawki w wysokości 25 centów oraz 48 godzinny tydzień roboczy. Zostały one zakwaterowane w budynku klasztornym przylegającym do fabryki. Dionne powodowany naturalnie „humanitaryzmem" oraz „troskliwością" o te kobiety ustanowił regulamin wewnętrzny. Okazał przy tym nawet zamiłowanie do języka polskiego, nakazał bowiem zwracanie się doń per „tatuś".

Ten „tatuś" uznał, że zdrowie moralne „dziatek" wymaga, by mogły tylko dwa razy w tygodniu wychodzić z „pensjonatu", przy czym powinny wracać przed 11 wieczór.

Mało tego! Jeśli dziewczęta chciały sobie coś kupić musiały na to uzyskać jego zezwolenie. Jasne jest, że jako feudalny ich władca decydował również o sprawach osobistych. Bez jego zgody żadna nie mogła np. wyjść za mąż.

To był wypadek skrajny, jak podobne na farmach, kiedy gospodarz miesiącami nic nie płacił. Niektóre listy do redakcji „Związkowca" charakteryzują dramatyczność sytuacji bardziej aniżeli obecne wspomnienia.

Wielu, jeśli nie wszyscy, uczciwie zapowiadało iż natychmiast po zdobyciu gotówki na przejazd powrócą, ale tylko bardzo nieliczni dotrzymali zapowiedzi.

PRZEDSIĘBIORCZOŚĆ i ZARADNOŚĆ

Imigrantów dawnych oraz powojennych łączyła przedsiębiorczość, zaradność. Cechy, które bynajmniej nie występują w takiej ostrości w kraju. Pamiętniki, wspomnienia oraz inne pisemne i ustne relacje świadczą o zaciętości z jaką podjęli walkę z przeciwnościami. Niewątpliwie fala powojenna była do niej lepiej przygotowana.

Miała za sobą lata służby wojskowej, pobyt w obcych państwach, wielu posiadało pewien kapitał, byli bardziej wykształceni, posiadali garstkę inteligentów a nade wszystko zaplecze

w istniejącej już Polonii. Zmieniły się też znakomicie ogólne warunki w tym kraju : gospodarcze i społeczne, co oczywiście jest czynnikiem decydującym.

Jan Kazimierz Flis zmarły w 1954 r., jeden z czołowych działaczy polonijnych, który odznaczył się wielkim samorodnym talentem literackim, zwracał uwagę na charakterystyczne zjawisko, a mianowicie na kształtowanie się emigracji bez oparcia o czynniki krajowe.

Zdaniem jego imigranci przybywający przed odrodzeniem Polski nie utrzymywali świadomie żadnej łączności z władzami konsularnymi zaborców. I te zresztą również nie interesowały się nimi.

Gdy zjawiły się polskie władze konsularne zręby organizacyjne już istniały. Oczywiście nawiązano łączność z placówkami, ujawniła się akcja patriotyczna, jeszcze w okresie wojny na rzecz niepodległości państwa, a później urządzano różnego rodzaju zbiórki na doraźne cele w Polsce. A następnie z inicjatywy, czy natchnienia, konsulatów podejmowano akcje dalekie raczej od celowych i korzystnych dla całości Polonii. Poszczególni konsulowie po prostu nie rozumieli swoistości terenu kanadyjskiego. Zresztą nie tylko oni.

Gdyby Kanada, podobnie jak w większym jeszcze stopniu Stany Zjednoczone, nie była taką pompą ssąco-tłoczącą wówczas istniałaby niewątpliwie obiektywna możliwość zachowania w grupach etnicznych pewnych określonych tendencji politycznych. Oczywiście nie można było od pierwszych imigrantów zarobkowych, oczekiwać tworzenia organizacji politycznych, mimo iż wychodzili z kraju znajdującego się pod zaborami. Niemniej jednak ich świadomość narodowa była raczej duża. Na terenie Kanady zarejestrowano nawet próby tworzenia organizacji o charakterze socjalistycznym. Były to twory słabe i przejściowe, ale wspominam o tym, gdyż i w latach późniejszych podjęto podobne próby.

Brzmi to paradoksalnie, ale niski stopień wykształcenia pierwszych fal imigracyjnych był zapewne głównym powodem wytworzenia silnych i zdrowych podstaw organizacyjnych, pielęgnacji tradycji narodowych, języka itp. Pozostawieni sami sobie urządzali się w nowym kraju według wzorów ,,starokrajskich'', przystosowując je jednak do istniejących warunków. Nie było wśród nich żadnej tendencji wrastania w otaczającą społeczność. Dr Aleksander Hertz, analizując emigrację w Stanach Zjednoczonych, zwraca uwagę, że ,,młoda generacja odegrała wybitną rolę w procesie amerykanizowania się generacji starszych wychodźców''. Identycznie przedstawia się sprawa w Kanadzie.

,,Patriotyzm tych ludzi nie był światoburczy. Nie chcieli być ani żywym dowodem krzywd wyrządzanych narodowi polskiemu, ani też uosobieniem jego cierpień. Nie uważali również iż mają swoje życie poświęcić dla tworzenia nowych zasobów i środków dla walki o wyzwolenie Polski. Nie czuli się również ,,ambasa-

dorami" Sprawy Polskiej. Ludzie prości podchodzili do tych wielkich zagadnień — które zresztą tylko na okrajach dotykały ich — prościej i zdrowiej. Instynktownie rozumieli, że wielka sprawa to nic innego jak zespół spraw drobnych i codziennych. Wyczuwali, że na patriotyzm składa się suma pewnych tendencji i właściwości, które wybuchają wielkim ogniem jedynie w niektórych momentach. Do czasu, gdy taki moment nadejdzie, trzeba te iskierki hodować, rozwijać i pielęgnować. Miłość i przywiązanie do kraju rodzinnego jest rozszerzonym pojęciem miłości do wsi, miasta czy domu rodzinnego. Dopiero prawdziwe ukochanie tej bardzo wąskiej ,,ojczyzny" daje mocne podstawy do następnego, szerszego etapu. Takie podejście zmienia abstrakcję ojczyzny w pojęcie realne, nieomal dotykalne.

Stąd emigrant utrzymuje łączność przede wszystkim, jeśli nie wyłącznie, z miejscem swego pochodzenia. Nowiny ze swej wsi, czy miasteczka, są równoważnikiem informacji o całym kraju. Poprzez nie sprawy kraju stają się mu równie bliskie, jak miejsce pochodzenia". (*Formowanie się społeczności polskiej w Kanadzie.* Księga Pamiątkowa Związku Narodowego Polskiego w Kanadzie, Toronto 1955 r.).

Ta moja charakterystyka odnosi się do dawnych fal imigracyjnych, poprzedzających odrodzenie Polski, ale w miarę zadomowiania się następnych, do 1939 r., można ją z pewnymi nieznacznymi poprawkami do nich zastosować. Każdoczesne odradzanie się życia polonijnego, a więc podtrzymywanie świadomości etnicznej, odrębności, cech charakterystycznych, było z reguły zasługą nowych fal, ludzi przybywających świeżo z kraju.

Zwraca na to uwagę i Księga Pamiątkowa Związku Polaków w Kanadzie, wydana w Toronto, w 1946 lub 1947 r.: ,,Nie przesadzimy, jeżeli stwierdzimy fakt, że obecny wysoki stopień życia emigracyjnego, Polonia w Kanadzie zawdzięcza fali emigracji przybyłej tu w latach 1926-1930".

Z większą jeszcze stanowczością należy to powiedzieć o wielkiej powojennej fali imigracyjnej. Ta przeobraziła całkowicie oblicze Polonii. Ta, w swej ogromnej większości i dzięki udziałowi w niej jednostek politycznie wyrobionych, zmierzających do określonych celów, chciała być — i zresztą była — ambasadorem spraw polskich, w najszerszym i najlepszym tego słowa znaczeniu.

Wpierw jednak o innych prekursorach politycznych; ruchu robotniczym identyfikowanym jako komunistyczny.

FAŁSZYWE SKRZYDŁA

Radykalizm społeczny poszczególnych działaczy i organizacji był raczej naturalny, zważywszy pochodzenie ich i warunki w jakich znaleźli się w nowym kraju. Tym się zresztą

tłumaczy, że i odpowiedni ruch ogólno-kanadyjski czerpał swoje soki z grup emigracyjnych. One to dały partii komunistycznej niemal wszystkich przywódców, w pewnym okresie czasu znakomitą większość członków. Mniejszościowi działacze odgrywali główną rolę a sekcje narodowościowe były najsilniejszymi członami.

W słabej i nielicznej grupie polskich wyznawców walki klasowej w Kanadzie zarysowały się jeszcze przed odzyskaniem niepodległości dwa odłamy, ściśle odpowiadające podziałowi istniejącemu w kraju a więc zwolenników PPS i SDKPiL. Zbędne jest dodawać, że stosunki między nimi były jak najgorsze, ale należy podkreślić, że żadna z grup nie wywierała poważniejszego wpływu na Polonię.

Inne spory polityczne i orientacje również w bardzo nieznacznym stopniu obejmowały masę imigrantów. I o ile polityczne orientacje zatraciły niemal całkowicie bazę do chwili napływu powojennej fali imigracyjnej, to element walki klasowej wypłynął.

Nie sądzę, by bez daleko idących uproszczeń, bez spłaszczenia, można nazwać komunistami wszystkich członków kolejno działających pod różnymi nazwami organizacji począwszy od Polskiego Towarzystwa Robotniczo-Farmerskiego po Polskie Stowarzyszenie Demokratyczne. Niewątpliwie wszyscy przywódcy byli, względnie są, członkami miejscowej partii komunistycznej. Organizacje z jednej strony korzystają z poparcia partii, z drugiej wspierają ją. Są powiązane licznymi więzami personalnymi i organizacyjnymi. Działa porozumienie np. podobnych grup słowiańskich, lecz zwykli szeregowi członkowie tych organizacji bynajmnie nie muszą należeć do partii i w większości istotnie nie należą. Ale organizacje jako całość kroczą wiernie po ,,linii generalnej''.

Znamienne jest, że te organizacje nie zostały założone przez członków KPP i, jak można stwierdzić, żaden z obecnych przywódców nie był w Polsce członkiem partii. Miała ona jednak w różnych okresach działaczy przysłanych z kraju, jak np. A. Morski, obecny poseł w Norwegii, Janina Sokolicz i inni. Organizacja rozwinęła się wpierw na Zachodzie, w Manitobie, gdzie w Winnipegu znajdował się największy ośrodek polski. Tutaj powstał ich pierwszy dom organizacyjny, tutaj w 1932 r. zaczął się ukazywać tygodnik organizacyjny ,,Głos Pracy'' zlikwidowany przez władze bezpieczeństwa w czasie wojny w 1941 r. i w jego miejsce zaczyna wychodzić w Toronto ,,Kronika Tygodniowa''.

Na uczuciowym wygrywaniu sytuacji w Polsce, która powodowała emigrację, i warunków w jakich znalazł się w nowym kraju imigrant, przywódcy tego ruchu kuli pewien kapitał. Za wszystko odpowiedzialny jest kapitalizm no i naturalnie jego ,,sługusy'', którym to mianem obejmowano oczywiście wszystkich innych.

Długi i uciążliwy kryzys gospodarczy był doskonałą glebą. Wiadomo również, że Trzecia Międzynarodówka przywiązywała wielką wagę do Kanady, która miała być odskocznią dla akcji w Stanach Zjednoczonych. To oczywiście mogło również być bodźcem dla komórek polskich, dla jej przywódców.

Oczywiście w tych szeregach byli i są komuniści. Oni to poszli do Brygad Międzynarodowych w Hiszpanii, oni to umacniali ogólno-kanadyjską partię komunistyczną. W miarę jednak jak zwykły, przeciętny członek tych zrzeszeń wychodził z dna, gdy na własną rękę sprawdzał ścisłość i dokładność ideologii i jej proroctw — odsuwał się. Niezawsze organizacyjnie, ale ideowo.

Bo jakże miał ruszać gołymi rękoma przeciwko wyzyskowi kapitalistycznemu skoro ten wyzysk zapewnił mu własny domek, wcale dostatnio urządzony, a potem jeszcze inne luksusy kapitalistyczne.

Gdyby nie kryzys skrzydła odpadłyby temu ruchowi znacznie wcześniej, ale dzięki niemu przetrwał do wybuchu wojny. Żył w ostatnich latach przed nią propagandą jadu nienawiści do Polski. Zachowały się te organizacje jako wynaturzone i wykoszlawione ośrodki emigracji politycznej.

Szalał więc, w ich naświetlaniu, w Polsce potworny terror, hulał faszyzm, hitleryzm, ale rząd polski nie zrobił im przyjemności i nie zawarł sojuszu z Hitlerem. Podpisał go natomiast rząd sowiecki.

Po wejściu ZSSR do wojny orientacja tych grup znowu nabrała kolorów. Znowu z otwartą przyłbicą powtarzano wyznanie wiary. Wszystkie nadzieje wiązano z Komitetem Patriotów Polskich i kolejnymi jego wcieleniami aż po rząd pojałtański. Nowa rzeczywistość była dla nich realizacją marzeń, ukoronowaniem dążeń. Nic więc dziwnego, że w tych warunkach najbardziej aktywny element, ten niewątpliwie ideologicznie związany z ruchem komunistycznym, odpłynął do Polski. Ci ludzie zajęli konsekwentnie stanowisko emigranta politycznego.

Entuzjazm „Kroniki Tygodniowej" działał, jak magnes. Ten odpływ miał znacznie poważniejsze następstwa niż samo osłabienie szeregów. Niektórym udało się powrócić do Kanady. I ci oczywiście nie tylko nie powrócili do organizacji, lecz stali się jej najzacieklejszymi przeciwnikami. Opowiadali o swoim życiu w Polsce. Naturalnie nazwano ich „zdrajcami", kłamcami, sługusami itp.

W dyskusji przed VII zjazdem delegatów Polskiego Stowarzyszenia Demokratycznego, który odbył się w dniach 28 i 29 grudnia 1957 r., ówczesny sekretarz generalny tej organizacji p. M. Arciszewski wywodził m.in.:

„Jest faktem niezaprzeczalnym, o którym wie każdy chyba członek i czego nie powinniśmy ukrywać, że siła ilościowa naszego Towarzystwa zmniejszyła się, i że do pewnego stopnia zwęził się zakres pracy organizacyjnej. *W ciągu ostatnich* 10 *lat utraciliśmy całkowicie kilka oddziałów, wszystkie od-*

działy utraciły procentowo wielką ilość członków, a obecnie niektóre oddziały stoją przed poważnym problemem rozpadnięcia się.

Przyczyn takiego stanu jest kilka. Po pierwsze: gros naszych sił opuściło Kanadę po powstaniu władzy ludowej w Polsce; po drugie: członkowie z biegiem lat starzeją się i umierają, względnie stają się niezdolni do pracy organizacyjnej, zaś *napływ nowych członków jest bardzo znikomy, nie wyrównujący odpływu* i po trzecie: *utraciliśmy kompletnie młodzież tu urodzoną, względnie wychowaną''*. (*Kronika Tygodniowa* z dn. 26.10.1957 r.).

W tymże artykule p. Arciszewski wskazuje, że głównym błędem organizacji ,,był nieodpowiedni stosunek w kierunku pozyskania nowej emigracji... Co gorsza wielu członków we wszystkich prawie oddziałach patrzało się *na nowych przybyszów jako na niepotrzebnych intruzów, nazywając ich często ubliżająco...* Jeszcze dziś u wielu naszych członków *jest wrogi po prostu stosunek do nowej emigracji, przeważnie ukryty, ale czasem nawet otwarty...*

Musimy raz nareszcie otrząsnąć się z dotychczasowej nietaktyczności. Inaczej *zamknięci w skorupie zatwardziałego sekciarstwa wymrzemy z braku potrzebnego pulsu organizacyjnego''*.

Autor przeoczył, że stosunek do nowej emigracji został niezwykle wyraźnie sformułowany przez p. W. Dutkiewicza w memoriale i wypowiedziach powyżej cytowanych. Ponadto pokrywał się z oficjalnym stanowiskiem tak Warszawy jak i międzynarodowego ruchu komunistycznego.

W dalszym artykule p. M. Arciszewski m.in. następująco charakteryzuje swoją organizację:

,,Zapomnieliśmy o zasadniczej rzeczy: o przystosowaniu się do warunków czasu. *W latach powojennych, zamiast zająć się głównie działalnością czysto kulturalną*, mającą za zasadnicze zadanie utrzymanie języka ojców naszych i krzewienia tradycji narodowych wśród wychodźstwa w Kanadzie, *przeszliśmy do pewnego stopnia na działalność polityczną. Działalność stowarzyszenia powiązaliśmy za mocno z ruchem robotniczym...*

Jeżeli w latach trzydziestych mieliśmy pełne poparcie ze strony robotników, a w latach wojennych poparcie Polonii Kanadyjskiej, to później wszystko zaczęło układać się inaczej...

Wielu innych odeszło i odchodzi nie z obawy presji a jedynie dlatego, iż warunki pracy na naszym terenie nie odpowiadają im. *NIE ODPOWIADAJĄ IM DLATEGO, ŻE STOWARZYSZENIE PRZEJAWIA TENDENCJE ORGANIZACJI POLITYCZNEJ O NASTAWIENIU, KTÓRE NIE IMPONUJE DZIS WCALE...*

Jest faktem, który miałem możność stwierdzić osobiście, że wielu byłych naszych członków, lub sympatyków, znajduje się dziś w innych organizacjach, gdzie pracują intensywnie

właśnie dla dobra polskości. W naszych szeregach było dla nich za ciasno, bo *WYMAGANO U NAS PODPORZĄDKOWANIA SIĘ IDEOLOGII, KTÓRA NIE ZAWSZE I NIE WSZYSTKIM ODPOWIADAŁA...*

Na łamach naszej prasy, w odczytach, referatach i prywatnych rozmowach mówiliśmy o idealnych warunkach w Polsce powojennej, posuwając się tak daleko w zapędzie propagandowym, że sami tylko zaczęliśmy wierzyć w nierealność, a słowa nasze pozostały bez echa u mas. Ostatnie wydarzenia zaskoczyły nas mocno. (Chodzi o wypadki poprzedzające październik i o sam październik do których organizacja i „Kronika Tygodniowa" nie ustosunkowały się. B. H.). Trudno jest nam przestawić się na nowy tor. I tu leży nasz wielki błąd ostatniego roku, a nawet dwóch lat. Nie mieliśmy pełnego i prawdziwego naświetlenia ostatnich wydarzeń w Kraju. *Nie skorygowaliśmy dotychczas naszej oceny zajść poznańskich, nie wyjaśniliśmy podłoża polskiego października.* Rezultat jest ten, że ludzie stojący w szeregach naszej organizacji znaleźli się na rozdrożu niepewności, *a masy polonijne jeszcze bardziej odizolowały się od nas". (Kronika Tygodniowa* z 16.11.1957 r.).

Te swoje niewesołe dla organizacji refleksje p. Arciszewski zamknął następującymi słowy : „*...schodzimy w cień, a powstaje to dlatego, że znaleliśmy się za parkanem oddzielającym nas od Polonii Kanadyjskiej*". (Wszystkie podkreślenia w tekście moje B.H.).

Zjazd delegatów oczywiście nie wyciągnął ani wniosków z analizy p. M. Arciszewskiego ani nie przyjął jego sugestii reorganizacyjnych. Nie mógł, gdyż równałoby się to praktycznie likwidacji jej w obecnej postaci. Jeden z najstarszych działaczy i przywódców p. T. Lewandowski odpowiadając Arciszewskiemu w artykule pt. „O właściwą drogę rozwoju naszego życia organizacyjnego" wywodził m.in. :

„Powinniśmy zachować postępowy charakter naszego ruchu. Większość naszych członków nie zgodzi się nigdy na przekształcenie PSD — jak to zaleca ob. M. Arciszewski — na towarzystwo kulturalne... Musimy wiązać pracę społeczną z kulturalną i oświatową. *ZERWANIE Z PRACĄ SPOŁECZNĄ PRZYNIOSŁOBY ROZLUŹNIENIE WIĘZI ŁĄCZNOŚCI Z KANADYJSKIM RUCHEM POSTĘPOWYM, CO DOTYCHCZAS STANOWIŁO O NASZEJ SILE, GDYŻ BYLIŚMY NIEROZERWALNĄ CZĘŚCIĄ OGÓLNEGO RUCHU POSTĘPOWEGO SPOŁECZEŃSTWA KANADYJSKIEGO". (Kronika Tygodniowa"* z dn. 23.11.1957 r.). (Podkreślenia moje B.H.).

O ile p. Arciszewski mówił dyskretnie o powiązaniach z partią komunistyczną, o obowiązującej ideologii komunistycznej, o tyle p. Lewandowski stawia sprawę bardzo jasno, otwarcie i szczerze, boć „kanadyjski ruch postępowy" to eufemistyczne określenie ruchu komunistycznego i jego przybudówek.

Pierwszy twierdził, że te powiązania nie odpowiadają większości, drugi coś wręcz odwrotnego. Zwyciężyła oczywiście stara gwardia a p. Arciszewski wyciągnął jedyny logiczny wniosek, a mianowicie ustąpił.

Jeśli siła tej organizacji, jak wywodził p. Lewandowski, polega na tym, iż stanowi „nierozerwalną część ogólnego ruchu postępowego społeczeństwa kanadyjskiego” ściślejszym terminem byłaby *słabość* a nie *siła*. Ilość głosów jakie padły w ostatnich wyborach federalnych, prowincjonalnych oraz samorządowych, na kandydatów „postępowych” wskazuje na zamieranie tego ruchu. Utracono wpływy nawet w najbardziej tradycyjnych ośrodkach, przepadli nawet kandydaci cieszący się osobistą popularnością.

PO DRUGIEJ STRONIE BARYKADY

Niektóre partie polityczne przystąpiły w Kanadzie do tworzenia ośrodków organizacyjnych. W pierwszym rzędzie Str. Narodowe, dalej PSL, „Wolność” i PPS. Powstały koła w Toronto, Montrealu, Sudbury i bodajże w kilku innych miejscowościach. Nie pozbawionymi oblicza politycznego były poszczególne Koła SPK.

Po bardzo jednak krótkim czasie można było stwierdzić, że jakkolwiek nie istniały w zasadzie żadne przeszkody ze strony władz kanadyjskich, to warunki kanadyjskie przekreślały możliwość jakiejkolwiek akcji ośrodków partyjnych. Organizacje polonijne, starzy przywódcy, broniły posterunków życia społecznego przed polityką. To jednak nie oznaczało nie przejęcia przez wszystkich zasadniczych postulatów niepodległościowych. Wręcz przeciwnie! Wysunięcie go na czoło. Umocnienie tego postulatu jest niewątpliwą zasługą żołnierskiej emigracji.

Mimo rozluźnienia jakie nastąpiło wskutek rozsypki po całym kraju ta nowa masa emigracyjna była związana duchowo z kierownictwem politycznym emigracji w Londynie. Dlatego też Skarb Narodowy natrafił wpierw na żywy odzew. Przyjęcia jakich doznali kolejno przywódcy emigracyjni jak gen. Anders, gen. Bór-Komorowski, śp. Tomasz Arciszewski, Adam Ciołkosz, Tadeusz Bielecki świadczyły wymownie o ich autorytecie.

Ale z upływem lat powiązania te rwały się. Nie należy tego tłumaczyć wyłącznie rozbiciem emigracji politycznej w Londynie, jakkolwiek odegrało to dodatkową rolę, ale raczej jest to następstwo wnikania w życie kanadyjskie, konsekwencja usadowienia i zadomowienia się. Bo przecież nie można np. podejrzewać dawnego członka Str. Narodowego, który po kilku latach wegetowania zdał dodatkowe egzaminy i uzyskał profesurę w szkole średniej, że przestał czuć się Polakiem, bo wychowuje Kanadyjczyków, bo nie bierze udziału w polskim życiu politycznym.

Z równym powodzeniem można to samo powiedzieć o tysiącach zarówno inteligentów, jak i robotników.

Wchłania ich codzienne życie, kształtują ich miejscowe warunki. Powoduje to automatycznie konieczność przestawienia się. Obserwujemy więc np. u najbardziej upolitycznionych jednostek tendencję wykorzystania indywidualnych możliwości osób posiadających czy odpowiednie stanowiska czy wpływy, by działały zarówno w interesie Polonii jako całości, jak i w obronie Sprawy Polskiej, w najszerszym tego słowa pojęciu.

Problemem ścieśniania się grupy polskiej, wynaradawiania się, zajął się dr Adam Jaworski z Ottawy, opierając się na analizie danych statystycznych. To studium zachowuje nadal swój walor, jakoże dopiero po spisie z 1961 r. będzie można przeprowadzić odpowiednią konfrontację. Wolno przypuszczać, że dr Jaworski pokusi się znowu o opracowanie tego materiału.

Pozostały właściwie dwie grupy, skupiające pewną ilość osób o wyraźnym nastawieniu politycznym czy partyjno-politycznym. Jedna grupuje zwolenników p. A. Zaleskiego, druga Zjed. Narodowego. Zakres działania drugiej jest znacznie szerszy, co wynika chociażby z dotacji na rzecz Skarbu Narodowego, pierwsza natomiast jest niewątpliwie bardziej zwarta, bardziej przypominjaąca organizację partyjną, z jej plusami i minusami. Życia polonijnego nie kształtują, lecz poprzez poszczególne jednostki wywierają pewien wpływ na życie organizacyjne. Nie zamierzamy tutaj oceniać działalności tych grup i uwagi powyższe służą wyłącznie dla ilustracji ,,klimatu'' politycznego.

ZLANIE SIĘ FALI POWOJENNEJ

Na pewnej konferencji poświęconej zagadnieniom adaptacji nowoprzybyłych imigrantów, dyrektor departamentu Ministerstwa Obywatelstwa i Imigracji, Jean Boucher, oświadczył, iż czynniki rządowe zainteresowane są wyłącznie w ułatwieniu imigrantom ,,materialnego procesu''. Wywodził, że oznacza to troskę o znalezienie pracy.

W tym sformułowaniu streszczona jest cała polityka rządowa, obrazuje ona również probierz oceny imigranta. O wartości jego decyduje osobisty sukces. Ten probierz stosuje się zresztą i do całych grup narodowościowych. Pod pojęciem sukcesu nie należy jednak koniecznie rozumieć tylko osiągnięć czysto materialnych.

Gdy spojrzymy na grupę polską pod kątem widzenia sukcesu wówczas trzeba będzie stwierdzić, że stał się on udziałem dopiero emigracji powojennej, co jest wynikiem zarówno struktury socjalnej tych mas jak i obiektywnych warunków ekonomicznych Kanady.

A że w tym sukcesie ma swój udział i generacja tutaj zrodzona mamy więc i do czynienia z procesem szerszym.

Synowie pierwszych pionierów polskich w Kanadzie pozostali przeważnie na terenach zdobytych przez ich rodziców. Generacja pionierska nie dała Polonii inteligencji. Nie zdobyła równie majątków na skalę kanadyjską. Owszem stali się zamożni, niektórzy nawet bardzo. Łożyli na kościoły, na domy organizacyjne, ale nie wychodzili poza ciasne, lokalne środowisko. Brakło ich w samorządach, związkach zawodowych, służbie państwowej, prowincjonalnej czy federalnej. Jak rodzynki w cieście znalazły się gdzieś pojedyncze jednostki na podrzędnych stanowiskach. Kilku księży, adwokatów i lekarzy, głównie na Zachodzie, uzupełnia ten obraz.

Wydała ta stara emigracja barwną postać Stanisława Szyszki, szaleńczego poszukiwacza złota, odkrywcę złóż, samorodnego geniusza handlowo-organizacyjnego, który dorobił się milionów, tracił je i znowu zdobywał. Ten twórca S.A. Siscoe Gold Mine chłopski syn, który rozpoczął pracę w Kanadzie jako górnik zostałby niewątpliwie czołową osobistością, gdyby nie zginął tragicznie w gąszczu leśnym w 1935 r.

Daleko, daleko za nim umieścić trzeba Władysława Nowaka, (1), również syna chłopskiego, który przybył do Kanady w 1913 r. jako wykwalifikowany masarz, a w 1933 r. założył wielkie przedsiębiorstwo — wytwórnię wędlin — ,,Kitchener Packers Ltd.''. Obok nich oczywiście do grupy średnio zamożnych zaliczyć można by kilku właścicieli hoteli, mniejszych przedsiębiorstw. I to wszystko.

Stopa majątkowa Polaków podniosła się poważnie w czasie wojny. Dorobili się farmerzy na Zachodzie, rozrosły się małe przedsiębiorstwa, sklepiczki, zakłady rzemieślnicze w miastach. W fabrykach pracowali wszyscy członkowie rodzin powstały więc znaczne oszczędności. Koniunktura lat wojennych w gruncie rzeczy wyrugowała biedę emigrancką.

W okresie największej powojennej koniunktury wpłynęła nowa fala imigracyjna. Starzy imigranci polscy patrzyli nie tylko z dumą, ale i ze zdziwieniem na tych przybyszy. Nie dlatego, że byli bohaterami i ofiarami, ale iż byli tacy swobodni, tacy ambitni.

Płaszczyzn do tarć nie brakło, lecz nie były to zagadnienia poważne, nie powstały żadne głębokie konflikty, nie wytworzyły się wzajemne urazy.

Ambicja nowych ujawniała się przede wszystkim w przedsiębiorczości i zaradności. Podejmowali się każdej pracy i stale skłonni byli do nadliczbówek. Chcieli po prostu nadrobić utracone lata. Jak najszybciej i najwięcej zarobić, by wyjść z pod-

(1) Córka jego Mary jest profesorem uniwersytetu, doskonałą znawczyni zagadnień polskich i często zabiera głos na łamach prasy kanadyjskiej.

daszy w miastach, by unowocześnić gospodarkę na wsi. Był to imponujący wyścig pracy. Relacje pracodawców, raporty władz państwowych o tych nowoprzybyłych Polakach to peany pochwalne. Dyrektorzy banków wystawiliby im honorowe certyfikaty w uznaniu podniesienia wkładów oszczędnościowych.

WKŁAD INTELIGENCJI TECHNICZNEJ

Prekursorami fali powojennej imigracji była grupa wpuszczona do Kanady w czasie wojny, złożona z wykwalifikowanego elementu technicznego : inżynierów, techników oraz wysokowykwalifikowanych robotników przemysłu wojennego. W ogólnej ilości 900 osób znajdowało się 220 inżynierów i techników. Już to samo zapewne przesądziłoby o czołowej pozycji inżynierów w grupie polskiej. Została ona jednakże znakomicie umocniona dalszym przypływem imigrantów. Wkład inżynierów polskich w rozwój Kanady jest tak olbrzymi, że wymaga oddzielnego, szczegółowego opracowania. Na zawodowym odcinku stali się znakomitymi kontynuatorami wielkiego inżyniera, najwybitniejszego dotąd w historii Kanady imigranta polskiego Kazimierza Gzowskiego.

Stowarzyszenie Techników Polskich w Kanadzie jest najliczebniejszą polską organizacją zawodową a członkowie jej biorą bardzo czynny udział w życiu społecznym, zasiadają we władzach centralnych oraz okręgowych KPK, inicjują różne imprezy kulturalne itp. W Stowarzyszeniu jest zarejestrowanych około 500 członków, lecz stanowią oni zapewne nie więcej aniżeli jedną trzecią ogólnej ilości. Według szacunkowych obliczeń w prowincji Ontario jest czynnych co najmniej 800 polskich inżynierów.

Nie ma dziś w Kanadzie większego przedsiębiorstwa inżynieryjnego, w którym by nie pracowali Polacy. Zatrudnieni są na robotach państwowych, samorządowych i prywatnych.

Przykładowo jedynie wymienię : inż. W. Wrońskiego, naczelnego urbanistę nowego przedmieścia torontońskiego Etobicoke; na takimże stanowisku w przemysłowo-górniczym Sudbury jest inż. Górski; nowe miasto Port Royal zaplanował inż. Wiesław Wodkiewicz; w gronie kierowniczych inżynierów kolejki podziemnej w Toronto znajdował się inż. Wyszkowski; do najwybitniejszych konstruktorów zalicza się inż. Kazimierza Stankiewicza, który wykonał szereg wielkich obiektów publicznych, jak zespół budynków uniwersyteckich, szpitale, itp. Na czołowym stanowisku architekta w dyrekcji Canadian National Railways znajduje się inż. Kowalewski, kierownikiem wydziału technicznego Ministerstwa Robót Publicznych na prowincję Ontario jest inż. Orłowski, harcmistrz, bardzo czynny w polskim harcerstwie. Inżynierowie dr Zdz. Przygoda,

Stankiewicz, Brzozowicz, Bachorz prowadzą własne przedsiębiorstwa (*consulting engineers*) projektując budynki przemysłowe, publiczne, prywatne.

Szereg inżynierów polskich pracuje naukowo, jedni są wykładowcami na uniwersytetach, inni są zatrudnieni w Państwowym Instytucie Badawczym, a jeszcze inni na różnych stanowiskach państwowych.

Wśród nich znajdują się wychowankowie uczelni polskich oraz zagranicznych, w tym P.U. C'u. Ci młodzi Polacy, absolwenci polskiej uczelni w Londynie, cieszą się w kołach doskonałą opinią, są wręcz poszukiwani. Jak dalecy są cenieni świadczy fakt, iż w pewnym wielkim przedsiębiorstwie brytyjskim w Toronto, zatrudniającym 25 inżynierów, zwolniono przejściowo wszystkich z wyjątkiem pięciu. A ci właśnie byli Polakami z P.U.C.'u.

W tej kadrze inteligencji technicznej znajduje się wreszcie spore grono dzieci imigrantów urodzonych względnie wychowanych w Kanadzie. Już bowiem synowie i córki powojennych imigrantów ukończyli studia akademickie. Z każdym rokiem wzrastają szeregi inteligencji zawodowej.

Naturalnie już ten znaczny udział inteligencji technicznej w życiu kanadyjskim byłby dostatecznym dowodem całkowicie zmienionej pozycji Polonii w tym kraju, jej odmiennego oblicza socjalnego, ale przecież do tego dochodzą : lekarze, adwokaci, profesorowie szkół średnich i wyższych, urzędnicy różnej kategorii oraz rzesza samodzielnych w różnych gałęziach.

I tutaj, oczywiście, obok dzieci imigrantów wysuwają się na czoło nowoprzybyli, imigranci okresu powojennego. Trudno powiedzieć, że to grono przemysłowców polskich składa się już z milionerów, ale na pewno nie brak wśród nich kilku, którym niedaleko do pierwszego miliona. Są między nimi właściciele fabryk, przedsiębiorstw budowlanych.

Imigracja polska przestała być kopciuszkiem, zespołem tych najprostszych i najbiedniejszych. Pracą, zdolnościami wybiła się i jakkolwiek liczebnie ustępuje niejednej grupie narodowościowej to pozycją społeczną stoi znacznie wyżej.

Paradoksalne jednak jest to, iż mimo posiadania poważnej liczby ambitnej i prężnej inteligencji, rola Polonii w życiu politycznym jest minimalna. Tylko jeden Polak — i to krótko — zasiadał w Izbie Gmin, tylko jeden wszedł — i to po raz pierwszy — do Izby Ustawodawczej prowincji Ontario. Zarysowuje się już jednak wyraźnie przełamanie i tego impasu, co będzie zasługą raczej głównie młodego pokolenia, tutaj urodzonego, względnie wychowanego.

Imigracja powojenna szybko zaadoptowała się a jednocześnie obudziła zamierające poczucie przynależności do grupy polskiej w drugiej generacji starej emigracji.

Sheila Horko, badając w zachodnich prowincjach grupę polską, stwierdziła niezwykle ciekawe zjawisko a mianowicie,

że w trzeciej generacji — nie władającej już zupełnie językiem polskim — budzi się nie tylko poczucie przynależności do niej, ale i duma. Zdaniem jej, ci młodzi Kanadyjczycy, polskiego pochodzenia, poznawszy nowoprzybyłych tak odmiennych od ich przodków, gdy chodzi o wykształcenie i pozycję społeczną, zainteresowali się przeszłością polską.

Identyczny proces stwierdziłem w znacznej grupie młodych inteligentów, którzy dopiero w latach uniwersyteckich zaczęli poczuwać się do przynależności do grupy polskiej.

Wręcz paradoksalne jest, że młodzi inżynierowie, chemicy, porozumiewający się tylko z wielkim trudem językiem polskim, piszą wzruszające artykuły — naturalnie w języku angielskim — o polskiej poezji, literaturze, sztukach plastycznych, muzyce i historii, zadziwiając jednocześnie wcale dobrą znajomością przedmiotu.

Ale ci sami młodzi w sposób zdecydowany występują przeciwko takim obchodom, jak Święto Morza, jak również potępiają przeoczenie przez organizacje polonijne Dominion Day, to jest państwowego święta Kanady. Oni to są oczywiście rzecznikami aktywnego udziału we wszelkich formach ogólnokanadyjskiego życia publicznego. Jednocześnie zachowują sentyment do kraju swoich przodków. Pragną go poznać, udają się do Polski indywidualnie, zapowiadają organizowanie wycieczek. Ich nastawienie w tej mierze jest odmienne od powojennych imigrantów, nawet najbardziej zaadoptowanych. Różnice są przede wszystkim w temperaturze uczuciowej. O niej w pierwszym rzędzie mówi akcja bezpośredniej pomocy materialnej dla Polski. Wielki rozwój firm paczkowych. Przeciętna wartość rocznych wysyłek do kraju poprzez te firmy wynosiła do 1956 r. włącznie, od 4 do 5 milionów dolarów, z tym iż w latach największego nasilenia wynosiła 5 milionów. Do tego oczywiście dochodzą paczki wysyłane bezpośrednio. Ich wartości niestety nie sposób ustalić. Po październiku 19556 r. nastąpił gwałtowny spadek przesyłek i według danych szacunkowych firm wartość ich waha się obecnie w granicach do miliona rocznie. Miejsce paczek i przekazów pieniężnych zajęły wyjazdy. Ponadto na spadek przesyłek wpłynęło sprowadzanie do Kanady najbliższych krewnych, wreszcie osobiste stwierdzenie, że stopa życiowa w Polsce nie jest tak niska jak sobie tutaj wyobrażano. Zbiórka publiczna na pomoc dla Polski, zorganizowana po październiku dała ogółem $164.138 z tego około 25 % wpłynęło z prowincji zachodnich.

Już przed październikiem, głównie dzięki wpływom i staraniom powojennej imigracji, zorganizowano szereg akcji o charakterze politycznym w sprawach polskich, jak akcje protestacyjne po pozbawieniu wolności ks. kardynała Wyszyńskiego, po wypadkach poznańskich, a później ożywiła się akcja na rzecz odesłania do Polski przechowywanych w Kanadzie skarbów wawelskich.

O wrastaniu w teren dowodzi coraz żywsze zainteresowanie się grupą polską kanadyjskich czynników politycznych. Nie mamy już do czynienia jedynie z ubieganiem się o głosy, ale z próbami zdobycia całej grupy. Wysuwanie przez partie kandydatów polskich, ściślej pochodzenia polskiego, świadczy o awansie grupy jako całości. Zdarza się jednak, iż kandydat zawdzięcza swoją karierę nie obiektywnym zdolnościom politycznym, ale przede wszystkim temu iż wywodzi się z określonej grupy narodowościowej. Identycznie przedstawia się sprawa w grupie ukraińskiej.

O ile więc młode pokolenie, nawet młodzież, są czynnikiem stabilizującym starsze pokolenie imigrantów, umożliwiającym i przyśpieszającym proces adaptacyjny, o tyle każda fala nowej imigracji pobudza, ożywia świadomość grupową, powiązania z krajem. I dlatego też można zaryzykować twierdzenie, że regularny przypływ nowych imigrantów jest conditio sine qua non dla zachowania i przedłużania życia, każdej grupy narodowościowej. Ich rola w tej mierze jest grubo większa aniżeli wynikałoby to z liczebności. Stu nowych imigrantów w jednym mieście może wprawić w ruch 1.000 osiadłych.

Powojenna imigracja skorzystała z pierwszej sposobności, by odwiedzić Polskę. Udawali się i tacy, którzy rozmyślnie nie przyjęli obywatelstwa i tacy, którzy jeszcze nie mogli tego uczynić. Jechali ludzie z nienajlepszą z punktu widzenia komunistycznego — przeszłością polityczną z okresu przedwojennego, wojennego i imigracyjnego. Udawali się tacy, którzy uciekli już po wojnie, w tym nawet byli pracownicy UB. Członkowie i działacze SPK obok członków Str. Narodowego i zwykłych, przeciętnych ludzi. Wielu traktowało podróż, jako eksplorację terenową, wielu z nich mimo wszystkich zewnętrznych pozorów zagospodarowania się w Kanadzie, w gruncie rzeczy pragnęło powrotu do Polski.

Wracano z Polski w różnych nastrojach: radosnym, czasem i entuzjastycznym, ale jednocześnie z przeświadczeniem pozostania w Kanadzie. Stwierdzano spokojnie, że przemiany i czas są czynnikiem poważnym. Przeskoczyć tego nie można.

NASI KRAJOWCY

W 1956 r. przybyło do Kanady, bezpośrednio z Polski zaledwie 186 osób, a przecież już wówczas panowała era odwilży. Taki przypływ, zważywszy ich chodziło głównie o osoby starsze względnie dzieci, które rodzice pozostawili jako niemowlęta, nie mógł oczywiście nawet w najmniejszym stopniu zaważyć na obliczu emigracji. Ale już w następnym roku cyfra ta wzrosła do 690, w 1958 r. do 2.996, a w pierwszym kwartale br. (ostatnie istniejące dane) do 794. Już tylko te dwie ostatnie cyfry są wymownym świadectwem ruchu

emigracyjnego, jeśli nawet bardzo skromnego. (Nie bierzemy oczywiście pod uwagę przyjazdów w odwiedziny i cyfry powyższe odnoszą się wyłącznie do wpuszczonych jako imigranci).

Tutaj naturalnie wyobrażono sobie, że każdy nowoprzybyły będzie bezgranicznie szczęśliwy, że będzie się zachłystywać nieskrępowaną wolnością kanadyjską, pławić w rozkoszach demokracji, podziwiać bogactwo, komfort, ba, luksus codziennego życia. Tymczasem wystarczało kilku dni współżycia, by w kochających się rodzinach wybuchały gwałtowne spory. By miłość zastąpiła nienawiść. Rozczarowanie było kompletne i dwustronne. Tak przedstawiały się skrajne wypadki.

Nowoprzybyli wprawdzie nie znali języka angielskiego, ale po trzech dniach pobytu wyrokowali o Kanadzie, co wywoływało oburzenie u najbliższych, szczególnie iż te opinie były skrajnie ujemne. Osiadli imigranci reagowali jak prawdziwi patrioci. Nie szczędzili ze swej strony uszczypliwych uwag pod adresem Polski i ustroju napotykając na zdecydowaną obronę. Ale obok tych (podkreślam) skrajnych wypadków, z dramatycznymi wręcz następstwami, jak zerwanie stosunków rodzinnych, rozejście się spotkanych po latach małżeństw, powrotach do Polski sprowadzonych dzieci, jest mnóstwo żalu i niezadowolenia.

Wina, jak zazwyczaj, jest obustronna. Osiadli w Kanadzie w swej prostocie i naiwności ducha wyobrażali sobie, że szczytem marzeń każdego Polaka jest opuszczenie kraju. Wierzyli w ścisłość anegdoty iż wystarczy otworzyć granice a kraj opustoszeje.

Sądzili, iż w warunkach kanadyjskich — obiektywnie pozytywnych dla imigrantów — każdy będzie szczęśliwy. Los bowiem leży we własnych rękach. Polak z kraju natomiast może i istotnie marzył o Kanadzie, ale wyobrażał sobie, iż w tym Eldorado praca jest czymś zbędnym, nieznanym, zarezerwowanym dla jakichś prymitywów. Sądzili dalej, że Kanada jest przedłużeniem Polski, jeśli chodzi o styl życia.

Wielu z zawodami inteligenckimi, nie technicznymi, sądziło iż bez znajomości języka dostaną natychmiast doskonale płatne posady. Inni sądzili, że istnieje tutaj nawet polskie szkolnictwo średnie a więc będą mogli bez przerwy kontynuować swój zawód.

Z przerażeniem dowiadywali się, że szereg popłatnych w Polsce zawodów w ogóle jest tutaj nieznanych, niepotrzebnych. Usłyszeli, że mają o przeszłości zapomnieć, że nie należy przeprowadzać żadnych porównań nie tylko z Polską, ale w ogóle z Europą, że trzeba się nastawić na pracę, na ciężką pracę, że trzeba przyjąć na początku każdą — i dopiero w miarę wgryzania się w teren — można będzie uzyskać bardziej odpowiednią i pracować w swoim zawodzie. A przede wszystkim trzeba polegać na własnych siłach, trzeba samemu troszczyć

się o siebie. Nie można oczekiwać ani ciągłej pomocy od bliskich ani tym bardziej od władz administracyjnych. Nie ma ni prywatnych ni publicznych piastunek.

W odróżnieniu od dawnych imigrantów ci świeżo przybyli czuli się silnie związani z zapleczem krajowym. Posiadali świadomość iż mogą wrócić do Polski, podjąć zerwaną nić. Przypuszczalnie co najmniej 10% tych krajowych imigrantów powróciło. Wielu zapowiada iż to uczyni, ale to się dopiero okaże.

Z doświadczenia bowiem wiadomo, iż kto przetrzyma pierwszy rok, dla tego decyzja powrotu będzie już trudnym problemem.

Niemniej jednak wydaje się, że z wyłuszczonych powyżej powodów, odmienności obiektywnych warunków, które spowodowały imigrację, proces adaptacji tej najświeższej, krajowej grupy imigrantów, będzie niewątpliwie dłuższy, ale różnice będą się stale, aczkolwiek powoli, zacierały.

Ilustracją, jeśli nawet b. skrajną, nastawienia niektórych osób do Kanady, do osiadłych tutaj Polaków, do członków rodziny stanowi następująca wypowiedź:

,,Jestem jeszcze jedną ofiarą sprowadzoną z Kraju na ,,lepsze życie'' w Kanadzie. Brat mój, lojalny obywatel kanadyjski, przez miesiąc pastwił się nade mną, mieszając mnie z błotem, wyzywając od komunistów i materialistów...

Czy wszyscy Polacy są na procencie kanadyjskiego Biura Emigracyjnego, żeby ściągać ludzi spokojnie żyjących w Kraju?... żeby dogorywali na służbie wyzyskujących pracodawców?...

Ile dolarów dostaje się z wywiadu kanadyjskiego i od właścicieli przedsiębiorstw za rzucanie Polaków na najcięższe prace po fabrykach?...

W ustroju socjalistycznym zostali ludzie a tu szakale i zmotoryzowane chamstwo, bez serca, bez ambicji i bez kultury. Asymilujcie się jak najprędzej, niech z was śladu nie zostanie, co chcecie posyłajcie, ale nie sprowadzajcie rodzin z Polski na nędzę i upokorzenie, na śmierć w cudzym, bezwzględnym kraju!'' (*Związkowiec,* z dn. 29.4.1959 r.).

Oczywiście ten list kobiety — już nie rozgoryczonej, ale rozwścieczonej — jest wyjątkowo brutalny. Nawiasem dodam, że pani tej okazano — oczywiście Polacy — bardzo wiele serca. Otrzymała, podobnie jak i jej córka, pracę, ale nic jej nie odpowiadało. Reprezentuje właśnie ów typ zdecydowanie antyadaptacyjny. Z rozmysłu.

Naturalnie na łamach pisma rozgorzała polemika i — co wysoce charakterystyczne — iż w gronie ostatnich imigrantów odezwał się tylko jeden głos solidarności. Pozostałe, i oczywiście głosy dawniejszych imigrantów, były potępiające. Zgodnie doradzano tej nieszczęśliwej osobie, by jak najrychlej opuściła Kanadę.

Ale znakomita większość ,,krajowców'' mimo pewnych rozczarowań oswaja się z nowym otoczeniem, warunkami życia, zakosztowując owoców swojej pracy.

Prawdziwie zadowoleni są robotnicy i rzemieślnicy, mieszkańcy mniejszych miast a więc ci, którzy najłatwiej uzyskują pracę, do której są przygotowani a zarobek pozwala im niewątpliwie na znacznie wyższą stopę życiową aniżeli posiadali w Polsce.

Ci ostatnio przybyli nie weszli jeszcze do życia polonijnego, niemniej jednak w mniejszych ośrodkach, m.in. w górniczych, gdzie znalazło się po kilkadziesiąt osób, nawiązali już pierwsze, serdeczne kontakty. Przychodzą do organizacji po różne informacje, zabierają głos na łamach pism. Są to pierwsze oznaki osiadania w terenie. Wolno więc zakładać, że po przezwyciężeniu wstępnych oporów kontakt z Polonią stanie się żywszy i — jeśli imigracja z Polski utrzyma się chociażby na poziomie ubiegłego roku — odegrają oni w stosunku do świeżo przybyłych tę rolę, która przypadła przedwojennej imigracji do powojennej. Jaki będzie natomiast jej wpływ na ogólne oblicze Polonii tego oczywiście przewidzieć nie można. Jak dotychczas brak wśród krajowców jednostek o tak wysokich kwalifikacjach, jakie posiadali imigranci powojenni.

Przybywający bowiem z kraju to zdecydowanie imigranci zarobkowi, nawet jeśli u niektórych doszukać się można pobudek politycznych. Stąd, mimo głębokich różnic zachodzących między nimi a falami emigracyjnymi do 1938 r., są do nich bardziej podobni aniżeli do emigracji powojennej. Ale wszystkie różnice z czasem zatrą się, jeśli nie z innych powodów to wskutek całokształtu warunków kanadyjskich.

ILUSTRACJA REPREZENTACYJNA

Po Toronto i Montrealu największym ośrodkiem polskim jest Hamilton. Jest to miasto przemysłowe, gdzie tradycja polonijna jest stara. Tutaj, w 1912 r., powstała lokalna organizacja Tow. Bratniej Pomocy im. św. Stanisława Kostki, która utrzymała się po dzień dzisiejszy. W Hamiltonie w 1928 r. powstało pierwsze zrzeszenie zawodowe a mianowicie kupieckie.

W 1912 r. zbudowano w Hamilton kościół pod wezwaniem św. Stanisława Kostki. Od 1949 r. proboszczem jego jest ks. Józef Capiga, ze zgromadzenia OO Zmartwychwstańców, jeden z głównych organizatorów Apelu Jasnogórskiego w 1956 r.

Ośrodek polonijny w Hamilton oznacza się większą stałością aniżeli inne, co może świadczyć o stabilizacji. Ma ten ośrodek znacznie wyraźniejsze oblicze społeczne. Znakomita większość Polaków niezależnie od przeszłości — pracuje fizycznie.

Z informacji prob. Capigi wynika, że w parafii zarejestrowanych jest obecnie nieco ponad 2.000 rodzin podczas gdy w 1952 r. notowano w księgach 1.525 rodzin. O ile poprzednio rodzina składała się przeciętnie z trojga osób, obecnie z pięciorga Nastąpiły i dalsze charakterystyczne zmiany a mianowicie podczas gdy w 1952 r. procent samotnych wynosił ok. 30, obecnie spadł do 15%. Granice miasta zostały rozszerzone i w/g szacunkowych obliczeń ks. Capigi mieszka obecnie w Hamilton i okolicy około 12.000 Polaków.

Zdaniem ks. Capigi, na poparcie czego cytuje szereg konkretnych dowodów, nastąpiła wybitna poprawa sytuacji materialnej Polaków.

,,U nas — wywodzi — brak jest niemal zupełnie osób, które nie chciałyby ustabilizować swoich warunków bytu. Nie ma więc takich, którzy przybyli na pobyt czasowy, szukających szczęścia po całym kraju''.

Ks. Capiga jeszcze w czasie wojny i natychmiast po niej, kiedy jeszcze był proboszczem w Kitchener, zajmował się z ramienia władz kościelnych nowoprzybyłymi. Zmierzał do usuwania wszelkich możliwych tarć między starymi a nowymi. Rozumiał, że pewne różnice istnieją, ale dlatego też dążył do stępiania ich, jeśli usunięcie było niemożliwe. Nie miał wątpliwości iż po nieuchronnych, pierwszych nieporozumieniach, wzajemnego poczucia ,,odmienności'' nastąpi zbliżenie. W tym kierunku szedł świadomy wysiłek kościoła. Został on uwieńczony powodzeniem szybciej, aniżeli można było oczekiwać. Okazało się, że ta ,,odmienność'' była pozorna a co najwyżej bardzo cienka. Nastąpiło pełne zlanie fal emigracyjnych. Nie sposób mówić o żadnych podziałach, mówi ks. Capiga. Polacy wspólnie, bez najmniejszej różnicy, działają i pracują tak na terenie parafialnym, jak i w organizacjach, miejscach pracy itp.

Nasza Polonia składa się z elementu osiadłego. Można zaryzykować twierdzenie, że wszystkie rodziny polskie posiadają własne domy. Być może nie mniej wymownym dowodem stopy życiowej jest plac parkingowy przed kościołem w niedzielę zapchany wozami. Przed 10 laty plac ten był zbędny, a jeszcze przed 5-ciu można było rzutem oka obliczyć ilość wozów.

Na ogólną ilość 75 bardzo dobrze prosperujących przedsiębiorstw polskich — średnich, gdy chodzi o poziom ogólnokanadyjski — 25 znajduje się w rękach powojennych imigrantów, co świadczy o zdolności i przedsiębiorczości tej grupy.

Ostatnio przybyli z Polski, to sprawa trochę inna, ale i ona zostanie rozwiązana. Do Hamiltonu przybyło w ostatnich dwu latach na stały pobyt około 300 osób. Nowoprzybyłych można podzielić na dwie grupy: 1) sprowadzeni przez rodziny, 2) żony, narzeczone, dalsi krewni.

Trudności w pierwszej grupie na terenie Hamiltonu były przejściowe. Fakt, iż w przeważającej większości chodziło o element robotniczy względnie wiejski znakomicie ułatwił przy-

stosowanie się. Wprawdzie z początku mówiono mi o zamiarach powrotu, ale na tym się skończyło.

Często można podziwiać łagodny proces adaptacyjny. Niektórzy nawet wstydzą się, iż przebiega on w ten sposób. Działa zapewne i nastawienie rodzin. Tam gdzie rodziny są wyrozumiałe i cierpliwe, różnice szybko zanikają. Zarówno z elementem robotniczym jak i inteligenckim główne nieporozumienia wynikały na tle języka. Trzeba było wcale poważnych wysiłków, by wyjaśnić nowoprzybyłym, iż niezbędnym warunkiem życia w tym kraju jest opanowanie codziennego języka angielskiego. Z zadowoleniem należy stwierdzić, że większość nowoprzybyłych pilnie uczy się angielskiego na specjalnych kursach.

Nie ulega wątpliwości, że pierwszą grupę należy traktować jako tę, która pozostanie na stałe w Kanadzie.

Gorzej z drugą. Naturalnie i tutaj nie należy przesadzać. Ks. Capiga konkretnie ma kłopot z pięcioma niewiastami, co znowu nie jest tak wiele. Odmawiają one wyjścia za mąż za mężczyzn, którzy je sprowadzili. We wszystkich wypadkach chodzi o kobiety, które są przeciętnie o 20 lat młodsze od mężczyzn, nie mówiąc już o innych różnicach. Oczywiście obie strony były lekkomyślne, chyba jednak mężczyźni bardziej. W niektórych wypadkach dawali najzupełnie fałszywy obraz własnej pozycji, stanu materialnego itp.

Te nowe związki małżeńskie są nieco toporne. Kobiety jeszcze nie znalazły płaszczyzny współżycia z otoczeniem. Często mówią o planach powrotu. Tym razem już z mężem. Mówią o potrzebie większych oszczędności, by zabezpieczyć sobie byt w Polsce. Ale do sprawy powrotu należy odnosić się sceptycznie.

W innych miejscowościach ujawniły się także trudności z przybyłymi z Polski, ale nie ma wątpliwości iż w ogólnej sumie stanowią one nieznaczny odsetek. Zresztą w tych sprawach nie nalezy uogólniać, ale mając to na uwadze i zachowując należyty umiar, wolno zakładać, iż obraz innych środowisk jest zbliżony. W każdym razie nawet powyższy, ogólny rzut oka na to zagadnienie, pozwala zorientować się w jego złożoności.

Benedykt HEYDENKORN

Gdy Niemcy miażdżyły Polskę...

TROSKA O „ZACHOWANIE" SIŁ FRANCUSKICH USPRAWIEDLIWIŁA W OCZACH WYSOKIEGO DOWÓDZTWA ICH BEZCZYNNOŚĆ WE WRZEŚNIU

1 września 1939, w kilka godzin po wejściu wojsk niemieckich do Polski, rząd Daladier'a zadecydował powszechną mobilizację. Pierwszy jej dzień został wyznaczony na 2 września, ale już od dwunastu dni trwały wstępne przygotowania, a ugrupowania osłaniające znajdowały się na stanowiskach.

Armie alianckie, zamiast rozpocząć natychmiastową ofensywę w chwili gdy większość sił niemieckich była zaangażowana w Polsce, stały bezczynnie, z wyjątkiem kilku wypadów, ograniczonych w miejscu i w czasie.

Jakie były wojskowe powody które skłoniły głównodowodzących do przyjęcia tej postawy? Na to pytanie odpowiada poniższy artykuł, napisany przez pułkownika Pierre Lyet'a, naczelnego redaktora „Revue historique de l'Armée", zamieszczony w Nrze 4542 „Le Monde" z dnia 30/31 sierpnia 1959. Artykuł ten, za zgodą redakcji „Le Monde", drukujemy w dosłownym tłumaczeniu.



Cofnijmy się wstecz o dwadzieścia lat... Dzieci urodzone nazajutrz po zwycięstwie 1918 roku są zaledwie pełnoletnie gdy Francja ponownie znajduje się w wojnie z Niemcami, z Niemcami Hitlera, który po „schrupaniu" Czechosłowacji w marcu 1939, przygotowuje się do połknięcia Polski, zaczynając od Gdańska.

„Umrzeć za Gdańsk?" To nie jest ściśle. Tu nie chodzi tylko o to miasto — w rzeczywistości o wiele bardziej germań-

---

Materiały zamieszczane w tym dziale drukowane są na odpowiedzialność autorów i nie są wyrazem poglądów Redakcji.

skie niż polskie — ale o „korytarz", o całe Pomorze i o część Śląska, o istotne żądania Führera, idzie przede wszystkim o gwałtowną ekspansję hitleryzmu, której trzeba ostatecznie położyć tamę.

Tak jak napisał naczelny dowódca wojsk, generał Gamelin: *„Zagadnienie, które się narzucało w końcu sierpnia 1939, przekraczało sprawę Gdańska. Niemcy atakowały Polskę. To nasz sojusz wchodził w grę... Tu zaangażowane zostały zarówno honor Francji jak i jej żywotne interesy, które górowały nad prowadzeniem wojny".*

Edouard Daladier, premier i minister Obrony Narodowej, wyraził tę samą opinię przed badawczą komisją parlamentarną w roku 1947. *„Wierzę, że jaki by nie był czas trwania wydarzeń i ich waga, Francja nie mogła postąpić inaczej. Przyjmując inną postawę i chyląc głowę przed wyzwaniem hitlerowskim, okryłaby się hańbą. Wierzę ponadto, że także i z innych przyczyn było konieczne zrobić to co zostało zrobione, bez względu na to, jak to było ciężkie. Gdybyśmy tego nie zrobili, Francja byłaby otoczona pogardą większości potęg demokratycznych. Ani Wielka Brytania ani Stany Zjednoczone nie zawarłyby z nią żadnego sojuszu... Francja nie mogła uniknąć wojny".*

Wobec wzrastającego zagrożenia niemieckiego francuskie zarządzenia wojskowe zaczynają wchodzić w życie od 22 sierpnia; począwszy od powołania pod broń półtora miliona rezerwistów w dniu 26 sierpnia aż do powszechnej mobilizacji w dniu 2 września. 3 września, tuż za Anglią, która wypowiedziała wojnę Niemcom w południe, Francja zrobiła to samo o godzinie 17-tej. Operacje wojenne winny były rozpocząć się 4 września, o godzinie 5-tej.

My nie byliśmy zaatakowani, żadne bezpośrednie niebezpieczeństwo nie groziło naszym granicom, nasze siły wojskowe miały więc wejść do walki po to, aby jak najbardziej pomóc naszym polskim sojusznikom.

Czyż można mówić, że Francuzi szli na front z radością? Trzeba raczej wyznać, że pamięć zniszczeń, niedoli i żałoby z lat 1914-1918 była jeszcze zbyt żywa i że raczej szli do walki z pewną rezygnacją. Jeśli gdzieniegdzie kilka kwiatów zdobiło lufy karabinów, były one raczej symboliczne, niż odzwierciadlające ogólny stan umysłów, ale ojcowie opowiadali swoim synom, że w roku 1914 oni tak właśnie szli...

W każdym razie należy zaznaczyć, że w roku 1914 „starzy" od dawna marzyli o „wielkim odwecie", aby zmyć hańbę 1870 roku i zetrzeć żałobną plamę Alzacji i Lotaryngii, od czterdziestu lat widniejącą na szkolnej mapie. W roku 1939, aczkolwiek wyczerpani okresowo wybuchającym napięciem i stałą pół-demobilizacją, nie czuli się jednak bezpośrednio i natychmiastowo zagrożeni. Zwycięzca z 1918 roku, który z goryczą widział, jak wymykały mu się z rąk owoce zwycięstwa — uważał za niesprawiedliwe, że każe mu się iść, aby ponownie robić to samo, co zrobił już jego ojciec — lub on sam. Wyru-

szał jednak mimo wszystko, gotowy bić się tak, jak od niego żądano.

PROTOKÓŁ FRANCUSKO-POLSKI Z MAJA 1939

Sprawa zbrojnej pomocy Polsce długo była studiowana przez sztaby główne i wszystko zostało przewidziane. W szczególności wojskowe rozmowy francusko-polskie, które miały miejsce w Paryżu, w maju 1939, zakończyły się zredagowaniem protokółu, podpisanego przez generała Gamelin i generała Kasprzyckiego, polskiego ministra spraw wojskowych. Ten protokół miał przekształcić się w rzeczywisty sojusz wojskowy w chwili kiedy zostanie podpisana umowa polityczna, która była w przygotowaniu. Mimo że ta ostatnia nigdy nie doszła do skutku, dowództwo francuskie uważało we wrześniu 1939 rozmowy wojskowe za podstawę swoich zobowiązań.

Ustalono, że nasze działanie przybierze następujące formy:

— Natychmiastowe rozpoczęcie działań lotniczych;

— Stopniowe rozpoczęcie — około trzeciego dnia mobilizacji — działań ofensywnych w stosunku do ograniczonych obiektów;

— Prawdziwe działania ofensywne około piętnastego-siedemnastego dnia mobilizacji.

W czasie rozmów z kwietnia 1939 roku Polacy żądali, aby Francja rozpoczęła ofensywę jak najszybciej, celem zatrzymania maksimum sił. Gdyby tych działań nie było, Polska będzie się trzymała tak długo, jak będzie mogła, ale ,,może okazać się bezsilna''.

Czy sprecyzowaliśmy dokładnie co mogliśmy *rzeczywiście* zrobić, a przede wszystkim to, co mieliśmy zamiar zrobić, jeśli idzie o działania na ziemi i w powietrzu? Czy zawiadomiliśmy, że praktycznie nie posiadamy żadnego lotnictwa bombowego? Czy upieraliśmy się przy fakcie, że możemy zaatakować linię Zygfryda dopiero na trzydziesty dzień i to tylko na froncie ograniczonym do 20 kilometrów i że ten *jedyny* atak, nie będzie mógł być powtórzony przed upływem trzech miesięcy ze względu na brak dostatecznego zaopatrzenia? Z pewnością nie.

Generał Gamelin w swoich pismach oraz zeznaniach przed badawczą komisją parlamentarną w 1947 roku, stwierdził co prawda swoje ,,niedomówienia'' wobec ,,zbyt optymistycznych'' wypowiedzi generałów Georges'a i Vuillemin'a w sprawie armii lądowej i powietrznej, ale te subtelności trudno były uchwytne w przekładzie tłumaczy.

Oto co napisał, jak się wydaje z naiwnością, gen. Gamelin:

,,*W końcu zgodziliśmy się na następujące sformułowanie: w chwili kiedy część sił francuskich będzie gotowa, Francja*

rozpocznie stopniowe czynności ofensywne w stosunku do ograniczonych obiektów. Z chwilą kiedy główny wysiłek niemiecki zostanie skierowany na Polskę, Francja rozpocznie ofensywne działania przeciwko Niemcom większością (avec les gros) *swoich sił. Chcę zwrócić uwagę, że tutaj nie było mowy o całości* (du gros) *sił francuskich, ale o większości* (des gros de nos forces) *naszych sił w przeciwstawieniu do przednich straży, na których ciążył wysiłek wstępnych działań*".

Oh ! Cóż za subtelność wojskowego języka !...

Zresztą, generał Gamelin, dowiedziawszy się, że sojusz polityczny nie został podpisany i że protokół wojskowy nie miał w rzeczywistości żadnego znaczenia i zupełnie nas nie wiązał, uważał się w głębi duszy za zaspokojonego ,,zwłaszcza w sprawie lotnictwa'', gdyż, jak stwierdził, ,,jeśli idzie o siły lądowe, opierałem się na sformułowaniu, które zawsze mogłem logicznie podtrzymać''.

W sumie, mówiąc najoględniej, nasz stosunek do Polaków był bardzo niejasny i pełen świadomej dwuznaczności.

DZIAŁANIA LĄDOWE W STOSUNKU DO OGRANICZONYCH OBIEKTÓW BRAK BOMBARDOWANIA Z POWIETRZA

Nasi alianci uważali, że armia francuska była potężna, wierzyli w nasze odrodzone lotnictwo, a więc z całą pewnością oczekiwali od nas czegoś więcej.

Czyż nie było w osławionym protokóle tego odkrywczego i interesującego zdania, które wyszło spod pióra francuskiego redaktora : ,,Polacy przyjmują gwarancję daną przez generała Gamelin, że wojska francuskie zrobią dla Polski to, co będzie w ich mocy i zapewniają, że ze swej strony zrobią *więcej niż mogą* (te ostatnie słowa podkreślone w tekście).

W rzeczywistości cała udzielona Polsce pomoc ograniczyła się do nieśmiałych działań lądowych w stosunku do ograniczonych obiektów, rozpoczętych 6 września, w trzy dni po mobilizacji, a więc wtedy gdy polskie siły zbrojne od blisko tygodnia walczyły z całością bez mała wojsk niemieckich.

Przyrzeczona pomoc powietrzna nie istniała. Czyż mogło zresztą być inaczej? Nasze lotnictwo bombowe było liczebnie i jakościowo niewystarczające, żeby zagrażać Niemcom, nie można więc zrozumieć znaczenia depeszy n° 10-CABIN wysłanej 4 września przez generała Gamelin do naszego attaché militaire w Warszawie : ,,Proszę zakomunikować ambasadorowi i wykorzystać według jego i pana najlepszej oceny : lotnictwo francuskie i brytyjskie wyruszyło dzisiaj do boju i zatrzymuje przed sobą większą część niemieckich sił lotniczych, około dwóch trzecich według naszego rozpoznania''.

W praktyce lotnictwo niemieckie prawie w całości znajdowało się nad Polską i niszczyło ją. Żadne bombardowanie francuskie czy angielskie nie miało miejsca na terytorium wroga, gdyż oba rządy zadecydowały wstrzymać się od takiej akcji, aby uniknąć reakcji, która mogłaby mieć poważne konsekwencje w okresie koncentracji wojsk. Pierwszy paragraf wojskowego protokułu francusko-polskiego, ten który wydawał się mieć największą wagę dla naszych aliantów, pozostał więc martwą literą. Władze polskie zwracały się szereg razy do dowództwa francuskiego — w okresie od 10 do 16 września, żądając *dokładnych* informacji odnośnie naszych działań. Ich protesty wobec nie wypełnienia zobowiązań francusko-brytyjskich odnośnie akcji powietrznej doprowadziły nawet, w dniu 16 września do złożenia noty premierowi przez ambasadora Polski. Odpowiedzi francuskie pozostają w rzeczywistości wymijające i bez żadnej wartości.

Jako przykład może posłużyć fakt, że straty w samolotach francuskich za cały miesiąc wrzesień są poniżej średniej jeden samolot dziennie.

Jeśli idzie o działania lądowe to są one powolne, bez dynamizmu, na wąskich odcinkach, a więc bez rezultatu: starcia w dniach 6, 7 i 8 września, a dopiero 9 września początek większej ofensywy, teoretycznie prowadzonej przez pięć dywizji. Byliśmy bardzo daleko od czterdziestu dywizji, którymi chciano olśnić Polaków w czasie rozmów wojskowych! 13 wieczór oddziały — bez żadnego poważnego odporu nieprzyjaciela — posunęły się o maksimum 8 kilometrów. Potem nadszedł nagle rozkaz zatrzymania się.

„TRZEBA MYŚLEĆ O JUTRZE"

Co się stało?

Już 9 września, w dniu w którym rozpoczęła się nasza wstydliwa ofensywa, generał Gamelin napisał: „Trzeba myśleć o jutrze. Trzeba już teraz wziąć pod uwagę, że armia polska nie może się ponownie zorganizować...".

12 września generał spercyzował: *„Ogólna sytuacja, wynikająca z wydarzeń wojskowych, jakie miały miejsce w Polsce nie nakłada na nas więcej konieczności zapewnienia sobie natychmiast bazy dla ewentualnego ataku na linię Zygfryda. Ogólne warunki oraz wojskowe oszacowania przemawiają za tym, abyśmy szli naprzód jedynie tam, gdzie to jest potrzebne dla poprawienia, z* obronnego *punktu widzenia, zdobytych przez nas pozycji"*.

Tak więc cała akcja ofensywna jest odłożona *sine die;* Polska jest pozostawiona własnemu losowi.

Z okazji tej dwudziestoletniej rocznicy naszego wejścia do wojny, pochylmy głowy przed naszymi pierwszymi poległymi

na polu chwały. Z sentymentalnego punktu widzenia możemy uważać, że było ich zbyt wielu, ale z punktu widzenia wojskowego ich liczba ilustruje ubóstwo naszej pomocy Polsce. Straty wynosiły około 1.500 szeregowych i 75 oficerów (zabitych i rannych) na ogólną ilość ponad półtoramiliona walczących, a więc 0,1%...

Nasi wodzowie wojskowi czy cywilni z 1939 roku przyznali później, że Polacy oskarżyli nas, że nie przyszliśmy im z pomocą, ale jednocześnie stwierdzili, że w rzeczywistości nie mogliśmy nic więcej zrobić.

To nie jest ścisłe.

CO BY BYŁO GDYBY...?

Nie ,,złamano by'' armii francuskiej angażując ją bardziej po męsku i bardziej śmiało i prowadząc odważnie rozpoczęte działania jeszcze przez dwa tygodnie. Dnia 8 września, a więc w przeddzień decyzji wstrzymania naszych działań w Lotaryngii, generał Faury, nasz przedstawiciel w Polsce, oceniał, że Polacy przegrali bitwę o granice, ale że ,,do tej pory żadne z szybkich uderzeń, które mogłoby być śmiertelne, nie zostało zrealizowane'' i ,,że nie ma żadnego powodu do desperacji''.

Co by się stało gdyby Niemcy *rzeczywiście* czuli się zagrożeni na drugim froncie we Francji?

Nawet gdyby armia francuska kontynuując z samozaparciem swój wysiłek nie osiągnęła celu, to jest nie udaremniła zgniecenia Polski, może chciałaby pomścić to niepowodzenie, może byłaby bardziej gorliwa w maju 1940? A tymczasem, tak jak chciał Hitler, pozwoliła uśpić swą czujność w tej wojnie, która nawet nie miała odwagi nazywać się wojną. Wątpiono czy rzeczywiście istnieje, szukano możliwości jakiegoś ,,ułożenia się''.

9 września, kiedy w głowie naszego głównodowodzącego powstała już myśl zatrzymania naszej ofensywy w Lotaryngii, armie niemieckie w dalszym ciągu niszczyły Polskę. Wychodząc z Prus Wschodnich i z okolic Wrocławia miały właśnie połączyć się w samym sercu kraju. Pancerne kolumny wroga, poprzedzane i przy współudziale lotnictwa panującego wszechwładnie w powietrzu, dognały polskie dywizje i okrążyły je w gigantycznych kleszczach, które zamknęły się 18, na południe od Brześcia Litewskiego. 28 września, w chwili kiedy walki na froncie lotaryńskim praktycznie ustały od piętnastu dni, Warszawa poddała się po bohaterskim oblężeniu. W zaciętej obronie, aż do całkowitego rozbicia, brały udział resztki armii i ludność cywilna.

Od tej chwili armia francuska znalazła się w obliczu armii niemieckiej *sama* z minimalnym dodatkiem czterech dywizji brytyjskich. Armia ta pogrąża się w ,,drôle de guerre'' nie my-

śląc o tym jak straszne będzie przebudzenie w osiem miesięcy później, 10 maja 1940, ani o tym, że podzieli los Polski bez nikogo, albo prawie bez nikogo, kto by z kolei przyszedł jej z pomocą.

Colonel Pierre LYET

(*Tłumaczyła Zofia HERTZ*



DWIE DEKLARACJE
WOJSKOWYCH DOWÓDCÓW NIEMIECKICH

Bierność sił alianckich na froncie zachodnim we wrześniu 1939 była niespodzianką dla generalnego sztabu niemieckiego. Oto dwa oświadczenia złożone na procesie w Norymberdze i zacytowane przez Paul Reynaud w jego książce: „Au coeur de la mêlée (1939-1945)".

Generał JODL: „Uniknęliśmy katastrofy w roku 1939 tylko dlatego, że sto dziesięć dywizji francuskich i angielskich pozostawało w bezczynności wobec naszych dwudziestu pięciu dywizji na zachodzie".

Marszałek KEITEL: „Byliśmy zdziwieni widząc, że Francja nie atakuje Niemiec w czasie kampanii w Polsce. Taki atak natknąłby się na zaporę złożoną jedynie z dwudziestu pięciu dywizji, wliczając już w to rezerwy, i spotkałby się ze słabym zaledwie oporem z naszej strony.

„Dziwiliśmy się ogromnie, że w zonie objętej liniami Maginot'a i Zygfryda obserwujemy jedynie drobne potyczki.

„Nie mogliśmy zrozumieć, że Francja nie skorzystała z tej jedynej okazji, co zresztą utwierdziło nas w przekonaniu, że zachodnie mocarstwa nie chciały prowadzić z nami wojny".

Książka gen. Rómmla

Pamiętniki wojenne ogłaszane przez ludzi, którzy odegrali w tej wojnie pewną rolę, mają tę wspólną cechę (zmniejszającą ich wartość historyczną), że autorzy ich, zależnie od swego charakteru, w mniejszym lub większym stopniu, starają się przedstawić siebie i swoją działalność w przesadnie jasnych kolorach, zbyt często kosztem innych. Leży to widocznie w ludzkiej naturze i można się do tego odnosić z pobłażaniem. Gorzej jest jednak, gdy dążenie autora do wywyższenia własnej

osoby i sławienia własnych czynów bierze górę nad rzetelnością i uczciwością w przedstawieniu przebiegu wydarzeń.

Takim właśnie pamiętnikiem jest książka gen. Rómmla (1). Cel w którym ją napisał jest aż nadto przejrzysty. Usiłuje on wmówić w czytelnika jak wielkie są jego zasługi i jak wielkie winy innych, by za tą zasłoną ukryć własne grzechy. By cel ten osiągnąć autor stosuje metody i chwyty, które muszą razić nie tylko historyka, ale każdego komu etyka nie jest obojętna.

Gen. Rómmel, wyładowując swe animozje osobiste i polityczne, szafuje nieuzasadnionymi zarzutami i oskarżeniami z taką pasją, że książka jego przybiera nieraz ton paszkwilowy, który budzi niesmak i napawa wstydem za autora. Dlatego, mimo zaproszenia ,,Kultury'', długo zastanawiałem się, czy mam w ogóle zabierać głos w tej sprawie.

Nie mogę jednak pominąć milczeniem wspomnień jednego z dowódców armii w kampanii wrześniowej, ponieważ niejednokrotnie, w zasadniczych faktach, zniekształcają one historię i przedstawiają w fałszywym świetle wydarzenia, które z racji mej funkcji znałem dokładnie, a w niektórych brałem bezpośredni udział.

W wielu wypadkach gen. Rómmel wykorzystuje w widoczny sposób fakt, że naczelny wódz, który mógłby w najbardziej autorytatywny sposób dać dowód prawdzie, nie żyje. W związku z tym, wymyśla fakty i przypisuje naczelnemu wodzowi opinie zamiary i decyzje, których nie miał, przedstawiając arbitralnie, w fałszywy sposób jego intencje, tak by potwierdzały jego, generała Rómmla, wywody. Opierając się jedynie na fragmentarycznej znajomości położenia, nie znając, względnie nie chcąc znać sytuacji ogólnej, przesłanek i warunków na podstawie których naczelny wódz pobierał decyzje, wypowiada krytyki i wygłasza arbitralne sądy o jego działalności.

Ponieważ w tej kampanii byłem najbliższym współpracownikiem naczelnego wodza i znałem wskutek tego jego plany i zamierzenia oraz motywy na jakich je opierał, nie mogę w imię prawdy historycznej pozwolić, by w dowolny sposób zniekształcano historię.

Nie mogę wreszcie pominąć milczeniem ciężkich i nieuzasadnionych oskarżeń i inwektyw, które gen. Rómmel stawia oficerom sztabu naczelnego wodza, a w szczególności mnie.

Gen. Rómmel przypisuje swej książce charakter dokumentu historycznego. We wstępie do niej pisze, że wspomnienia swe oparł na dokumentach armii ,,Łódź'' i ,,Warszawa'', które znajdują się w kraju. ,,Są to'' — jak pisze — ,,bodajże jedyne dokumenty z kampanii wrześniowej, które się zacho-

(1) Juliusz Rómmel, generał dywizji, *Za Honor i Ojczyznę*, wspomnienia dowódcy armii ,,Łódź'' i ,,Warszawa'', Państwowe wydawnictwo ,,Iskry'', Warszawa 1958 r. Stron 419, szkiców 14.

wały''. W ten sposób gen. Rómmel chce nadać swej książce charakter niemal rewelacji historycznej, dzieła źródłowego, jakiego dotąd jeszcze nie było, a w którym on, gen. Rómmel, odsłania istotne przyczyny klęski wrześniowej.

Spóźnił się nieco gen. Rómmel ze swymi ,,rewelacjami''; kampania wrześniowa nie jest już dzisiaj nieznaną dziedziną. Na emigracji znajduje się bardzo wiele związanych z nią dokumentów i na ich podstawie, oraz na setkach relacji uczestników kampanii wszystkich stopni, zostało opracowane naukową metodą podstawowe dzieło: ,,Polskie Siły Zbrojne w Drugiej Wojnie Światowej'', Tom I ,,Kampania Wrześniowa'', część I i II-ga, wydane przez Instytut Historyczny Gen. Sikorskiego w Londynie, w 1951 i 1954 roku.

Książka gen. Rómmla zawiera opis działań jego armii oraz szereg dokumentów armii ,,Łódź'' i ,,Warszawa'' wydobytych z ukrycia po wojnie. Niektóre z nich mogłyby przyczynić się może do bardziej szczegółowego naświetlenia pracy tych armii, pod warunkiem, że są cytowane ściśle, bez zniekształceń i w całości, bez pomijania posiadanych dokumentów, czy ich części niewygodnych dla autora.

Jednakowoż, tak w przedstawianiu faktów jak i wykorzystaniu dokumentów, gen. Rómmel stosuje swoistą metodę naginania rzeczywistości do swych pragnień i twierdzeń. Nieraz pomija milczeniem fakty i dokumenty, które przeczą jego tezom. W szeregu cytowanych dokumentów opuszcza rozmyślnie słowa, czy zdania dla niego niedogodne. W juzogramach niektórych rozmów z Naczelnym Dowództwem, w miejscach szczególnie ważnych i istotnych, przekręca nawet zupełnie zdania i zmienia ich treść, dostosowując ją do swoich potrzeb. Można to stwierdzić w wypadkach, gdy duplikaty cytowanych przez niego dokumentów znajdują się w archiwum Instytutu Historycznego w Londynie. Zastosowanie tego rodzaju metody dyskwalifikuje autora i nie można mieć pewności, czy podane cytaty dokumentów, które znajdują się tylko w Warszawie, są zgodne z tekstem oryginalnym.

Wskutek tego trzeba je traktować z dużą rezerwą, zwłaszcza tam, gdzie dotyczą spraw na których ,,odpowiednim'' przedstawieniu gen. Rómmlowi szczególnie zależy oraz tam, gdzie ich treść nie pokrywa się z relacjami świadków.

Gen. Rómmel pisze, że z pracą Komisji Historycznej zapoznał się po napisaniu swych wspomnień i zaczerpniętymi stamtąd wiadomościami uzupełnił nieznaną mu wówczas sytuację ogólną. Jednak tych ,,uzupełnień'' nie widać w książce ani odnośnie sytuacji ogólnej, ani szczegółowej. Swoim zwyczajem przemilcza to, co mu jest w dziele o Kampanii Wrześniowej niewygodne, przekręca lub fałszywie naświetla to, co przeczy jego opowiadaniom. Nic w tym dziwnego. Charakter jego książki nie pozwala na inne traktowanie prawdy.

Dzieło Komisji Historycznej, w częściach dotąd wyda-

nych, omawia większość zagadnień z okresu do dn. 8 września 1939 r., które gen. Rómmel porusza w swych pamiętnikach. Pozwala ono każdemu zorientować się w jakim stopniu wspomnienia jego mają charakter ,,dokumentu historycznego'', a w jakim są zniekształceniem prawdy w celu przerzucenia na innych własnej winy, a przedstawienia siebie jako rycerza bez skazy, energicznego i nieomylnego wodza, ofiary, która bodajże więcej niż z nieprzyjacielem, musiała walczyć z ,,bezmyślnością, nieuctwem lub niedołęstwem'' innych.

W mym krótkim artykule nie mam zamiaru dyskutować, czy polemizować z gen. Rómmlem na temat jego opinii strategicznych lub pociągnięć operacyjnych, z których niejedne były — albo zupełnym absurdem, jak np. rada, którą dawał marszałkowi Śmigłemu w lipcu 1939 r., by Polska rozpoczęła wojnę z Niemcami i uderzyła na Wrocław — albo wielkim błędem, jak wyprowadzenie prawie całej swej armii w przeddzień wybuchu wojny z przygotowanej pozycji obronnej (na Warcie i Widawce) na dalekie przedpole, pod uderzenie niemieckie; lub zupełnie nierealna akcja ofensywna na wschodniej stronie Wisły w kierunku na Węgrów, nakazana przez gen. Rómmla jako dowódcę armii ,,Warszawa'' w dniu 12-ym września, w niemożliwym do osiągnięcia celu ,,rozbicia nieprzyjaciela i zepchnięcia go za Bug''. Akcja ta nie mając najmniejszych szans powodzenia narażała tylko wojska na rozbicie, a miała być prowadzona wówczas, gdy najpilniejszą rzeczą było pomóc gen. Kutrzebie w bitwie na zachodniej stronie Wisły.

Nie będę również omawiał całej długiej sprawy załamania się obrony północnego skrzydła armii ,,Łódź'' nad Wartą, za co zrzuca pełną odpowiedzialność na gen. Kutrzebę i naczelne dowództwo, a w której na poparcie swych zarzutów fałszywie przedstawia swe meldunki, uciekając się nawet do zniekształcania oryginalnych dokumentów.

Niemożliwa i bezcelowa jest poważna dyskusja, gdy jedna ze stron używa tego rodzaju metod. Nie sposób jest prostować wszystkich zniekształceń prawdy i odpowiadać na nieuzasadnione zarzuty od jakich roi się we wspomnieniach gen. Rómmla. Wymagałoby to napisania całego tomu, może równie obszernego jak jego książka.

Wskutek tego uwagi moje ograniczę do omówienia jednego tylko, ale szczególnie ważnego i brzemiennego w skutki okresu — opuszczenia przez gen. Rómmla swej armii, przyjazdu do Warszawy i objęcia dowództwa grupy armii ,,Warszawa''.

Ten trzydniowy okres działalności wojennej gen. Rómmla (6-8-my września) rzuca jaskrawe światło na niego jako żołnierza i dowódcę, a sposób w jaki przedstawia wypadki i swą działalność w tym czasie charakteryzuje najlepiej wartość historyczną jego pamiętników.

Tak się złożyło, że w tym właśnie najbardziej dla gen. Rómmla drażliwym okresie wypadło mi zetknąć się z nim bezpośrednio. Po wyjeździe marszałka Śmigłego do Brześcia (2), pozostałem w Warszawie i występowałem w imieniu naczelnego wodza, gdy gen. Rómmel opuściwszy swą armię przybył w dniu 8.IX. do stolicy.

◆

Gdy rozpoczął się odwrót armii ,,Łódź'' znad Warty i Widawki, Niemcy przeprowadzili około 6-ej rano 6. IX nalot bombowy na sztab armii ,,Łódź'' kwaterujący w Julianowie pod Łodzią. Sztab kwaterował w tym samym wygodnie urządzonym miejscu od marca 1939 roku i mimo rozkazów naczelnego dowództwa nie przeniósł się z chwilą wybuchu wojny na przygotowane uprzednio miejsce postoju w Pabianicach. Było to karygodną lekkomyślnością. W Łodzi i okolicy mieszkało dużo Niemców i nie mogło ulegać wątpliwości, że tak długie przebywanie dowództwa armii w tym samym miejscu nie ujdzie uwagi wywiadu niemieckiego.

Po nalocie dowództwo armii wyjechało od razu, aż do Mszczonowa (100 km. na wschód od linii frontu).

Z opisu gen. Rómmla wynika że:

— Wyjazd musiał nastąpić bezpośrednio po nalocie, gdyż, jak gen. Rómmel pisze, już około godz. 10-ej był w Mszczonowie (odległym około 100 km., drogą przez Łowicz-Skierniewice). Wprawdzie gen. Rómmel twierdzi, że wyjechał dopiero około 9.20, ale w warunkach wrześniowych poruszanie się z wyścigową szybkością 100 km na 40 minut drogami zatłoczonymi przez uchodźców, jest zbyt fantastyczne.

— Julianów opuszczono w gwałtownym pośpiechu, mimo że *dowództwo armii nie było zagrożone przez nieprzyjaciela na ziemi.*

— Podwładni dowódcy nie zostali zawiadomieni ani o wyjeździe dowództwa z Julianowa, ani o jego nowym miejscu postoju.

— Gen. Rómmel opuścił Julianów od razu z całym, dosłownie całym swym sztabem. Na miejscu pozostawiono trzech żandarmów (!), którzy zresztą szybko znikli.

Tak wyglądała ,,zmiana miejsca postoju'' dowództwa armii ,,Łódź''.

Z chwilą ucieczki z Julianowa, to znaczy od rana 6-go września, gen. Rómmel przestał swą armią dowodzić. Później, po przybyciu do Warszawy twierdził, że stracił łączność

(2) Naczelny wódz wraz z kwaterą główna przeniósł się w nocy z 6-go na 7-go września z Warszawy do Brześcia. W Warszawie pozostałem czasowo z kilkoma oficerami, jako tylny rzut sztabu dla zapewnienia ciągłości łączności z naczelnym dowództwem do czasu zainstalowania się kwatery głównej na nowym miejscu postoju. W Brześciu zastępował mnie przy naczelnym wodzu płk. dypl. Jaklicz.

ze swą armią, gdyż dowództwo zostało rozbite przez bombardowanie lotnicze i odcięte od swych wojsk przez pancerne oddziały nieprzyjaciela. Z książki jego jednak wynika, że jest to niezgodne z prawdą. Po pierwsze, dowództwo choć poniosło pewne straty w czasie krótkiego bombardowania, jednak „rozbite" nie zostało. (Dwa dni później znalazło się w komplecie w Warszawie). Po drugie: *dowództwo armii nie zostało wówczas odcięte od swych wojsk przez nieprzyjaciela.* Utrata łączności z dywizjami nastąpiła na skutek gwałtownego wyjazdu z Julianowa na wschód (bez uprzedzenia podwładnych) do Mszczonowa i dalej, na taką odległość od walczących wojsk, z której utrzymanie z nimi łączności było w warunkach ówczesnych niemożliwe.

Co gorsze, gen. Rómmel zdawał sobie z tego sprawę gdyż, jak pisze, myślał o zbliżeniu się do swych dywizji i wykonaniu „skoku wstecz w kierunku Głowna". Jednak nie zdobył się na nic w tej sprawie. Wprost przeciwnie. Chcąc usunąć się spod bombardowania lotniczego w Mszczonowie, oddalił się jeszcze bardziej od swych wojsk, wyjeżdżając wieczorem dnia 6 września do lasu w Grzegorzewicach (na wschód od Mszczonowa). W ten sposób utracił łączność z Warszawą, jedyną jaką jeszcze miał w Mszczonowie.



Gen. Rómmel opiera swą tezę o przyczynach opuszczenia armii na twierdzeniu, że w dniu 6 września, w Mszczonowie otrzymał telefonicznie wiadomość z naczelnego dowództwa, że marszałek Śmigły wzywa go do Warszawy, ponieważ ma dla niego bardzo ważne zadanie. Twierdzenie to jest niezgodne z prawdą. *Naczelny wódz generała Rómmla do Warszawy nie wzywał,* ani żadnego specjalnego „bardzo ważnego zadania" dla niego nie miał poza tym, które w ogólnym rozkazie do odwrotu za Wisłę otrzymali wszyscy dowódcy armii walczących w tym rejonie. Nigdy ani mnie, ani memu zastępcy, naczelny wódz słowem nie wspomniał o wzywaniu gen. Rómmla do Warszawy, ani o specjalnym „bardzo ważnym zadaniu" dla niego. Wyjeżdżając w nocy z 6-go na 7-go września z Warszawy do Brześcia, nie zostawił mi żadnych specjalnych rozkazów ani żadnego listu dla generała Rómmla. O rzekomym wezwaniu go do Warszawy dowiaduję się dopiero teraz.

Gen. Rómmel twierdzi, że wezwanie to przekazał mu telefonicznie major Eljasiewicz z naczelnego dowództwa, który równocześnie poinformował go, że z rozkazami wyjechał do niego płk. Suzin ze sztabu naczelnego wodza. Tymczasem gdy oficer ten przywiózł mu tylko ogólny rozkaz operacyjny o odwrocie za Wisłę, nie przekazując mu żadnego pisemnego ani ustnego rozkazu przyjazdu do Warszawy, gen. Rómmel, jak wynika z opisanej przez niego rozmowy, nawet go o to nie pytał. Jakże więc było naprawdę z tym wezwaniem?

Gdyby naczelny wódz rzeczywiście z pola walki wzywał do Warszawy dowódcę armii, toczącej ciężką bitwę, to ponad wszelką wątpliwość, byłby mu przekazał rozkaz pisemny lub juzem, podpisany przez siebie lub ewentualnie przeze mnie; w żadnym jednak wypadku nie zlecałby tego rozkazu, mogącego mieć brzemienne następstwa, ustnie-telefonicznie, przez nieznanego mi ze sztabu mjra Eljasiewicza.

Nie koniec na tym. Gen. Rómmel pisze dalej, że otrzymawszy 6-go września, w Mszczonowie, rozkaz przyjazdu do Warszawy, wysłał do naczelnego wodza swego adiutanta, mjra Strużyńskiego z pismem, że nie przybędzie tego dnia, dopiero następnego, gdyż chce przedtem nawiązać łączność ze swą armią. Jak zamierzał to zrobić, skoro nie mając łączności ze swymi wojskami już w Mszczonowie, oddala się wieczorem tego samego dnia jeszcze bardziej od nich, wyjeżdżając na wschód do lasu w Grzegorzewicach, gdzie zupełnie odcięty od świata, pozostaje przez cały dzień 7. IX?

Sytuację w jakiej się dowództwo armii znalazło w tym lesie, najlepiej charakteryzuje meldunek do naczelnego dowództwa, zredagowany tegoż dnia 7.IX, w którym gen. Rómmel m.in. pisze: (3) ,,Dowództwo moje zostało wczoraj o godz. 5.30 w Łodzi (tak dokładnie) zbombardowane, (że zostało ono w swojej pracy całkowicie sparaliżowane)''. Po ponownym bombardowaniu w Mszczonowie ,,łączność została ponownie zerwana a dowództwo — pozbawione wszelkiej możności pracy — odskoczyło w bok do lasu na północ od Grzegorzewic... nie mam żadnego kompletnego obrazu o nacisku nieprzyjaciela... nie mogę przewidzieć, jaka część armii dojdzie do Wisły i zdoła się przeprawić... pozostawiam kolejność odchodzenia bardziej przypadkowi, albowiem w obecnym stanie nie mam już możności wpływania na tok wydarzeń''.

Mimo takiego stanu rzeczy — chwali się gen. Rómmel — sztab pracował cały dzień. Jako dowód tej ,,pracy'' przytacza (str. 145) swój rozkaz z dn. 7. IX zatytułowany: ,,Potwierdzenie Rozkazów wydanych ustnie na odprawach 6-go i 7-go IX''. Na jakich odprawach i komu wydawał gen. Rómmel te rozkazy, skoro żadnego z dowódców wielkich jednostek nie widział od rana 6-go?

Mało tego. Nie wiedząc nic co się dookoła dzieje i ,,nie mogąc przewidzieć jaka część armii dojdzie do Wisły i zdoła się przeprawić'', w rozkazie tym gen. Rómmel reguluje szczegółowo gdzie dywizje walczące pod Łodzią mają przechodzić na prawy brzeg odległej o 150 km Wisły i jakie odcinki obsadzać na jej prawym brzegu.

Jak pogodzić te ,,rozkazy'' z poprzednio cytowanymi słowami meldunku, pisanego w tym samym dniu? Po co je

(3) Cytuję z ,,Kampanii Wrześniowej'' Cz. II, str .566. W cytacie tegoż meldunku, podanym w książce gen. Rómmla na str. 140, opuszczone są w sposób znamienny słowa, które ująłem w nawiasy.

pisano, skoro wiedziano, że są zupełną fikcją? Przeznaczone były chyba dla potomności, żeby nimi zaświadczyć o ,,intensywnej pracy'' dowództwa armii nawet w najcięższych chwilach. Nie przystoi zarzucać innym nieuctwa i dyletantyzmu, krytykować i pouczać swych kolegów, dowódców armii, gdy samemu postępuje się w ten sposób.

W międzyczasie, gdy sztab zaszyty w lesie, z dala od frontu tracił czas na pisanie fikcyjnych rozkazów, Niemcy pojawili się pod Rawą Mazowiecką i Skierniewicami, między dowództwem armii i jego wojskami. W ten sposób, siedząc bezczynnie w lesie grzegorzewickim, *gen. Rómmel dał się nieprzyjacielowi odciąć od swych wojsk.*

W tych warunkach nie można już było dłużej zwlekać z decyzją, co dalej robić. Gdyby istotnie gen. Rómmel miał wezwanie do naczelnego wodza, to w tej sytuacji pozostawałaby mu jedyna decyzja: zamiast bezczynnie siedzieć w lesie grzegorzewickim, bez żadnej nadziei na nawiązanie łączności ze swą armią — jak najszybciej zameldować się u naczelnego wodza. Musiałby bowiem zdawać sobie sprawę, że jeżeli marszałek już 6-go września odrywał dowódcę armii od jego wojsk, będących w ciężkich walkach odwrotowych to musiałby mieć do tego niezmiernie ważne i naglące powody.

Tymczasem gen. Rómmel zwleka z zameldowaniem się u naczelnego wodza i postanawia spędzić noc w folwarku Łoś (20 km na wschód od Grzegorzewic), gdzie ,,przygotowano... (mu) pokój i porządne łóżko z czystą bielizną''. Ale spać nie mógł, gdyż — jak pisze — męczyła go troska o los kraju, rozważał plan dalszego prowadzenia wojny i zastanawiał się nad działaniem Francji. Dziwne, że myślał tylko o tych wielkich zagadnieniach a nie o losie swojej opuszczonej armii. Chciał również — jak pisze — jak najszybciej dostać się do Warszawy.

Dopiero na skutek alarmów o pojawieniu się Niemców w okolicznych miejscowościach, zdecydował się opuścić folwark Łoś i wraz ze swym sztabem wyjechał w nocy przez Warszawę do Kołbieli, na wschodniej stronie Wisły. Po drodze myślał ciągle o czekającym go zadaniu (które zresztą sam sobie wymyślił). ,,Przypuszczałem — pisze — że czeka mnie dowodzenie trzema armiami: ,,Łódź'', ,,Poznań'' i ,,Pomorze''... Chciałem również jak najprędzej zobaczyć się z marszałkiem Śmigłym, by od niego dowiedzieć się czegoś więcej w tej sprawie''.

•

O godzinie 5-ej rano, dnia 8. IX. przyjechał gen. Rómmel do Warszawy i udał się do dowództwa obrony Warszawy. Gen. Czumy nie zastał, a w jego sztabie — jak pisze — nie umiano go poinformować, czy marszałek Śmigły jest w Warszawie i gdzie się znajduje. ,,Ponieważ czas naglił poje-

chałem... do Kołbieli" — podaje gen. Rómmel na str. 148. Trudno dopatrzyć się logiki w tych opowiadaniach.

W czasie całej swojej peregrynacji od Mszczonowa do Warszawy, generał — jak pisze — ciągle chciał się jak najprędzej zobaczyć z naczelnym wodzem. W rzeczywistości jednak widzenie to odwlekał ustawicznie tak, że w Warszawie znalazł się dopiero 8-go rano. Był już chyba najwyższy czas, żeby zameldować się u marszałka. Tymczasem, nie otrzymawszy rzekomo w dowództwie obrony Warszawy wiadomości, gdzie się naczelny wódz znajduje, gen. Rómmel nie robi żadnych, nawet najmniejszych starań, żeby go odszukać, natomiast od razu, niewiadomo po co, śpieszy do Kołbieli, 35 km. na południowy wschód od Warszawy. Przecież dowództwo obrony Warszawy miało stałe połączenie telefoniczne z kwaterą naczelnego wodza na Rakowieckiej. Wystarczyło wziąć słuchawkę telefoniczną do ręki żeby dowiedzieć się gdzie jest naczelny wódz. Wielu oficerów przyjeżdżało do sztabu spoza Warszawy i wszyscy odnajdywali od razu kwaterę naczelnego dowództwa, tylko gen. Rómmel nie umiał tego zrobić. Jak inaczej można to sobie wytłumaczyć, jak tylko tym, że w rzeczywistości, wbrew temu co pisze, wcale się do naczelnego wodza nie śpieszył, gdyż wiedział, że marszałek go do siebie nie wzywał, i w poczuciu swej winy obawiał się stanąć przed naczelnym wodzem w Warszawie, gdy jego armia walczyła pod Łodzią. Można by nawet przypuścić, że chciał przeczekać aż naczelny wódz ze sztabem opuści Warszawę i spotkanie z nim nie dojdzie do skutku.

W Kołbieli ,,około godziny 7-mej rano zostałem wezwany do telefonu" — pisze gen. Rómmel — ,,...Dzwonił gen. Stachiewicz i prosił abym przyjechał do Warszawy, ponieważ ma dla mnie rozkazy naczelnego wodza". Przykro mi, ale twierdzenie to jest niezgodne z prawdą. Do gen. Rómmla nie telefonowałem, a o żadnych rozkazach dla niego nie mogłem mówić, gdyż ich nie miałem.

Wkrótce po godz. 7-ej, gen. Rómmel wrócił z Kołbieli do Warszawy. Nie wiem co go skłoniło do powrotu. Zajechał wówczas — jak pisze — powtórnie do dowództwa obrony Warszawy, gdzie tym razem (!) poinformowano go, że sztab naczelnego wodza mieści się przy ulicy Rakowieckiej. Dziwne, że 2 godziny przedtem nie umiano tego zrobić!

O tej drugiej wizycie gen. Rómmla w dowództwie obrony Warszawy pisze w swej relacji pułkownik dypl. Tomaszewski, szef sztabu dowództwa (*Kampania Wrześniowa*, Cz. II, str. 567, 8): ,,...w godzinach porannych drzwi mego gabinetu otwierają się i zjawia się we własnej osobie, generał Rómmel... zasypał mnie różnymi pytaniami, w wyniku których *ze zdumieniem dowiedział się, że szef sztabu głównego jest jeszcze Warszawie,* wobec czego połączył się telefonicznie i po krótkiej rozmowie z gen. Stachiewiczem, odjechał na Rakowiecką"

(podkreślenie moje). Może by gen. Rómmel wytłumaczył jak to było możliwe, że o godzinie 7-ej — jak twierdzi — rozmawiał ze mną telefonicznie z Kołbieli, a wkrótce potem był zdumiony, że jestem jeszcze w Warszawie!

,,Około godz. 11-ej zobaczyłem się z gen. Stachiewiczem'' — pisze gen. Rómmel. ,,Był bardzo zdenerwowany, blady, niedomagał i miał przy sobie jakąś buteleczkę, do której spluwał'' (str. 148). Gratuluję gen. Rómmlowi pomysłu zrodzonego w jego chorobliwej wyobraźni. Takiej buteleczki nigdy, oczywiście, nie miałem. Bardzo się musiał wysilać Pan generał by mnie na swój sposób, odpowiednio zaprezentować czytelnikowi. Niesmaczny ten pomysł nie odbiega zresztą wiele, swym poziomem, od innych jego uwag dotyczących mojej osoby. Ale to drobiazg. Gorsze są inne urojenia.

Gen. Rómmel pisze, że w sztabie doręczono mu następujący osobisty list — rozkaz marszałka Śmigłego (str. 149): ,,Data 8. IX 1939. Kochany Panie Generale! — Wiem o przejściach Pana. Biją nas ogromną przewagą, przede wszystkim techniczną. Jednak bić się musimy, by jak najdłużej przeciągnąć. Innej rady nie ma. Wojna wkrótce będzie się decydowała na zachodnim froncie i ja wierzę głęboko, że zakończy się zwycięsko. Panie Generale. Pan obejmie dowództwo Warszawy, w której trzeba się bronić, jak długo starczy amunicji i żywności, aby jak najwięcej sił nieprzyjaciela ściągnąć pod Warszawę. Ufam Panu Generałowi, że Pan dobrze wypełni ten historyczny obowiązek. Bronić się na skraju miasta, naokoło, od zachodu i od wschodu. Ściskam dłoń. Śmigły-Rydz. P.S. Pułkownikowi Mareckiemu daję instrukcje, jakie oddziały powinny się zamknąć w Warszawie. Gen. Stachiewicz Warszawę opuści udając się do mnie'' (4).

,,Ten list-rozkaz — pisze dalej gen. Rómmel — ...datowany jest 8. IX, pisany prawdopodobnie w Brześciu — bo w post scriptum listu wspomina się, że ,,gen. Stachiewicz opuści Warszawę udając się do mnie'' i że płk. Marecki otrzymał instrukcje, jakie oddziały powinny się ,,zamknąć'' w Warszawie''.

Jednak data listu 8-go, jest zbyt późna dla gen. Rómmla i nie odpowiada jego twierdzeniom, że naczelny wódz miał dla niego ważne rozkazy już od 6. IX i dlatego wzywał go do Warszawy. Ponieważ całą swą tezę o opuszczeniu armii i wyjeździe do Warszawy opiera na tym wezwaniu, stara się teraz przekonać czytelnika, że list marszałka był napisany wcześniej niż na to wskazuje jego data. Wobec tego pisze: ,,choć wspomniany list Śmigłego do mnie był datowany 8 IX

(4) Oryginał tego listu znajduje się — jak zaznacza gen. Rómmel — w jego prywatnych zbiorach. Ogólna treść jego pokrywa się z relacją płk. Jaklicza oraz jednego z oficerów sztabu, będącego wówczas w Warszawie. Nie można jednak stwierdzić czy jest on zacytowany dosłownie, bez żadnych zmian i dodatków.

to jednak przypuszczam, że został napisany przez marszałka 7.IX. po ostatniej rozmowie juzowej ze Stachiewiczem, o godz. 21-ej;... w rozmowie tej marszałek kładł nacisk na obronę Warszawy" (str. 164).

W rzeczywistości: 1. — żadnego listu naczelnego wodza, a więc i tego, o którym gen. Rómmel pisze, nie doręczono mi w sztabie. Nigdy go w ogóle nie widziałem i w sztabie w Warszawie wcale go nie było (5).

2. — list ten mógł być napisany w Brześciu najwcześniej w godzinach wieczornych dnia 8-go, gdyż ppłk Marecki, o którym jest wzmianka w postscriptum, wyleciał z Warszawy do Brześcia dopiero około godziny 14-ej. Przez tego oficera przesłałem do naczelnego wodza meldunek, w którym między innymi, przedstawiłem sprawę gen. Rómmla. Nawet jeżeliby marszałek napisał i wysłał swój list zaraz po otrzymaniu tego meldunku, to biorąc pod uwagę trudności w ruchu kurierów po drogach, mógł on dojść do Warszawy nie prędzej jak w nocy, z 8-go na 9-go i to już po moim wyjeździe, po północy, do Brześcia. Do tego bowiem czasu żaden kurier z Brześcia do Warszawy nie przybył. Jak więc może gen. Rómmel twierdzić, że list ten wręczono mu w sztabie 8-go września przedpołudniem (6).

W dalszym ciągu gen. Rómmel pisze, że po doręczeniu mu tego listu, na wstępie rozmowy, przekazałem mu jeszcze dodatkowy ustny rozkaz marszałka Śmigłego wyznaczający go na dowódcę grupy armii.

Wbrew temu twierdzeniu, podany mu wówczas przeze mnie ustny rozkaz nie był rozkazem marszałka Śmigłego i wcale mu go w ten sposób nie przedstawiałem. Dowództwo obrony rejonu Warszawy powierzyłem generałowi Rómmlowi ja, z własnej inicjatywy. Bowiem, na podstawie znanych mi intencji marszałka, uważałem szybkie stworzenie takiego dowództwa, ze względów operacyjnych, za konieczne, a nie mając łączności z Brześciem nie mogłem się uprzednio z moim przełożonym porozumieć. O tej mojej decyzji m.in. zameldowałem marszałkowi właśnie przez ppłk. Mareckiego.

Tak wyglądają fantazje gen. Rómmla na temat listu i ustnego rozkazu marszałka czekającego nań w Warszawie, co miało być dowodem jak ważne były powody rzekomego wezwania go do Warszawy.

---

(5) Gen. Rómmel zarzuca mi, że w mojej relacji cytowanej w „Kampanii Wrześniowej" neguję istnienie listu marszałka do niego. Jest to niezgodne z prawdą. Istnienia listu marszałka nigdy nie negowałem. W relacji tej stwierdziłem tylko, że żadnego listu marszałek wyjeżdżając do Brześcia nie zostawił. Wysłał go później z Brześcia. („Kampania Wrześniowa", Cz. II, str. 768).

(6) W Komisji Historycznej w Londynie stwierdzono, że list marszałka został przywieziony do Warszawy 10-go września, przedpołudniem.



Już na emigracji spotkałem się z zarzutem, że nie powinienem był powierzyć dowództwa grupy armii generałowi, który w czasie bitwy opuścił swą armię. Muszę tu zaznaczyć, że gen. Rómmel na wstępie naszej rozmowy oświadczył mi, że dowództwo armii zostało rozbite przez bombardowanie lotnicze i odcięte od swych wojsk przez pancerne oddziały nieprzyjaciela. Na skutek tego, jak mi mówił, stracił zupełnie łączność ze swą armią i z częścią swego sztabu wycofał się na wschodni brzeg Wisły, skąd przybył do Warszawy (7). Przyznam się, że wówczas nawet na myśl mi nie przyszło, żeby dowódca armii mógł opuścić swą armię w ten sposób jak to zrobił gen. Rómmel. Uważałem, że w warunkach w jakich toczyła się nasza kampania, wypadek odcięcia dowódcy armii od swych wojsk był zupełnie możliwy i nie może obciążać dowódcy armii. Stworzenie zaś jednego dowództwa dla całego rejonu obronnego Warszawy, który miał być broniony od zachodu, północy i wschodu, było moim zdaniem sprawą bardzo pilną, a objąć je mógł tylko jeden z najstarszych stopniem generałów, najstarszym zaś obecnym w Warszawie był gen. Rómmel.

Dziś sprawa opuszczenia przez gen. Rómmla jego armii jest jasna. Ale wówczas prawdy nie znałem. Uwierzyłem jego opowiadaniu i nieświadomie wprowadziłem w błąd naczelnego wodza, meldując mu przez ppłk. Mareckiego o przejściach generała tak, jak mi je on sam opowiedział. Jak stwierdza płk. Jaklicz, marszałka zgnębiło położenie armii „Łódź", zdziwił się obecnością gen. Rómmla w Warszawie, lecz na podstawie referatu ppłk. Mareckiego, rozumiał to jako naturalny skutek odcięcia dowódcy armii od jego wojsk.

W ten sposób powstała grupa armii „Warszawa", pod dowództwem gen. Rómmla.

W dalszym ciągu gen. Rómmel pisze: „Nie będzie z mej strony samochwalstwem, że do tej ważnej roli (tzn. obrony Warszawy) (marszałek) wybrał moją skromną osobę... słowa listu „ufam Panu generałowi, że Pan dobrze wypełni ten historyczny obowiązek" mówią same za siebie... wielu ludzi zwracało się do marszałka z prośbą o wyznaczenie do obrony Warszawy, lecz wszystkie te propozycje zostały przez niego odrzucone" (str. 164).

Gen. Rómmel zupełnie fałszywie interpretuje list marszałka, przedstawiając go jako dowód szczególnego zaufania i wyróżnienia jego osoby spośród innych generałów meldujących się na to stanowisko. Jak stwierdza płk. Jaklicz, marszałek wcale nie wybierał gen. Rómmla na dowódcę obrony rejonu Warszawy, lecz po prostu zatwierdził decyzję szefa sztabu. Serdecz-

(7) Zaznaczam tu, że wówczas gen. Rómmel nic nie mówił o jakimkolwiek wzywaniu go przez naczelnego wodza do Warszawy.

nymi i pełnymi zaufania słowami listu chciał dodać otuchy i wzmocnić gen. Rómmla po jego przejściach. Tak bardzo dowolna i pochlebna dla siebie interpretacja listu nie świadczy o skromności ani braku samochwalstwa u gen. Rómmla.

Nawiasem muszę tu dodać, że również na emigracji dowiedziałem się, że list marszałka do gen. Rómmla kursował w odbitkach po Warszawie zaraz po zakończeniu kampanii. Jaką drogą mógł się wówczas osobisty list naczelnego wodza dostać do opinii publicznej? Widocznie już wtedy zależało komuś na wyrabianiu alibi dowódcy armii ,,Łódź'', który znalazł się w Warszawie, gdy jego wojska walczyły pod Łodzią. Nic dziwnego, że z taką pasją napada gen. Rómmel w swej książce na tych, którzy mogą powiedzieć prawdę o tej smutnej sprawie i obalić mit tworzony dookoła jego osoby.

◆

Gen. Rómmel zarzuca mi, że w mojej relacji, cytowanej w ,,Kampanii Wrześniowej'' daję niezgodne z prawdą naświetlenie wyznaczenia go na dowódcę obrony rejonu Warszawy, że neguję istnienie listu marszałka do niego i przypisuję sobie inicjatywę tego rozkazu, a także nic nie wspominam o ,,naszej burzliwej i dramatycznej rozmowie w sprawie zwrotu zaczepnego gen. Kutrzeby'', który uważał za ,,lekkomyślny, a nawet graniczący z przestępstwem'' (str. 164, 5). W rozmowie tej miał mi jakoby powiedzieć ,,wiele przykrych rzeczy'' i był — jak pisze — tak wzburzony, że wyszedł z pokoju i więcej się już ze mną nie widział, choć sztab jego mieścił się obok.

Sprawę wyznaczenia gen. Rómmla na dowódcę obrony rejonu Warszawy, oraz listu marszałka wyjaśniłem już uprzednio. O owej rzekomej ,,burzliwej i dramatycznej'' rozmowie nie mogłem wspominać w mej relacji z tego prostego powodu, że tego rodzaju rozmowy w ogóle nigdy nie było. Kiedy poinformowałem gen. Rómmla o zamierzonym uderzeniu gen. Kutrzeby, które — jak pisze — miało go tak strasznie zdenerwować i oburzyć, w rzeczywistości nie robił żadnych krytycznych uwag, a tym bardziej nie powiedział mi ,,całego szeregu przykrych rzeczy''. Przeciwnie, zachowywał się wówczas w stosunku do mnie zupełnie spokojnie i poprawnie. Cały ten dramat wymyślił sobie dopiero w swej książce, prawdopodobnie w celu umotywowania faktu, że po naszej, w rzeczywistości całkiem spokojnej rozmowie, nie chciał się więcej ze mną widzieć.

Nie mam zamiaru dociekać dlaczego gen. Rómmel uważał wówczas za odpowiednie unikanie mnie. W każdym razie nie było to wynikiem rzekomego oburzenia z powodu mojej zgody (zresztą warunkowej) na projekt gen. Kutrzeby. Raz jeszcze podkreślam, że ,,oburzenie'' to jest od początku do

końca zupełnym wymysłem. Musiały tu wchodzić w grę momenty całkiem innej natury. Ale to rzecz gen. Rómmla. Uważam jednak, że w tak ciężkiej chwili nie powinno było być miejsca na prestiżowe, czy inne animozje.

Co do mnie, zdawałem sobie sprawę z drażliwości sytuacji dowódcy armii bez armii, w jakiej znajdował się gen. Rómmel i starałem się jak najbardziej taktownie z nim rozmawiać, by nie urazić jego przeczulonej wrażliwości. Sprawy jego przybycia więcej nie poruszałem, a gdy mi powiedział, że chce się zameldować u naczelnego wodza, zaproponowałem, żeby złożył pisemny meldunek, który przekażę do Brześcia.

Gen. Rómmel pisze, że swój meldunek do marszałka wysłał przez ppłk. Bukojemskiego i w adnotacji na str. 154 dodaje: „Po wojnie, w 1945 roku spotkałem gen. Bukojemskiego, ówczesnego podpułkownika, który stwierdził, że osobiście wręczył mój list naczelnemu wodzowi. Marszałek Śmigły był wtedy strasznie zdenerwowany, miotał się po pokoju, wzdychając: „Co robić? Co robić? Robił wrażenie człowieka kompletnie złamanego...".

Pisać w ten sposób o marszałku Śmigłym może tylko człowiek zdecydowanie złej woli, bez skrupułów w oczernianiu swego byłego naczelnego wodza. Każdy, kto choć trochę znał marszałka, wie dobrze, że takie zachowanie było całkowicie niezgodne z jego charakterem. Zawsze, w najcięższych nawet chwilach, wykazywał spokój i opanowanie. Wstyd, że gen. Rómmel, który dobrze znał marszałka od wielu lat, uważał za właściwe podać w swej książce tego rodzaju absurdalną i podłą relację.

Poza tym, jeżeli gen. Rómmel wysłał ppłk. Bukojemskiego około godz. 12-ej, to mógł on przybyć do Brześcia późnym popołudniem, względnie wieczorem. Tymczasem płk. Jaklicz stwierdza, że był przy marszałku od godz. 17-ej do 20-ej i od 22-ej do 24-ej, a ppłk. Bukojemskiego w ogóle nie widział, marszałek zaś nic mu o meldunku gen. Rómmla nie wspominał.

◆

Krytykując w sposób bardzo niewybredny gen. Kutrzebę za projekt zwrotu zaczepnego znad Bzury, a jeszcze więcej mnie za wyrażenie nań zgody, gen. Rómmel ucieka się do demagogicznego chwytu twierdząc, że gen. Stachiewicz „wykorzystując nieobecność marszałka Śmigłego, postawił go przed faktem dokonanym, bo w meldunku przesłanym juzem do Brześcia stwierdza, że „ze względu na brak łączności z gen. Kutrzebą odwołanie działania zaczepnego jest prawie niemożliwe" (str. 154).

Trzeba się bardzo opanowywać, żeby na tego rodzaju kalumnie nie odpowiadać stylem generała Rómmla.

Przede wszystkim, nieprawdą jest że meldunek o którym pisze został wysłany do naczelnego wodza, o czym gen. Rómmel bardzo dobrze wie, a sprawa przedstawiała się następująco :

Gen. Kutrzeba podał mi projekt uderzenia znad Bzury w rozmowie telefonicznej 8 września przedpołudniem. Równocześnie nalegał na szybką decyzję, gdyż popołudniu tegoż dnia musiałby wydać rozkazy do rozpoczęcia nocnego przegrupowania.

Uważałem osobiście, że w istniejącej sytuacji uderzenie dwiema armiami (poznańską i pomorską) na skrzydło sił niemieckich idących na Warszawę mogło nie tylko utorować tym armiom drogę do stolicy, ale również zahamować ofensywę nieprzyjaciela w tej części frontu i odciążyć obronę Warszawy i Wisły w tym rejonie. Uważałem jednak, że w tej tak ważnej sprawie decyzję definitywną może dać tylko naczelny wódz, a łączności z nim ani juzowej ani telefonicznej nie miałem i nie mogłem liczyć na szybkie jej nawiązanie. Postanowiłem więc wysłać samolotem do Brześcia starszego oficera sztabu, licząc że powróci on dość szybko, by jeszcze przed zapadnięciem nocy mógł polecieć do gen. Kutrzeby z decyzją marszałka. Generałowi Kutrzebie zaś oświadczyłem, że naczelnego wodza nie ma w Warszawie, nie mogę mu więc podać natychmiast jego decyzji. Ponieważ jednak czas nagli, niech przygotuje wszelkie potrzebne rozkazy dla przeprowadzenia uderzenia obiema armiami w kierunku między Łódź i Skierniewice. O ile *do nocy* nie otrzyma innych zarządzeń, niech uważa to za zatwierdzającą decyzję marszałka.

O godz. 14-ej wysłałem samolotem do Brześcia (o czym przy innej okazji wspomniałem) jednego z najlepszych oficerów operacyjnych sztabu, podpułkownika dypl. Mareckiego, z odpowiednim meldunkiem i prośbą o decyzję Marszałka, którą ten oficer zawiózłby do gen. Kutrzeby jeszcze przed zapadnięciem nocy. Na wypadek zaś, gdyby to było niemożliwe, ułożyłem z nim specjalny kod, którym miał mi przez radio podać z Brześcia decyzję Naczelnego Wodza.

Mijały godziny a ppłk. Marecki nie wracał, ani też nie nadchodziła umówiona depesza radiowa. Obawiałem się, że może samolot został zestrzelony i wobec tego naczelny wódz w ogóle nie dowiedział się o zamierzonej akcji. Niepokojące również było dla mnie, że zbliżała się noc, a więc granica terminu jaki podałem gen. Kutrzebie na przekazanie mu decyzji marszałka. Nie otrzymanie w tym terminie żadnej wiadomości ode mnie, oznaczać miało dla gen. Kutrzeby zatwierdzenie jego projektu przez naczelnego wodza, a zatem zgodę na rozpoczęcie nocnego przegrupowania wojsk do natarcia. Z chwilą zaś rozpoczęcia go, ewentualne odwołanie działania było już niemożliwe, jeżeli nie miało się dopuścić do zamieszania, które w

istniejących warunkach mogło mieć bardzo szkodliwe następstwa.

W tych warunkach, późnym wieczorem, przygotowałem meldunek do naczelnego wodza, który miał być nadany juzem natychmiast, gdyby udało się nawiązać łączność z Brześciem. W meldunku tym powtórzyłem w skrócie to, co ppłk. Marecki miał zameldować, a na końcu dodałem zdanie, które gen. Rómmel cytuje. Ponieważ łączność drutowa z Brześciem nigdy już nie została nawiązana, meldunek ten, wbrew temu co twierdzi gen. Rómmel, nie został nigdy przesłany do naczelnego wodza. Stwierdzają to wyraźnie autorzy „Kampanii Wrześniowej" (Cz. II str. 771, 773); wie o tym również dobrze gen. Rómmel, raz dlatego, że właśnie z tej książki cytuje to zdanie, a poza tym, będąc w sztabie w Warszawie przez cały dzień 8 września, wiedział już wtedy, że w dniu tym łączności juzowej między Warszawą a Brześciem nie było (o czym sam pisze na str. 154). W tych trudnych warunkach starałem się zrobić wszystko co było w mojej mocy, żeby uzyskać decyzję naczelnego wodza. Tymczasem gen. Rómmel licząc na to, że czytelnik nie zna rzeczywistego stanu rzeczy i nie ma możliwości sprawdzenia go („Kampania Wrześniowa" jest w Polsce niedostępna dla zwykłego czytelnika), rzuca na mnie ciężkie oskarżenie, że postąpiłem nielojalnie i wykorzystując nieobecność marszałka Śmigłego, postawiłem go przed faktem dokonanym w tak ważnej sprawie jak przejście do uderzenia 2 armii. Oto jakich chwytów dopuszcza się gen. Rómmel w rzucaniu potwarzy na innych a w szczególności na mnie.

Przed godziną 23-cią nadeszła z Brześcia radiodepesza nadana umówionym kodem, w której naczelny wódz, w odpowiedzi na ustny meldunek ppłk. Mareckiego, zatwierdzał projekt natarcia znad Bzury (8).

W dalszym ciągu gen. Rómmel pisze: „Nieścisłe jest... twierdzenie Stachiewicza, że dawał mi jakieś dyrektywy o wsparciu akcji Kutrzeby, czy to przez garnizon Warszawy, czy to przez współdziałanie armii „Łódź"... „Myśl o współdziałaniu w „zwrocie zaczepnym" armii „Łódź", która znajdowała się obecnie w rejonie Skierniewic, też wyszła ode mnie. W tej sprawie wydałem... rozkaz do gen. Thommée wysłany przez płk. Wilczewskiego" (str. 165). W rozkazie tym, który gen. Rómmel cytuje w całości na str. 163, nie ma ani

(8) Płk. Jaklicz stwierdza, że płk. Marecki przybył do Brześcia między godziną 15-tą a 16-tą. Jego referat u marszałka opóźnił się znacznie, gdyż naczelny wódz miał wówczas konferencję z premierem Składkowskim i ministrem Beckiem.

Marszałek ucieszył się wiadomością o łączności z gen. Kutrzebą i o jego inicjatywie. Projekt uderzenia znad Bzury całkowicie zatwierdził, podając kierunek na Radom; przewidywał, że uderzenie to odciąży Warszawę. Niepokoił się jedynie, czy zdąży się na czas przekazać gen. Kutrzebie i szefowi sztabu jego decyzję. Obawy te usunął Marecki, meldując, że w braku odpowiedzi do nocy, natarcie ma być przeprowadzone.

jednego słowa o zwrocie zaczepnym gen. Kutrzeby, ani jednego słowa o współdziałaniu z nim armii ,,Łódź''. Jedynym zadaniem nakazanym gen. Thommée (9) poza rozpoznaniem ,,we wszystkich kierunkach'' jest przegrupowanie się na linię Łowicz-Skierniewice w rejon lasów nieborowskich. Rozkaz nie podaje nawet co armia ,,Łódź'' ma na tej linii robić. W czym więc ujawnia się myśl, którą sobie przypisuje, współdziałania tej armii w zwrocie zaczepnym gen. Kutrzeby?

Natomiast gen. Rómmel nic nie wspomina o znanym mu moim rozkazie danym wcześniej ppłk. Wilczewskiemu, szefowi sztabu gen. Thommée. O rozkazie tym pisze ppłk Wilczewski w swojej relacji (,,Kampania Wrześniowa'', Cz. II, str. 774): ,,Gen. Stachiewicz zakomunikował mi, że projektuje się działanie ofensywne armii gen. Kutrzeby... że w związku z tym armia generała Thommée winna, jak się wyraził, zrobić w lasach skierniewickich ,,jeża'' i bronić się, choćby otoczona ze wszystkich stron, by wiązać część sił niemieckich''. Dodać muszę że ppłk Wilczewski uważał zadanie to za zupełnie wykonalne, nawet dla osłabionych sił armii ,,Łódź''.

◆

Zarozumiałość gen. Rómmla i pasja w oczernianiu naczelnego dowództwa, a głównie mnie, częściowo też mego zastępcy płk. dypl. Jaklicza, doprowadza go do twierdzenia, że naczelnym dowództwem rządził nie marszałek Śmigły, lecz ,,tupetem obdarzona spółka'', która wydawała inne rozkazy aniżeli naczelny wódz i stawiała go przed faktami dokonanymi, których nie mógł już zmienić.

Na jakich podstawach gen. Rómmel rzuca to oszczerstwo? Widzieliśmy już jak spreparował opowiadanie o stawianiu naczelnego wodza przed ,,faktami dokonanymi''. Na czym opiera twierdzenie, że ja i płk Jaklicz wydawaliśmy rozkazy sprzeczne z rozkazami, czy wolą naszego przełożonego. Niechby choć jeden taki rozkaz wymienił. Tak ciężki zarzut nielojalności mógłby postawić nam tylko sam marszałek. Naczelny wódz niestety nie żyje, nie może więc dać świadectwa lojalności czy nielojalności swego sztabu. Zawsze odnosił się do nas z pełnym zaufaniem i życzliwością i nigdy, ani w czasie kampanii, ani potem nie postawił nam żadnych zarzutów, a tym bardziej tego rodzaju, jakie rzuca gen. Rómmel, nie mając do tego żadnego tytułu ani żadnych podstaw. Takie oszczerstwa, godzące w honor żołnierza może rzucać tylko ktoś wyzuty kompletnie z poczucia odpowiedzialności za to co mówi, czy pisze. Są one niegodne uczciwego człowieka.

Gen. Rómmel szereg razy chwali w superlatywach swój sztab. Jest to jego pełnym prawem, a nawet obowiązkiem,

(9) Gen Thommée objął samorzutnie dowództwo nad armią ,,Łódź'' po opuszczeniu jej przez gen. Rómmla.

jeżeli uważa że oficerowie sztabu włożyli najwyższy wysiłek umysłowy i fizyczny w lojalne wykonywanie swoich obowiązków. On bowiem może najbardziej autorytatywnie osądzić pracę swych bezpośrednich pomocników. Jakież byłoby jego oburzenie, gdyby ktoś zarzucał im nielojalność i inaczej oceniał ich pracę, aniżeli on sam?

Niechże więc nie wykorzystuje faktu, że naczelny wódz nie żyje i nie pomiata oficerami jego sztabu i nie zarzuca im czynów, na które nie ma żadnych dowodów, ani żadnego tytułu.



Jak wszystkie pamiętniki, tak książka gen. Rómmla przede wszystkim daje obraz osoby samego autora. Wyłania się z niej postać generała zadufanego w siebie, swą wiedzę i doświadczenie wojskowe, człowieka dławionego pychą, nie cofającego się przed niczym, by dać upust swej nienawiści i dopiąć swych samolubnych celów.

W swej bezgranicznej zarozumiałości generał, który popełnił szereg błędów w dowodzeniu własną armią i porzucił ją w bitwie, potępia swych kolegów, dowódców armii za nieuctwo i złe dowodzenie, co do siebie zaś uważa że należy mu się jeszcze wyższe dowództwo (nad trzema armiami), a następnie sięga najwyżej, bo po władzę naczelnego wodza.

Uważa siebie za opatrznościowego wodza, który dowodził bezbłędnie, wszystko przewidział, wszystko doradził, lecz niestety nie zaznał posłuchu, gdyż miał nad sobą i dokoła siebie samych analfabetów, nieuków, dyletantów itp., którzy nie robiąc tego co by on sobie życzył, popełniali same błędy a nawet przestępstwa, za które oddałby ich pod sąd wojenny. By w oczach czytelnika wywołać tak spreparowany bohaterski obraz swojej osoby i swoich czynów, nie cofa się, tam gdzie mu to jest potrzebne, przed fałszywym przedstawianiem i interpretacją wypadków, a nawet niekiedy zniekształcaniem oryginalnych dokumentów.

Przy tak tendencyjnym i bezceremonialnym ustosunkowaniu się autora do prawdy historycznej, szumnie zatytułowana jego książka nie może być i nie jest dokumentem historycznym, a jedynie publicystyką, w typie mile widzianych i popieranych przez reżym warszawski. Przysłużył się nią temu reżymowi, ale Honoru generałowi Rómmlowi książka jego nie przyniesie, a Ojczyźnie chwały nie przysporzy.

Wacław STACHIEWICZ

Książki

Nowe przekłady z hiszpańskiego (1)

(CZĘŚĆ TRZECIA)

Niniejszy szkic jest uzupełnieniem dwu poprzednich (*Kultura* Nr 117/118, Nr 123/124), w których omówiłem powojenne przekłady polskie z języka hiszpańskiego. Obecnie, z wyjątkiem *Wyroczni podręcznej* wydanej w 1949 r., którą dopiero niedawno udało mi się zdobyć, przedstawię pozycje nowsze, z lat 1956-1958.



Bartolome de las Casas, dominikanin a później biskup, opublikował w 1552 roku w Sewilli niewielką książeczkę zatytułowaną *Brevisima relación de la destrucción de las Indias*. W ten sposób przyczynił się wcale wydatnie do powstania tzw. Czarnej Legendy, złej famy jaką ukuli wrogowie Hiszpanii i którą posługiwali się przez szereg stuleci, używając jej nieraz dla odwrócenia uwagi od własnych nielepszych posunięć. Jakaż to gratką okazała się ta książka dla racjonalistów francuskich z Monteskiuszem i Wolterem na czele ! Ile tłumaczeń ukazało się w Anglii, Francji, Holandii w epoce rywalizacji kolonialnych ! Jeszcze w 1898 roku książkę tę wydano w Nowym Jorku celem podburzenia do wojny o Kubę.

Po czterystu latach okrzyk ,,łapaj złodzieja'' podjęły demokracje ludowe. Ostatnio pojawiły się przekłady : czeski i polski. A przecież zarówno Czesi jak i Polacy pamiętają okrucieństwa świeższej daty i kolonializm nie jest dla nich sprawą przebrzmiałą, którą trzeba przypominać sędziwym memoriałem Hiszpana. Bo ,,Krótka relacja (1)'' nie jest niczym innym, jak niekończącym

(1) CASAS, Bartolomé de las. *Krótka relacja o wyniszczeniu Indian.* Przedmowę napisał i komentarzami zaopatrzył ks. prof. dr Mieczysław Żywczyński. Przełożyła Krystyna Niklewiczówna. PAX. Warszawa, 1956.

się rejestrem zbrodni, okrucieństw i zdrady, popełnionych przez Hiszpanów na Indianach. Choć nie sposób uważać tego dzieła polemicznego za dokument historyczny, zasługuje ono na pamięć jako odważny głos w obronie podeptanych przez państwo i jednostki praw ludów podbitych i zacofanych, a jej autor zasłużył sobie w pełni na nazwanie go ,,zaszczytem nie tylko dla Hiszpanów ale także dla Ameryki i świata całego'' (Manuel José Quintana).

Ks. prof. dr Mieczysław Żywczyński jest autorem obszernej przedmowy i licznych komentarzy. Cenne wprowadzenie niestety traci wiele na nieudanej, moim zdaniem, próbie palenia przysłowiowej świeczki i ogarka. Niepokoi mnie raz po raz pojawiający się leitmotyw w rodzaju ,,tak zaczęło się wielkie dzieło ,,cywilizacyjne'' ludów europejskich w Ameryce (str. 34)''. Dziwi mnie też nieuwarunkowane przypisywanie okrucieństw religijnym poglądom i ustawiczne przeciwstawianie chrześcijaństwa naturalnej szlachetności Murzynów i Indian. Słowa, które znajdujemy w przedmowie odnośnie popularności dziełka Hiszpana: ,,Najwięcej wydawali ich ci, którzy... najmniej mieli do tego prawa (str. 75)'', można odnieść także do najnowszych wydań słowiańskich. To samo dałoby się powiedzieć o powodzi traktatów o prześladowaniu ludów, tez o wyzysku tubylców i poezji o nieszczęsnych Murzynach w Stanach Zjednoczonych.

Niewdzięcznej roboty przekładania dokonała świetnie Krystyna Niklewiczówna, wykazując przy tym dużą znajomość nazw topograficznych Ameryki. Dziwnym trafem w jednym z odnośników prześliznęło się niedopatrzenie. Zamiast ,,w Gent'' (str. 105) miało chyba być ,,w Gandawie''. Szkoda wielka, że tłumaczka tej klasy musiała włożyć tyle pracy w przekład dzieła wątpliwej dla polskiego czytelnika wartości.

Pięknie wydaną książkę zdobią reprodukcje malowideł i hieroglifów indiańskich. Ubolewać należy, że nie może ona mimo wszystko uchodzić za rzetelny, naukowy wkład wydawnictwa PAX w hispanika polskie. Bo jeżeli zależało inspiratorom wydania na pokazaniu Las Casasa, należało wydać jego wielkie dzieło *Historia general de las Indias*. Skoro postąpili inaczej, zrobili apostołowi Indian niedźwiedzią przysługę wykazując przy tym kompletny brak zrozumienia Hiszpana, który nie zważając na ówczesną rację stanu, potrafił napisać do króla Hiszpanii słowa po dziś dzień aktualne: ,,Trzeba dać wolność tym ludziom niezależnie od szkody, która wyniknie z tego powodu dla króla Hiszpanii i choćby kosztem życia oraz interesów Hiszpanów, którzy sami się potępiają przez swoją złośliwość'' (str. 65).

Natomiast stanowczo większą wartość posiada wydana również przez PAX rozprawka ,,O Indianach'' dominikanina hiszpańskiego Francisco de Vitoria. Przełożył ją z łacińskiego oryginału Józef Modrzejewski a ks. M. Żywczyński nakreślił sympatyczną sylwetkę autora i dał zwarty i rzeczowy obraz jego czasów.

◆

Pisząc o przekładzie *Oraculo manual* Bohdana Gajewicza („Kultura", Nr 117/118) wyraziłem żal, że przekład jego jest trzecim z kolei robionym z wersji francuskich. Nie wiedziałem wówczas, że w tym samym czasie ukazał się w Lublinie czwarty przekład i pierwszy z oryginału hiszpańskiego (2). Książka prezentuje się graficznie nader skromnie i stanowi tom 43 serii Źródeł i Monografii Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego.

Pozwolę sobie dla przykładu przytoczyć trzy wersje polskie Maksymy drugiej :

Umysł i Gieniusz

Te to są dwie twierdze na których wspiera się cała zdolność Człowieka. Mieć jedną bez drugiey to jest bydź w pół tylko szczęśliwym. I nie dość jest na Umyśle, trzeba nad to mieć gieniusz. To jest pospolite nieszczęście niezręcznych ludzi, iż mylą się w wyborze profesyi, przyiaciół i mieszkania.

(Sierakowski)

Żywość umysłu i piętno genialności

Oto dwa filary, na których wspiera się wszelkie uzdolnienie człowieka. Obdarzony jednym z tych walorów, zazna tylko połowy szczęścia. Nie wystarczy mieć dobre rozeznanie, mędrca cechuje genialność.

Wielu nieszczęśliwców myli się w wyborze zawodu, w doborze przyjaciół, a nawet — przy obieraniu swej stałej siedziby.

(Gajewicz)

Rozum i instynkt ! Oto bieguny w świecie uzdolnień człowieka. Jeden bez drugiego — to rzecz połowiczna. Sam rozum nie wystarcza ; trzeba jeszcze mieć wyczucie. Półgłówki mylą się zawsze w wyborze swego zawodu, stanu, siedziby i przyjaciół.

(Łoś)

Jak już widać z porównania chociażby wyżej przytoczonych fragmentów, Łoś daje przekład nieco szorstki i lapidarny, przypomina on jednak najbardziej oryginał. (Który tłumacz najlepiej po polsku wyraził znaczenie słów *genio* y *ingenio* ?) Gracjanowa „oś", *eje*, stała się u Sierakowskiego „twierdzą", u Gajewicza „filarem", u Łosia jest „biegunem". *Lucimiento de prendas* to dosłownie „ukazanie talentów". U Łosia, następując po „biegunie", staje się, logicznie, „światem uzdolnień". To co

(2) GRACJAN, Baltasar. *Wyrocznia podręczna* (Oraculo manual). Przetłumaczył i wstępem zaopatrzył Stanisław Łoś. Lublin, 1949.

jest w ruchu u autora i u Łosia, Sierakowski i Gajewicz widzą statycznie, jako twierdze i filary. Czy ,,geniusz'' to to samo co ,,wyczucie?'' ,,Półgłówek'' jest może zbyt rażący, choć ,,nieszczęśliwiec'' czy ,,niezręczny'' brzmią eufemistycznie dla hiszpańskiego *necio*. Łoś dwa razy przełożył słowo *vocación*: raz jako ,,w wyborze'' a następnie jako ,,zawodu''.

Przekład Łosia jest na ogół bardzo wierny. Kto zna styl Gracjana, ten się nie zdziwi, jeżeli znajdzie czasem błędne odczytanie. Do nich zaliczam ostatnie zdanie Maksymy 10. Zamiast ,,Nieosiągalnym lepiej wzgardzić (M. 220)'' winno być ,,Jeżeli czegoś nie osiągniemy, inni zaczną nami gardzić''. Zagalopował się także pisząc: ,,Niekiedy najbrzydsza kobieta ma właśnie największy posag (M. 229)''. *La fea* odnosi się do słowa *tierra* i słusznie tłumaczy Gajewicz, że ,,najnędzniejszy kraj nieraz najhojniej wyposażył''. Podobnie lepiej wywiązał się Gajewicz w innym miejscu tłumacząc: ,,Szpilka, przeniesiona z kraju do kraju, może uchodzić za rzecz wartościową. Czasem diament traci w zestawieniu ze szkiełkiem, przywiezionym z daleka (M. 197)''. Łoś widzi tekst tak: ,,Igła dojdzie do ceny, jeżeli przejedzie na drugą półkulę, a szklanka (sic!) z obcego kraju zaćmiewa diamenty''. *A costa de su misma ambición* (M. 141) nie znaczy, jak chce Łoś, ,,choć cierpi na tym nasza duma'', ale ,,kosztem jego ambicji''. ,,Zamiary spisywać tylko szyfrem (M. 98)'', *cifrar la voluntad*, to po prostu ,,skrywać zamiary''. Tamże źle odczytano słowo *gusto*: ,,Nawet smak nasz niech będzie nieznany''. Chyba nie ,,smak'' ale ,,zamiar, intencja''. Styl niekiedy jest niepotrzebnie chropowaty i niezrozumiały: ,,Nie wysysać niczego do dna! Ani tego co złe ani tego, co dobre (M. 82)'', ,,Dobra myśl więcej jest warta od zajęć (M. 247)''.

Na str. 13 znajdujemy bibliografię polskich przekładów ,,Wyroczni podręcznej''. Na pierwszym miejscu widnieją dwa wydania *Człowieka uniwersalnego* przekładu, jak się zdaje, ks. P. Brzostowskiego (Wilno, 1762 oraz 1765). Ale przecież *Człowiek uniwersalny a Wyrocznia* to dwa różne dzieła Gracjana. Pierwsze to *El Discreto*, drugie — *Oraculo manual*. W tej chwili mamy więc jedno tłumaczenie *El Discreto* oraz cztery *Oraculo manual*: trzy z francuskiego (ks. A. Brodowski, 1764, z O. Courbeville'a; ks. W. hr. Sieratowski, 1802; oraz B. Gajewicz, 1949, z A. N. Amelot de la Houssaie) i pierwsze z hiszpańskiego S. Łosia, 1949. ,,Wyrocznia podręczna'' lepiej od ,,Brewiarza dyplomatycznego'' oddaje tytuł oryginału. Charakter maksym ich lakoniczna zawiłość nieraz każą się nad znaczeniem zastanowić i ważyć każde słowo. To nie zbiór jasno wyłożonych zasad postępowania.

Listę języków, na które przełożono *Oraculo manual*, wedle wyliczenia Łosia, można uzupełnić holenderskim (1696) oraz rosyjskim (1742). Pisownia hiszpańskich imion własnych we wstępie w szeregu miejsc uszła czujności korektora.

◆

Antonio Pedro de Alarcón (1833-1891) był chyba pierwszym Hiszpanem, który jeszcze za swojego życia doczekał się kilku przekładów swoich powieści na język polski. Jeden z najpopularniejszych pisarzy XIX w. (sześć jego powieści miało ponad dwadzieścia wydań, jedna — niemal pięćdziesiąt), Alarcón odbył studia prawnicze i teologiczne, poświęcił się jednakże dziennikarstwu i pisarstwu. Dał się poznać jako radykał i duch niespokojny, ale po upokarzającym pojedynku nastąpił w jego życiu zasadniczy przełom. Odtąd jako stateczny i głęboko wierzący obywatel skłaniał się ku powieściom moralizatorskim typu *El escandalo,* która po polsku ukazała się w 1884 r. jako „Zgorszenie". W tym samym roku wyszedł przekład *El nino de la bola* (Dziecię globu), a trzy lata później *El capitan veneno* (Kapitan gadzina).

Jeśli nie frywolna, to na pewno beztroska powiastka *El sombrero de tres picos* (Trójgraniasty kapelusz) uwieczniona przez balet Manuela de Falla, doczekała się wreszcie, po osiemdziesięciu kilku latach polskiego przekładu (3). Czarującej historii chyba nie trzeba przypominać. Jak wiadomo opiewa ona perypetie urodziwej młynarki, której wdzięki sprowadzają na nią miłosne zachody corregidora, urzędnika królewskiego noszącego okazały trójgraniasty kapelusz. Jego zapały studzi gwałtownie najpierw woda strumienia młyńskiego, do którego wpada, a następnie rusznica wiernej młynarki. Rzecz się komplikuje kiedy zazdrosny młynarz ubiera suszący się strój corregidora i dysząc zemstą za domniemaną zdradę żony, oraz żądny ukarania uwodziciela śpieszy do miasta, bo i „żona corregidora jest przystojna".

Przekład zawdzięczamy Kalinie Wojciechowskiej, znanej nam już z tłumaczeń Galdosa. Praca jej mimo stosunkowej krótkości utworu, nie była łatwa (wiem coś o tym, bo sam przekładałem przed kilku laty szereg rozdziałów tego dziełka). Tłumaczka zachowała hiszpańskie brzmienie imion bohaterów, ale próbowała spolszczyć potoczne *tio.* W rezultacie jest wuj Lucas, sena Frasquita i ciotka Josefa. *Sena* odmienia się *senii* itd. Nie bardzo to wszystko poręczne, ale o ile można było zamiast „wuj" powiedzieć „kum" czy „ociec", to z „senią" doprawdy jest kłopot. Na dobitkę dochodzi nieprzetłumaczalny *corregidor, alguacil, fanega* ziemi. Alpargaty można łatwo było zastąpić np. sznurkowymi pantoflami czy nawet łapciami. Nie dziwię się wcale, że autorka polskiej wersji w niektórych (bardzo rzadkich zresztą) miejscach nie mogła sprostać nagromadzeniu realiów takich jak np. stare podatki czy rozmaite gry w karty. Zdarzają się mylne odczytania (też bardzo nieliczne): „nie doszedł w hierarchii kościelnej do stopnia wyższego niż godność

(3) ALARCON, Pedro de. *Trójgraniasty kapelusz.* Tłumaczyła Kalina Wojciechowska. Czytelnik. Warszawa, 1958.

ministranta, na tym zakończył swoją karierę duchowną (str. 25)" zamiast jak być powinno: ,,miał zaledwie niższe święcenia, natychmiast powiesił sutannę na kołku...". ,,Dzwony katedralne biły na nieszpory" (str. 36) — nie dzwony, po prostu sygnaturka, *esquilón*. ,,Czymże jest ogień na stosach Inkwizycji w porównaniu z tym, który płonie czasem w sercu człowieka" (str. 94). Skąd nagle ta inkwizycja, choć przez uszanowanie z dużej litery pisana? Tekst nic o owej instytucji nie mówi. W poprzednim zdaniu była mowa o błyskawicach. Do nich nawiązując Hiszpan pisze: ,,Czymże jest cały ogień burz (*de las tormentas*)". *Setenta y cinco* to przecież nie ,,sześćdziesiąt pięć" (str. 62), *retorciendo el hocico* to też nie ,,tłumiąc czkawkę" (str. 41), ale ,,wydymając usta". Opisując stójkowego Gardunę tłumaczka posuwa się zbyt daleko w domysłach mówiąc o jego podobieństwie do ,,instrumentu, na którym mieli (przestępcy) zawisnąć" (str. 39). Wydaje mi się, że autorowi chodziło o przyrównanie go do rózgi czy bata a nie do szubienicy. Pomyłką także jest przekładanie *a cortisima distancia* jako ,,w pełnej szacunku odległości" (str. 48) — chyba ,,w najbliższej". Podobnie w innym miejscu zagubiło się coś z rubaszności oryginału, kiedy zamiast tekstu w rodzaju: ,,Wyciągnęła ramię i uderzyła w piersi Jego Wysokości ze spokojną mocą i niewzruszonością trąby słoniowej" — mamy blade ,,odepchnęła go ruchem tak energicznym" (str. 52). Pyszny opis wdzięków młynarki nie udał się tłumaczce. ,,Alabastrowa karnacja ciała" (str. 49) trąci purytanizmem.

W zbyt ogólnikowym wstępie czytamy, że Alarcón urodził się ,,w Granadzie, w mieście Guadix", chyba w prowincji Granada. Ilustracji Marii Hiszpańskiej-Neuman niestety pochwalić nie mogę. Wydaje mi się, że zmarnowano tu wspaniałą okazję. Książeczka jest ładna. Dobry papier mający ,,powiększyć" książkę jest chyba jednak za gruby.



Lorca zrobił na całym świecie zawrotną karierę. Jeszcze dziesięć lat temu prace o nim policzyć można było na palcach jednej ręki. Obecnie monografie i studia zajęłyby pokaźną półkę. I na tym się chyba nie skończy. Podobnie jest z jego poezją. Bibliografia przekładów rośnie z dnia na dzień, a jego sława poetycka w cień usuwa wszystkich innych poetów hiszpańskich.

Jerzy Ficowski, jako tłumacz Lorki, nie jest nowicjuszem. Poznaliśmy jego przekłady dołączane do tomików poezji własnych. Jemu także zawdzięczamy spolszczenie *Romanc cygańskich*. Obecnie w ramach ,,Biblioteki Poetów" ukazał się wybór poezji Lorki opracowany przez Ficowskiego (4).

(4) GARCIA LORCA, Federico. *Poezje wybrane*. Wybór opracował i przełożył Jerzy Ficowski. Wstępem opatrzył Stanisław Zembrzuski. PIW. Warszawa, 1958.

Utwory w nim zawarte reprezentują wszystkie ważniejsze zbiorki Lorki. Niektóre z nich przypominamy sobie z wcześniejszych tomików. Ficowski jednak nie zadawala się jednym przekładem. Kiedy porównamy dawniej drukowane wersje z nowymi, dostrzeżemy wiele zmian. Dla przykładu wiersz ,,Wieś'' zaczyna się w starej wersji: ,,Na zarośniętej górze Golgota''. W nowej: ,,Na łysej górze Golgota'' (str. 35). Początek ,,Romancy somnambulicznej'' dawniej brzmiał u niego: ,,Zieleń. Kocham cię, zieleni''. Teraz: ,,Najzieleńszej chcę zieleni'' (str. 82). A oto dwie wersje początku ,,Romancy o księżycowej pełni'', jak ją Ficowski w najświeższym tomiku nazywa:

Księżyc przyszedł do kuźni
w białej mantyli z tuberoz.
Dziecko nań patrzy i patrzy.
Dziecko wpatrzyło się w niego.
W powietrzu rozdygotanym
porusza rękami księżyc.
Piersi swoje z twardej cyny
odkrył czysty i lubieżny

(1949)

Pełnia do kuźni weszła
w mantyli z tuberoz śnieżnych.
Chłopiec w nią patrzy i patrzy.
Chłopiec zapatrzył się w księżyc.
W powietrzu drgającym pełnia
porusza rękami swymi .
Odsłania, czysta i lubieżna,
piersi swoje z twardej cyny.

(1958)

Ficowski usunął szereg usterek dawnych tekstów. Niemniej tu i ówdzie znaleźć można wciąż jeszcze drobne nieścisłości. *Hombres embozados* to nie ,,ludzie się wloką'' (str. 35), *embozado* — ,,osłonięty'', *reja de arado* też nie ,,ząb brony'' (str. 36) ale ,,lemiesz pługa'', *temblorosas faldas* — nie (dziewczęta) ,,drżące przede dniem'' (str. 38), ale po prostu ,,spódniczki chyboczące się''. Nie podoba mi się przekład

La Lola aquella,
que se miraba
tanto en la alberca.

Lola to ta, co, piorąc co dzień,
patrzyła w swe odbicie
w wodzie (str. 41).

,,Co piorąc co dzień'' jest niezręcznym dodatkiem tłumacza.

W wierszu ,,Świt'' czytamy ,,szukając wśród złomów węgla'' (str. 119). Hiszpańskie słowo *arista* znaczy tu węgieł ale nie węgiel! Zestawienie inteligencji z solą (str. 129) zaskakuje. ,,Sól'' należy tłumaczyć w znaczeniu ,,dowcip''. *Manzana* to *nie* ,,jabłoń'' (str. 133) ale jabłko.

Mimo garści potknięć tomik przekładów Ficowskiego daje nam dobre pojęcie o jakości poezji Lorki. Sądzę, że czytelnik polski doceni walory przekładu i że nakład rozejdzie się szybko.

Przyzwoity wstęp Stanisława Zembrzuskiego bardzo przyjemnie odbija od tego co się o Lorce dotąd pisało w Kraju. Drobna uwaga : przyjmuje się obecnie rok 1898 za rok urodzenia Lorki. Pewną nieścisłością jest mówić o krajobrazie „obramowanym" szczytami gór Sierra Nevada. Sugeruje to otoczenie ze wszystkich stron. Damaso Alonso jest rówieśnikiem Lorki. Nie można więc mówić o nim, że poszedł w jego ślady. Alonso, ciekawe połączenie wybitnego krytyka i historyka literatury z poetą, nie reprezentuje zapewne klasy Lorki, niemniej jest to poeta niezależny. Dlaczego mówi się o „św. Rafaelu ?" Może wystarczy św. Rafał.

Tomik jest zgrabny i prezentuje się bardzo dobrze.



Pieśni ludowe z teki Federico Garcia Lorki (5) należą do bezimiennej twórczości ludu hiszpańskiego a obejmują zarówno wczesne romance z piętnastego wieku, jak i śpiewki późniejsze, niemal współczesne poecie. Lorca zbierał je skrzętnie, robił ich transkrypcje i adaptacje. Zofia Szleyen wybrała i przełożyła cztery utwory, które muzycznie opracowali Władysław Raczkowski oraz Augustyn Bloch.

Pomysł przeszczepienia pieśni ludowych na glebę polską jest chwalebny. Powstaje niemniej pytanie, czy taka rzecz jest w ogóle możliwa. Czy melodie i słowa egzotycznych pieśni podbiją sobie serca śpiewaków na tyle, by stać się żywą częścią repertuaru ?

Do przekładu zgłaszam dwa zastrzeżenia. W „Romancy o trzech maurytankach" znajduję odmienny porządek zwrotek, natomiast nie widzę ani śladu przekładu :

y hallabanlas cogidas
y tornaban desmaidas
y las colores perdidas
en Jaen :
Axa y Fatima y Marien.

„Balladę o pielgrzymach" tłumaczka skróciła o dwie zwrotki, w tym jedną przecudną w swojej prostocie. Natomiast dodatków w stylu „mateczko" i „luba dzieweczko" powtarzanych w każdej zwrotce, nie uważam za najszczęśliwszy pomysł.

Opracowania muzyczne wykazują także pewną dowolność. I tak *Allegro vivo* utworu oryginalnego przeszło w *Andante*, a *Allegro moderato* stało się *Allegro con spirito*.

(*Dokończenie nastąpi*) *Florian ŚMIEJA*

(5) GARCIA LORCA, Federico. *Pieśni ludowe hiszpańskie z teki...* Redakcja wyboru i przekłady tekstów pieśni Zofia Szleyen. Polskie Wydawnictwo Muzyczne. Kraków, 1957.

Uwagi i noty

Pisarz emigracyjny nie ma ani czytelnika, ani krytyka, za to ma grono przyjaciół, którzy w imię przyjaźni starają się mu pomóc w twórczości, dlatego tak często na łamach najlepszych naszych pism czyta się wykrzykniki uznania. Czytelnik jest tak pobłażliwy, że nawet jeżeli coś mu się nie podoba, to woli przemilczeć i tym głośniej perorować nad tym, co w jego mniemaniu przerasta całą twórczość na emigracji i w Kraju. Ale wykrzyknikami i gołym słowem nikt jeszcze nikogo nie przekonał. Trzeba usiąść i napisać na papierze, na to jednak potrzebny jest krytyk.

Nie mam wysokiego mniemania o naszej prozie emigracyjnej, choć ją czytam z przyjemnością a jej aktualia są nawet zabawne. Często wywołują dreszczyk niepokoju lub w miarę wstrząsają. Pisarze nasi, noszą swoje tematy za pazuchą, na lewej piersi, z wyjątkiem Gombrowicza i Parnickiego, którzy swojej postawy pisarskiej nie legitymują talentem przez duże T lub małe, jak tego chce grono przyjaciół, a ich artyzm, to coś więcej niż duża litera alfabetu. Proza nasza przypomina mi czytanki dla dzieci, tak łatwo i tak wszechstronnie zadawala czytelnika swoim błyskotliwym szarżowaniem, w chwytaniu za najjaskrawsze farby stylistyczne, swoją mądrością z pogranicza banału, gdzie duży zmysł obserwatorski zdradza płyciusieńką jaźń. Pisarz współczesny to dobrze złożony aparat fotograficzny i to właśnie odbiera mu rangę prawdziwego pisarza.

Nie każdy może być Joycem, Kafką czy Gombrowiczem, ale nie można, celebrując własną ,,muzkę'', udawać że się nie dostrzega ich i mając za sobą tłumik własnych kucharek krzyczących — hurra — to wierne grono wielbicieli, których tak łatwo jest zadowolić, — budować na ich głosach i na ich krótkowzrocznych wymaganiach.

Literatura, jak każda inna gałąź wiedzy ma swoje osiągnięcia i konwencje. Nikomu nie przychodzi do głowy, by ubrać się w skórę lub worek i udać się pieszo lub końmi pocztowymi w odwiedziny, bo przecież mamy domy mody i samoloty, ale piszący, chętnie sięga po rekwizyty niedzisiejsze, korzysta z łatwizn stylistycznych i psychologicznych, buduje utwory w imię bezkrytycznych, za to licznych czytelników, piszących listy do redakcyj i domagających się łatwostrawnej literatury.

Są pisarze, jak Conrad, Dąbrowski czy Henry James, których wiedza o człowieku i powaga słowa łączą się dla nas w pewien nadliteracki autorytet. Ich nie obowiązuje żadna konwencja literacka, gdyż przewyższają ją ładunkiem moralnym i humanitarnym w swoich utworach, które nie tylko rozszerzają literaturę, ale również naszą wiedzę o życiu.

Ortega y Gasset w ,,The Modern Theme'' mówi: *Life, then, for each generation, is a task in two dimensions, one of which consists in the reception, through the agency of the previous generation, of what has had life already, e.g. ideas, values, institutions and so on, while the other is the liberation of the creative genius inherent in the generation concerned.* I to właśnie powiedzenie można odnieść do wymienionych wyżej pisarzy o rangach nieprzemijających.

Miłośnikom talentu Conrada przybyło ostatnio kilka ciekawych pozycji książkowych i wypowiedzi dziennikarskich. Wyjątkową publikacją są tu listy Conrada do Williama Blackwood'a i Dawida S. Meldrum'a, wydane równocześnie w Stanach i w Anglii.

Talent pisarski Conrada nie objawia się wcale w jego listach, które są dość schematyczne i rzeczowe, przypominające czasem korespondencję handlową. Dopiero na zarzut Blackwood'a, że firma na Conradzie traci finansowo, ten odpowiada mu listem z dnia 31 maja 1902 roku. Jest to chyba najpiękniejszy list Conrada, obrona pisarza któremu zarzucono ,,bezwartościowość''.

Conrad, jak zwykle nie miał szczęścia, a Blackwood nie zrobił na nim kariery wydawniczej. Krótkowzroczny wydawca, z pewnymi odruchami sympatii dla Conrada, naraziwszy firmę na drobne straty, nie mógł prawdopodobnie przebaczyć Conradowi, że między wydawcę a autora wcisnął się nagle agent literacki Pinker.

Mała książeczka Słonimskiego wydana w tym roku w Kraju przez Państwowy Instytut Wydawniczy, mówi również o Conradzie. Poziom całej książeczki jest wyjątkowo nikły, nie żarzy się w niej nawet iskierka talentu z jakim były pisane kroniki tygodniowe. Słonimski, znawca Anglii i współczesnych Conrada, nie ma nic ciekawego do powiedzenia na ten temat. Przypomina mi się w tym miejscu Gide, który nie wiem z jakich powodów uchodzi za wielbiciela Conrada. W jego ogromnym ,,Dzienniku'' zawierającym ponad 1300 stron, spotykamy zaledwie nieistotne notatki o Conradzie, a rok 1914, kiedy w plebiscycie literackim Conrad zajmuje drugie miejsce wśród pisarzy angielskich i pierwsze za najlepszą powieść roku, właśnie ten rok, kiedy Gide składa wizytę Conradowi, nie odbił się żadnym echem w jego dzienniku. Możemy na tym miejscu sprostować opinię o entuzjastycznym, według Gide'a, stosunku Claudela do Conrada. W korespondencji między tymi pisarzami, obejmującej 1899-1926, Gide kilka razy wspomina Conrada, na co Claudel odpowiada listem z dnia 9 stycznia 1912, twierdząc że Rosjanin pisząc ,,W oczach Zachodu'' dokonałby ogromnych rzeczy, natomiast Conrada temat ten nie poruszył. ,,Historia mozolnie wypracowana'' — według Claudela oto wszystko.

Wielki francuski pisarz nie wyczuł genialności Conrada. I nie on jeden. Wells w swojej autobiografii odnosi się do twórczości Conrada z tolerancyjną życzliwością, tak jak po wojnie odnosili się do Dipisów Anglicy. Ten nieczytelny już dziś i zmunifikowany autor, mówi w innym miejscu swojej autobiografii o Prouscie, który według niego jest mniej ciekawy od ,,lokalnej starej gazetki''.

Miłą niespodzianką jest piękny artykuł Marii Dąbrowskiej ,,Pożegnanie z Conradem'' w majowym numerze ,,Nowej Kultury'' jak również wnikliwie ,,wyszperany'' artykuł Ianty ,,Skąd fatalne dziedzictwo Conrada ?'' w ,,Wiadomościach'', oba, zdaniem moim, zasługujące na przetłumaczenie na obce języki.

Tematyka powieści Conrada jest dużo drugorzedna i obecnie nie rozpatruje się go jako autora powieści morskich. Jeżeli ktoś patrzyłby pod tym kątem na twórczość Conrada, to w takim razie musiałby mówić o Tołstoju jako o autorze powieści batalistycznych, a o Dostojewskim jako o **pisarzu kryminalistycznym.**

Wacław IWANIUK

Na ślepym torze

W nakładzie Instytutu Wydawniczego „Pax" wyszła pod koniec roku 1958 w Warszawie książka Stanisława A. Korwina pt. *Stosunki Polskie z Ziemią Świętą* (1) Książka ta poprzedzona została przedmową, prof. J. Mitkowskiego z Krakowa, zawierającą szereg kuszących obietnic. Ponadto autor sam napisał wstęp do niej, w którym praktycznie nieco osłabia obietnice prof. Mitkowskiego kwalifikując swoje dzieło jako niezupełne i niedociągnięte ze względu na utratę pierwotnego rękopisu w czasie wojny i rekonstrukcję z pamięci resztek dokumentów po 25 latach. Z przyczyn nieznanych autor, którego nazwisko brzmi Stanisław Pawłowski, ukrywa się pod przydomkiem Korwina.

Książka dzieli się na 17 rozdziałów, zakończenie, przypisy, bibliografię oraz pewną ilość ilustracji.

Z tych 17 rozdziałów na szczególną uwagę zasługują siódmy i ósmy oraz wszystkie od dwunastego do siedemnastego, zakończenie, przypisy bibliografię.

Książka Korwina jest historią stosunków pomiędzy Polską a Ziemią Świętą, a przynajmniej w ten sposób była niewątpliwie pomyślana. Autor postawił sobie a priori dwie tezy, z których pierwsza jest nawet interesująca, jakkolwiek niezupełnie oryginalna. Twierdzi on mianowicie, że Polska nigdy przedmurzem chrześcijaństwa nie była, że rolę tę spełniały właściwie Węgry. W jednym tylko wypadku Polska z przyczyn religijnych wystąpiła przeciw Półksiężycowi, a było to wtedy, gdy Sobieski ocalił Wiedeń. Całą politykę w stosunku do Turcji i Islamu cechowała, jakoby, rozwaga polityczna i brak ambicji odgrywania roli przedmurza. Udowodnieniu tej tezy poświęcił autor szczególnie rozdziały siódmy i ósmy, gdzie szeroko opisuje rolę Hieronima Łaskiego.

Drugą tezą autora jest, że Polska nie interesowała się nigdy, a w szczególności od roku 1918 aż do 1945, problemami Bliskiego i Środkowego Wschodu, a zwłaszcza problemem arabskim, a jedynie starała się wykorzystać rozpad imperium tureckiego, aby pozbyć się swoich Żydów. Tu daje autor sporo ciekawych szczegółów, ale wpada jednak w pewne kontradykcje.

Historia polskiej penetracji w Ziemi Świętej od XVI do XX wieku jest na ogół przedstawiona uczciwie. Niemniej nasuwają się następujące uwagi. Autor twierdzi naiwnie, że prześladowanie chrześcijan przez Turków w Libanie było „aktem samoobrony tureckiej przeciw zakusom Francji, zmierzającej do stworzenia w Libanie swojej bazy wypadowej". Podobnie motywuje prześladowanie Ormian w Turcji, nazywając ich uporczywie „Armeńczykami". Pisząc o wizytach licznych libańskich kwestarzy, którzy odwiedzili Polskę w ciągu XVIII i z początkiem XIX wieku, autor twierdzi, że w Libanie książąt nigdy nie było. Tymczasem Liban posiada szereg rodzin książęcych, (książęta nazywają się tu emirami, podobnie jak w całym świecie arabskim), a w chwili obecnej właśnie emir Fuad Szehab, potomek rodziny, która aż do połowy XIX wieku panowała pod protektoratem tureckim w Libanie, sprawuje funkcje

(1) *Stosunki Polskie z Ziemią Świętą* — A. Korwin „Pax", Warszawa 1958, str. 260 + ilustracje.

prezydenta Libanu. Nazwisko księcia Gazema brzmi faktycznie Hazem i być może wymowa Gazem jest konsekwencją deformacji rosyjskiej. Rodzina Hazemów jest rodziną szeików, mogących od biedy pretendować również do tytułu książątek, jako że szeikowie byli bądź duchownymi muzułmańskimi bądź szefami szczepów, często liczących po kilkadziesiąt tysięcy członków, a tytuł ich był w tym drugim wypadku dziedziczny. Szeików nazywa autor nie wiadomo dlaczego „szajchami". W wymowie popularnej arabskiej nazwa ta brzmi „szech".

O ojcu Jezuicie Maksymilianie Rylle, który dwukrotnie między rokiem 1836 a 1849 przebywał dłuższy czas w Libanie w charakterze delegata apostolskiego, zakładając tu zalążek obecnego Uniwersytetu OO. Jezuitów, Korwin informuje nas bardzo skromnie. A szkoda, bo była to jedna z najwybitniejszych i najbardziej kolorowych postaci polskich, działających na Środkowym Wschodzie. Pisze autor, że „Francja utraciła „ks." Ryłło (dlaczego nie Ryłłę ?) i jego współpracowników Polaków". Nie pisze jakich współpracowników, a wiadomo skąd inąd, że Ojciec Ryłło nie miał ich. Naprawdę nie szło zresztą w owym czasie o narodowość współpracowników, a natomiast o rywalizację pomiędzy polityką Watykanu a polityką Francji na Wschodzie.

W dalszym ciągu swej historii autor stara się zaprzeczyć opinii, że wizyta Słowackiego na Wschodzie nie znalazła żadnego odzwierciadlenia w jego twórczości. Jest to oczywiście nieprawda. Kapitalne jest dalej zdanie autora (str. 179), że Polacy w służbie tureckiej „pokryli Syrię pajęczyną drutów telegraficznych, z czego główną korzyść miało wojsko i żandarmeria turecka". Kilka wierszy dalej pisze autor „bardzo złą sławę satrapy sułtańskiego zostawił po sobie jakiś Pasza Czaykowski, gubernator Syrii w trzeciej ćwierci XIX w.". Idzie tu o syna Sadyka paszy, noszącego nazwisko Muzafar Pasza, który był nie gubernatorem Syrii, a gubernatorem Libanu i nie w trzeciej ćwierci XIX w., a w latach 1902-1907 i zmarł w Bejrucie właśnie w roku 1907. Oczywiście ani o Sadyku Paszy, ani o Emirze Rzewuskim, związanymi na zawsze z dziejami Arabów właśnie w Ziemi Świętej, Korwin nic nie wie, albo chyba nie chce wiedzieć.

W następnych rozdziałach autor podaje nam swoją definicję słowa „pielgrzyma" twierdząc, że „magnaci polscy pielgrzymami nie byli, gdyż zabierali ze sobą służbę, strzelby i ubrania tropikalne". W nomenklaturze zakonów, w których w owym czasie znajdowali się Polacy czy Polki, autor wykazuje fantazję, dającą się zakwalifikować tylko jako licencja nieuka.

Całość roi się zresztą od wypowiedzeń dowodzących niedostatecznej orientacji historycznej oraz braku głębszej znajomości historii dyplomacji. Jakkolwiek np. twierdzenie, że polityka państw Zachodu, które wzajemnie przeciw sobie jątrzyły w Ziemi Świętej, doprowadziła ostatecznie do wykrystalizowania się poczucia jedności arabskiej, jest słuszne, to opis powstania państwa żydowskiego w Palestynie w roku 1948 oraz poprzedzającego go okresu osadnictwa żydowskiego jest całkowicie fantastyczny.

O sieci konsulatów polskich w Palestynie pod odzyskaniu niepodległości autor wyraża się zdecydowanie negatywnie, podobnie zresztą jak o sieci duszpasterstwa polskiego w ciągu dwudziestolecia Polski Niepodległej. Twierdzi on, dalej z absolutną nieznajomością przedmiotu, że świat arabski pozostał dla uchodźstwa polskiego światem nieznanym, odgrodzonym szczelnym murem i że tak samo było w Turcji, Egipcie Rodezji oraz Iranie.

Przypisy do książki są na ogół bez błędu. Bibliografia natomiast jest uboga, a przy tym dosłownie kompromitująca. Autor całkowicie niemal pomija

prace, o Bl. Wschodzie, które powstały w Polsce w czasie dwudziestolecia a już za święconą wodę uważa bardzo bogatą literaturę o Ziemi Świętej i krajach arabskich, powstałą w czasie uchodźstwa. Prace prof. Kościałkowskiego, ks. dr. Kantaka, W. Bączkowskiego, Raykowskiego, Miłoszewskiego oraz całej plejady autorów, którzy pisali w ciągu ośmiolecia istnienia szkolnictwa polskiego w Palestynie, cała seria wydawnictw instytutu „Reduta", JWSW oraz Instytutu Polskiego w Bejrucie i Instytutu „Cedr i Orzeł", są całkowicie nieznane autorowi. Jest to tym dziwniejsze, że książka Korwina dubluje w dużym stopniu dzieła prof. St. Kościałkowskiego o Bl. Wschodzie, a w szczególności jego pracę pt. *Polacy a Liban i Syria w toku dziejowym*, wydaną nakładem „Reduty" w Bejrucie w r. 1943, a więc 8 lub 9 lat przed jego opracowaniem.

Jeśli idzie o ilustracje załączone do książki, co do których autor robi uwagę, że dostarczone zostały przez „poselstwo Izraela" w Warszawie, oraz przez pewne biblioteki polskie, to są one po największej części anachroniczne. Załączone mapy, również chyba dostarczone przez poselstwo izraelskie, włączają Liban do Syrii, a nomenklatura miejscowości na nich jest nie arabska.

•

Podobnie jak swego czasu czytając książkę rzekomego Gdańskiego o „Polsce i Środkowym Wschodzie", (omówioną w swoim czasie w „Kulturze") trzeba stwierdzić i w tym wypadku, że niektórzy autorzy krajowi biorą się do rzeczy nie dość sobie znanych. Nie wystarczy chyba odwiedzić Palestynę w roku 1932, aby pisać o Ziemi Świętej w roku 1958.

Zygmunt ZAWADOWSKI

Przyjaciel Polski

W gronie amerykańskich przyjaciół Polski jedno z poczesnych miejsc zajmuje William Henry Chamberlin. Jest on pisarzem i publicystą, czołowym felietonistą politycznym dziennika *Wall Street Journal* i małego, ale wpływowego, tygodnika *New Leader*, organu, w którym połowa autorów to profesorowie czołowych uniwersytetów amerykańskich.

W czasach teherańsko-jałtańskich, gdy poważna część amerykańskiej opinii publicznej entuzjazmowała się wszystkim co sowieckie, Chamberlin odważnie demaskował brutalność i przewrotność systemu komunistycznego. W czasie, gdy za nieprzyzwoitość intelektualną uważano jakąkolwiek krytykę polityki Stalina, Chamberlin, piętnował jego dawne zbrodnie i ostrzegał przed nowymi zakusami. Jeden z pierwszych odrzucił on Jałtę, jako błąd, za który Stany Zjednoczone drogo będą musiały zapłacić w niedalekiej przyszłości. Na szalę tej walki Chamberlin rzucił cały swój prestiż autora kilkunastu poważnych książek o Sowietach. Jest on bowiem, między innymi, autorem dwutomowej monumentalnej historii rewolucji rosyjskiej. Książka

ta, wydana w roku 1935, owoc wieloletnich badań archiwalnych i dwunastoletniego gromadzenia materiału z pierwszej ręki, to do dziś najlepsza praca tego rodzaju, podręcznik używany przez wiele uniwersytetów, swego rodzaju klasyk. Inna czołowa książka Chamberlina, *Wiek Żelazny Rosji* (*Russia's Iron Age*), to historia kolektywizacji i uprzemysłowienia, dzieje pierwszej pięciolatki sowieckiej, przedstawione z bezstronnością godną naukowego obserwatora wielkiej metamorfozy.

Swe rozczarowanie do doktryny i praktyki komunistycznej Chamberlin opisuje w książce pod tytułem *Ewolucja konserwatysty* (*The Evolution of a Conservative*), wydanej przed kilku miesiącami w Stanach przez firmę Henry Regner w Chicago. Swą ewolucię od komunizmu do liberalnego konserwatyzmu przypisuje Chamberlin dwunastoletniemu pobytowi w Sowietach. ,,Nigdy przypuszczalnie nie doceniłbym znaczenia konserwatyzmu (pisze Chamberlin), gdybym jako młody, nieznany pisarz, nie zdecydował się w roku 1922 na wyjazd do Moskwy. W tym czasie, chociaż nie należałem do partii komunistycznej, byłem przekonanym sympatykiem reżymu sowieckiego, oddanym fellow-travellerem. Wyjeżdżałem do Moskwy nie w nadziei korzyści materialnych, lecz raczej jak Muzułmanin, który udaje się na pielgrzymkę do Mekki. W tym czasie moja żona, urodzona w Rosji, podzielała moje poglądy i mój entuzjazm... W dwanaście lat potem (spędzonych w charakterze korespondenta szeregu czołowych pism amerykańskich) opuszczaliśmy Moskwę z zupełnie zmienionymi poglądami na praktyczne znaczenie komunizmu; umysły nasze były pełne niezapomnianych obrazów okrucieństw popełnionych na naszych oczach na ludziach, których znaliśmy, oraz na niezliczonych milionach istot nieznanych".

I te lat dwanaście zadecydowało o ukształtowaniu się poglądów Chamberlina. ,,Byłem zapalonym radykałem w wieku lat dwudziestu, jestem przekonanym konserwatystą w wieku lat sześćdziesięciu", tak formułuje swą obecną postawę Chamberlin. Ale konserwatyzm jego odrzuca tradycyjną definicję tego pojęcia jako przeciwstawienia wszelkim zmianom. Konserwatyzm to zachowanie tego wszystkiego co przeszło próbę czasu, a ograniczenie zmian do tych, które mają uzasadnienie w istotnych potrzebach człowieka, jednostki. Człowiek, jego godność, jego szczęście, jego dobrobyt — oto kryteria polityki konserwatywnej, polityki, która szanuje i ceni wolność ponad równość. Cóż warta jest równość niewoli, równość nędzy ?

Konserwatyzm Chamberlina jest pokrewnym konserwatyzmowi ekonomisty, profesora Hayek'a, autora *Drogi do pańszczyzny* (*The Road to Serfdom*). Poglądy Chamberlina bliskie są poglądom innego ,,clark'a", profesora Viereck'a, którego błyskotliwa a odważna książka *Nowe spojrzenie na ideę konserwatywną* (*Conservatism Revisited*) była sensacją intelektualną Ameryki przed kilku laty.

Konserwatyzm tego typu odrzuca zarówno reakcyjne poglądy takich myślicieli szkoły zachowawczej jak Donal lub de Maistre, czy też pseudokonserwatyzm typu faszystowsko-rasistowskiego, poglądy, które nie mają nic wspólnego z liberalnym konserwatyzmem nowoczesnego typu. Faszyzm, pisze Chamberlin, czy to typu niemieckiego czy włoskiego, ma wszelkie cechy ruchu rewolucyjnego : brak poszanowania dla indywidualnej wolności i często także dla indywidualnego prawa własności, nacisk na nowość, brak respektu dla rozumnie pojętej tradycji, a wreszcie dążność do skoszarowania jednostek, do stupajkostwa, do tego co się u nas nazywa popularnie ,,za-

mordyzmem". Słowem, konkluduje Chamberlin, faszyzm jest znacznie bliższy komunizmu niż zachodnio-liberalnego konserwatyzmu. Faszyzm i komunizm to, w gruncie rzeczy, syjamscy bracia.

Nowoczesny konserwatyzm, choć pokrewny liberalizmowi, wyrzekł się niektórych charakterystycznych cech dziewiętnastowiecznego liberalizmu, szkoły manchesterskiej, przede wszystkim kultu ,,świętego", ,,nienaruszalnego" prawa indywidualnej własności. Tym niemniej uważa on, w 5 lat za Edmundem Burke, że nie ma wolności bez pewnego minimum własności prywatnej. Własność prywatna to nie tylko wartość materialna lecz i duchowa, moralna, wychowawcza. To podstawowa gwarancja niezależności od wszechwładnego państwa nowoczesnego, które nawet w swej demokratycznej formie przejawia często niebezpieczne tendencje totalne. Zresztą jak to udowadnia prof. Talmond z Tel-Avivu w swej wnikliwej analizie. *Geneza totalitarnej demokracji* (*The Origins of Totalitarian Democracy*), korzenie wszechwładzy państwa współczesnego wyrastają z pnia demokratycznej w zasadzie doktryny ,,woli większości" Jana Jakuba Russa.

Ale Chamberlin nie jest obrońcą ani ani nieograniczonej wolności, ani też bezwzględnego prawa własności : obie mają służyć człowiekowi, jednostce by ochronić ją przed wszechwładzą kolektywu, przed machinacjami wszelkiego rodzaju partii, klik, czy mafii, co pod pretekstem zbawiania człowieka chcą go zamienić w niewolnika.

W felietonie politycznym, który William Henry Chamberlin co drugi tydzień ogłasza w tygodniku *The New Leader*, sprawy Europy ujarzmionej, a szczególnie Polski, pojawiają się chyba częściej niż jakikolwiek inny problem. I zawsze traktowane są ze szczerą sympatią i głębokim zrozumieniem. To samo zrozumienie spraw Europy Wschodniej przebija i z jego książek. Mało jest publicystów amerykańskich, którzy mogliby się porównać z Chamberlinem w znajomości spraw tego rejonu.

M. K. DZIEWANOWSKI

Nadesłane nowości wydawnicze

LERSKI (Jerzy J. dr.). *Four periods of Poland's Post-war Literature.* Str. 30. (Wyd. Pakistan Committee for Congress for Cultural Freedom, Karachi, 1959).

SLAVUTYCH (Yar). *Oasis.* Selected Poems. Przekład z jęz. ukraińskiego Morse Manly przy pomocy autora. Przedmowa J.B. Rudnyćkiego z Manitoba University. Str. 64. (Wyd. Vantage Press, New York, 1959, cena dol. 2,50).

CZAPSKI (Emeric). *Documents polonais aux archives de la famille Este à Modena.* Str. 35. (Wyd. Rzym, 1959).

Krasiński żywy. Książka zbiorowa, wyd. staraniem Zw. Pisarzy Polskich na Obczyźnie z okazji 100-letniej rocznicy śmierci poety. Redaktor: Władysław Guenther. Książka zawiera fragment niepublikowanej pracy I. Chrzanowskiego pt. „Życie i twórczość Zygmunta Krasińskiego" oraz eseje 19 pisarzy i uczonych emigracyjnych. Str. 320 i 12 wkładek kredowych. Obwoluta Z. Turkiewicza. (Wyd. B. Świderski, Londyn, 1959, cena egz. broszurowanego 30 sh., w oprawie 35 sh.).

BARNETT (A. Doak). *Communist Economic Strategy*. The Rise of Mainland China. Str. 106. (Wyd. National Planning Association, seria The Economics of competitive coexistence, 1959, cena dol. 2,50).

HLYBINNY (Ul.) *Vierzig Jahre weissruthenischer Kultur unter den Sowjets. Monografia*. Str. 148. (Wyd. Institut zur Erforschung der UdSSR, Monachium, Seria I., Nr 55, Czerwiec 1959).

SLAVUTYCH (Yar A.M., Ph. D.). *Conversational Ukrainian I*. Przedmowa O. Starchuk z University of Alberta. Do użytku szkół w Alberta (Canada). Str. 368. (Wyd. Gateway Publishers, Ltd., Edmonton-Winnipeg, Canada 1959).

Poland in the British Parlament 1939-1945. Vol. II: Fall 1941-Spring 1944. Compiled and editet by Wacław JĘDRZEJEWICZ, Professor of Slavic Studies Ripon College. Str. 607. Z bibliografią i indeksem nazwisk. (Wyd. Józef Piłsudski Institute of America for Research in Modern History of Poland, Inc., New York 1959, cena dol. 10).

WYDAWNICTWA UKRAIŃSKIE

POŁTAWA (Leonid). *Neskinczennyj bij*, R.B. 1.59. Str. 16. (Wyd. Spilka Ukrainskoji Mołodi na Czużyni).

HORBACZ (Ołeksa). *Argo ukraińskich lirnikiw*. Str. 44. (Muenchen, 1957).

HORBACZ (Ołeksa). *Ukraińsko-Morśka i Sudnopławna terminolohia*. Str. 29. (Wyd. Bratstwa Koł. Wojakiw I UD. UNA, Muenchen, 1958).

HORBACZ (Ołeksa). *Ukraińsko-polśki wzajemyny w literaturi*. Str. 16. (Wyd. Muenchen, 1959).

ZWYCZAJNA (Ołena). *Strach*. Roman. Tom. II. Str. 420. (Wyd. Ukraińska Wydawnycza Spiłka. Londyn, 1958).

HONCZARENKO (Iwan). *Kochania i odrużennia*. Str. 84. (Wyd. „Ukranśki Wisti", Neu-Ulm, 1959).

Dokument Sudowej Pomyłki. Proces Szwarzbarda. Str. 151. (Wyd. Nacionalistyczne Wydawnyctwo w Europi, . Paryż, 1958).

More i Muszla. Antołohia Europejskoji Poezji. Perekłady M. Oresta. Str. 144. (Wyd. Instytut Literatury, Muenchen, 1959).

SZACH (Stepan). *Lwiw. Misto mojeji mołodosty*. Czast. III. Str. 362. (Wyd. „Chrystyjanskyj Hołos", Muenchen, 1956).

HRYSZKO (Wasyl). *Mołoda Ukraina porewolucyjnoho sorokolittia pid Sowietamy*. Str. 224. Neu Ulm, 1958).

ODRACZ (Fedyr). *Powstanok za sełom*. Opowidania. Str. 290. (Wyd. Julian Seredniak, Buenos Aires, 1959).

MIECZNIK (S.). *Pid trioma okupantamy*. Str. 208. (Nakł. Ukraińskoji Wydawnyczoji Spiłky, London, 1958).

KOSTECKYJ (Ihor). *Wybranyj Garcia Lorka*. Poezia, proza, drama. Str. 131. (Wyd. „Na Hori", Neu-Ulm, 1958).

Listy do Redakcji

Do Redakcji „Kultury",

...Nie ma żadnej państwowej polityki zagranicznej Związku Radzieckiego, jest tylko globalna polityka międzynarodowego komunizmu ; nie ma żadnej Polski Ludowej, jest tylko, pod tą nazwą, część składowa wszechświatowego systemu komunistycznego ; nie ma żadnej „własnej drogi do socjalizmu", jest tylko leninowski kamuflaż dla skuteczniejszego scementowania tego systemu. (Ostatnio świetnie sprecyzował stan faktyczny Ryszard Wraga, w swoim odczycie na konferencji naukowej monachijskiego Instytutu do Badań ZSSR). — Namacalnym sprawdzianem prawdziwego stanu rzeczy jest dziś centralnie kierowane parcie komunizmu od Laosu do Berlina, od Korei do Iraku czy Albanii, od Pakistanu do Finlandii. Juliusz Mieroszewski namawia mnie, bym na tę prawdę zamykał oczy, ponieważ wszyscy na nią zamykają oczy. Jego zdaniem nie istnieje realna możliwość uprawiania innej polityki poza tą, jakiej chcą wszyscy. Osobiście nie uprawiam żadnej polityki ; ponieważ nie zamierzam jednak w biały dzień zamykać oczu, przeto pozwalam sobie twierdzić, że tzw. „realna" polityka typu XIX i początków XX wieków w stosunku do Rosji, z chwilą gdy na jej miejscu powstał Związek Radziecki, a zwłaszcza po drugiej wojnie, gdy zamiast Związku Radzieckiego mamy już do czynienia ze światowym systemem komunistycznym — jest właśnie najbardziej nierealną, bez względu na to czy uprawiają ją wszyscy, czy nie wszyscy. Pozostaje bowiem w płaszczyźnie państwowej, narodowej — podrzędnej, podczas gdy polityka światowego systemu komunistycznego leży w płaszczyźnie ponad-państwowej, ponad-narodowej, czyli — nadrzędnej. W danym więc wypadku stare normy i pojęcia polityczne utracają rację bytu, są przestarzałe, zwietrzałe, są anachronizmem.

Powodem niniejszej polemiki stał się mój odczyt na Zjeździe Bałtyckim w Lüneburgu, z udziałem Litwinów, Łotyszów, Estończyków i Niemców przedrukowany następnie w formie artykułu w czasopiśmie „Ostbrief", organie luneburskiej akademii wschodniej. Mieroszewski w „Kulturze" z września 1959, wystąpił przeciwko tezom zawartym w moim artykule, jednakże w ujęciu mogącym wprowadzić w błąd czytelnika „Kultury"; przytaczając bowiem wiele argumentów z własnych artykułów, z mego nie zacytował prawie nic, a i to w kontekście odbiegającym od właściwego sensu moich wypowiedzi. Dlatego zmuszony jestem prosić redakcję „Kultury" o zamieszczenie niniejszej polemiki.

◆

Z tego co napisał Mieroszewski może wynikać, jakobym zabrał głos konkretnie w sprawach stosunków polsko-niemieckich w ogóle, a Odry i Nysy w szczególe. W rzeczywistości wręcz przeciwnie : mnie sprawa

stosunków polsko-niemieckich jako taka, zupełnie nie interesuje ; dopóki wschodnia Europa znajduje się pod jarzmem komunistycznym, stanowią one tylko podrzędną cząstkę całości zagadnienia. Osobiście czuję się w tej chwili przede wszystkim przynależny do wschodniej Europy, a dopiero na drugim miejscu do określonego narodu. Z punktu humanistycznego stanowisko to wydaje mi się słuszne. W ten sposób nie może mnie też interesować sprawa granicy polsko-niemieckiej, gdyż w moim przekonaniu rzeczy tej nie ma. Po pierwsze dlatego, że wolne państwo niemieckie nie graniczy z Polską ; po drugie dlatego, że wolna Polska nie istnieje ; po trzecie dlatego, że Odra i Nysa stanowią w tej chwili jedynie rozgraniczenie dwóch członów tego samego światowego systemu komunistycznego, dwóch prowincji administracyjnych, z których jedna nosi dowolną nazwę ,,Niemieckiej Republiki Demokratycznej", a druga ,,Polski Ludowej". Nie interesuję mnie również sprawiedliwość lub niesprawiedliwość tej linii granicznej w przyszłości, gdyż spór o to leży w sferze hierarchicznie podrzędnej, wobec nadrzędności problemu : jak uzyskać wolność, która jedynie stworzyć może realne warunki do rozporządzenia realnymi granicami.

Natomiast interesuje mnie absurdalna atmosfera wytworzona wokół tego sporu. Absurdalna dlatego, że przedstawiciele dwóch narodów, z których jeden znajduje się całkowicie, a drugi w połowie w niewoli wspólnego wroga, zamiast się porozumieć — walczą ze sobą o rzecz de facto przez nich nierozporządzalną, na której istnienie lub nieistnienie nie mają żadnego wpływu. Jednocześnie jednak ta atmosfera, ten nierealny spór, stanowią jedną z głównych przeszkód na drodze do zespolenia wspólnych interesów wszystkich narodów podbitych przez komunizm, w ich dążeniu do wyzwolenia. Podobnie jak przeszkodę stanowią takie spory jak : polsko-litewski o Wilno, białorusko-ukraiński o Polesie, polsko-ukraiński o Lwów, ukraińsko-tatarski o Krym, czy kozacki o Doniec ; spory : besarabski, karpato-ruski, kaukaski, sudecki itd. itd. łącznie z wielkorosyjskim. Już z tego wynika, że moje poglądy zgodne są z poglądami Mieroszewskiego, że antykomunistyczne emigracje są dziś przede wszystkim nacjonalistyczne. Różnica polega jedynie w tym, że Mieroszewski zdaje się na ten stan rzeczy godzić, podczas gdy ja chciałbym go zmienić, wykazując błędność podsycania sporów nacjonalistycznych, które w danej chwili, rozpraszając wspólny interes wolnych ludzi, działają jedynie na korzyść wspólnego nieprzyjaciela.



Zupełnie zaskakujące natomiast jest twierdzenie Mieroszewskiego, że :

,,...Warunki niemieckie kierowane pod naszym adresem są identyczne jak warunki rosyjskie. Oddać jedną trzecią terytorium, a w Warszawie ukonstytuować ,,friendly government". Obaj sąsiedzi widzą nas zawsze w perspektywie satelickiej...".

W ciągu pięciu lat pobytu w Niemczech nie spotkałem się ani razu z takim poglądem ze strony jakiegokolwiek ugrupowania lub osób pojedyńczych, czy nawet sugestii podobnego rodzaju. Widocznie Mieroszewski czerpał swe informacje ze źródła niedostępnego nawet Cyrankiewiczowi. Gdyż ten, wyliczając w mowie z dnia 1 września 1959 wszystkie przewidzenia Adenauera, wymienił w tej sprawie tylko :

,,...chciałby pan Adenauer, aby naród polski wrócił do swej sytuacji w roku 1939...".



Mieroszewski cytując mój artykuł przedstawia sprawę tak, jakobym nie dostrzegał, że i niemiecka polityka kieruje się również tak zwaną

„realną polityką" starej szkoły. Tymczasem ja właśnie na fakt ten zwróciłem specjalną uwagę. Krytykując „realną" politykę Mieroszewskiego w jego znanej wypowiedzi, że: „naszym celem nie może być rozbicie Związku Sowieckiego ani likwidacja komunizmu na wszystkich kontynentach globu... — (z czego wywód, że za cenę polskich interesów gotów jest pogodzić się, aby pod jarzmem komunistycznym pozostali nadal Litwini, Białorusini, Ukraińcy itd. itd.) — zadałem pytanie:

„...Dlaczego jednak Niemcy mają myśleć mniej „realnie"? Którzy przecie posiadają ku temu więcej danych niż Polacy?... Gdzie mamy gwarancje, że z chwilą gdy granica na Odrze i Nysie przesunięta będzie na wschód nie przeistoczy się ona w trwałą i mocną granicę „koegzystencji" z blokiem komunistycznym? Czy nie będzie to dla wschodniej Europy jeszcze o wiele gorzej?... Otrzymuję pewne publikacje niemieckich wysiedleńców, z których zdaje się wynikać wyraźne nastawienie: skierowane nie tyle przeciwko komunizmowi, nie tyle przeciwko Sowietom, co jednostronnie przeciwko Polsce. Gdy np. Chruszczow wypowie się w sprawie Odry i Nysy, a następnie ukaże się o tym komentarz warszawski, czytamy w tych publikacjach mniej więcej w tym sensie: „No już tam, panowie z Moskwy na pewno tak źle tego nie rozumieli. To tylko źli Polacy w Warszawie i na emigracji, którzy fałszują istotny sens wypowiedzi poczciwego Chruszczowa"... Mnie nie interesuje w tej chwili stosunek do Polski, lecz ogólne polityczne ujęcie, które wydaje się charakterystyczne, a które powiada: „Jeżeli Polacy nie chcą, to my będziemy robili z Sowietami"... Być może z punktu widzenia tzw. „realnej" polityki można ją nazwać „rozsądną". Wątpię jednak by ze stanowiska myśli europejskiej można ją nazwać właśnie: „europejską"... Mówi się dzisiaj dużo o zjednoczonej Europie. Załóżmy jednak że jutro otrzymują Niemcy z ręki komunistów — a to jest jedyna ręka, która decyduje — nie tylko połączenie, ale w dodatku ziemie za Odrą i Nysą, albo zgoła granice z roku 1914. Czy wtedy „rozsądni politycy realni" nie osiągną absolutnej przewagi, kwitując „utopiczne" plany zjednoczonej Europy li-tylko pobłażliwym uśmiechem? Czy nie powiedzą wtedy: „No tak, to jest naturalnie pożałowania godne, że Polacy i inne narody wschodnie pozostać muszą pod jarzmem komunistycznym, ale przecież z tego powodu nie będziemy sobie psuli dobrosąsiedzkich stosunków z Sowietami! To byłoby z punktu realnej polityki jawnym nonsensem!"...

Na pytanie to nie otrzymałem ze strony niemieckiej dotychczas żadnej odpowiedzi. Mieroszewski pomija je również milczeniem. Natomiast dostatecznie wyraźnie powiada, że dla realnej polityki — „granice są ważniejsze od wolności". Za postawienie tej kropki nad „i" należy się Mieroszewskiemu uznanie. Miał odwagę bowiem wypowiedzieć jasno to, czego dotychczas nie odważył się wypowiedzieć żaden z emigracyjnych polityków tej samej szkoły. Że mianowicie woli, aby Polska była komunistyczna z Odrą i Nysą, niźli wolna bez nich. W tym punkcie zgłaszam właśnie swoje zasadnicze votum separatum. Gdyż cenię więcej wolność niż granice.

Tyle na temat mego artykułu.



Pragnąłbym jednak przy okazji dotknąć innego aspektu, jaki poruszył Mieroszewski. Rozpracowując swój ulubiony temat „realnej polityki" i proporcji sił, pisze m.in.: „Gdy się dysponuje tylko wiatrówkami..." — Otóż przypuszczam, że gdyby nasi ojcowie, tzn. stary Mieroszewski i stary Mackiewicz, znaleźli się byli obok siebie w tłumie widzów obserwujących carską rewię wojsk, mogłoby dojść między nimi do wymiany następujących

myśli : ,,I oto, łaskawy Panie, są wariaci, którzy głoszą że ich celem jest rozbicie takkkiej potęgi ! dysponując bębenkowymi rewolwerami !...". — Zakładam, oczywiście teoretycznie możliwość takiej wymiany poglądów, gdyż nie wiem jakie były starego Mieroszewskiego. Natomiast faktem jest, że średnie społeczeństwo XIX i początków XX wieku, traktowało rewolucjonistów i ,,socjalistów" za rodzaj niemytych wariatów o rozczochranych włosach. W istocie jednak, mimo iż wiek XIX w zestawieniu z czasami dzisiejszymi, był złotym wiekiem indywidualizmu, należeli oni niewątpliwie do ,,postępu', do ,,awangardy" różnego pokroju, bez względu na głoszone przez nich doktryny polityczne. Bo nie doktryny stanowią o postępie — mogąc sprowadzić na ludzkość nawet nieszczęście ! — a sam fakt wzruszenia zaskorupiałej powierzchni myślowego status quo. I zawsze większość (,,wszyscy") w taką możliwość nie będzie wierzyć. Gdyby jeszcze wiosną 1914 ktoś powiedział, że za pięć lat banknotami sturublowymi będą się bawić dzieci w piasku, zawezwano by doń lekarza psychiatrę.

Dziś powierzchnię zastałej sadzawki zakłamania ludzkiego pokrywa o wiele grubsza warstwa pleśni niż kiedyś. Dlatego, że zakłamanie to przybrało nienotowane przedtem rozmiary ,,demokratycznych", ,,socjalistycznych" masówek. Dziś rewolucjoniści na państwowych pensjach, czy socjaliści na rządowych subwencjach, dotacjach i subsydiach z tej i tamtej strony, nie należą do ,,awangardy" czy ,,postępu", a przejęli rolę dawnych błagonadiożnych poddanych. Dziś postępu nie tworzą ani najobrzydliwszy z nacjonalizmów ,,nacjonał-komunizm", ani ćwierć-, pół-, czy trzyćwierci ugodowców, kompromisowiczów, koegzystencjonalistów, fellow-travellerów i poputczków ; ani tym bardziej szczytowe upodlenie godności ideowej w postaci ,,postępowych-katolików", ani oczywiście ,,realni politycy", bo ci tradycyjnie zresztą, każdy postęp raczej hamowali. Dziś jedyną autentyczną ,,rewolucją" jest — kontrrewolucja. A postęp i ,,awangardę" myśli reprezentują pozbawieni wsparcia, wyśmiewani, biedni i... szkalowani — kontrrewolucjoniści. To znaczy tacy ludzie, którzy wbrew ,,realnej" polityce, usiłują zmącić ową pleśń na zastygłej, odindywidualizowanej powierzchni życia ; którzy chcą obalić zwietrzałą rewolucję masowego łgarstwa, monotonną jak deszcz i szarą jak nuda.

Naturalnie, iż jest to zadanie dziś niewspółmiernie trudniejsze niż było w czasach, gdy Gorkij pisał : ,,Człowiek, to brzmi dumnie !" — A jednak, myślę, że zadanie warte życia. Bo cóż po nim, jeżeli ma się odbywać wyłącznie za pociśnięciem guzika i według instrukcji socjalistycznego, lub nawet narodowego kolektywu.

Józef MACKIEWICZ

◆

Do Redaktora ,,KULTURY"

Ten numer ,,Wiadomości", o których chcę słów kilkoro (nr 703) wylądował na moim biurku równocześnie z sierpniowym zeszytem paryskiej ,,Kultury". Ponieważ ,,Wiadomości" to ,,dom", a ,,Kultura" to ,,goście" — najpierw zerknąłem do ,,Kultury". Oczywiście Dziennik Gombrowicza. Jest to pisarz nieznośny, w najwyższym stopniu irytujący, chorobliwy egocentryk (który co gorsza ukuł sobie z tego egocentryzmu tzw. ,,gimmik", słowo po polsku nieprzetłumaczalne, bo ani ,,znak fabryczny", ani ,,sposobik" nie oddają mu sprawiedliwości) a równocześnie

tak zdolny, że mając kilka piór do wyboru, bierze się go na pierwszy ogień. To — jeśli chodzi o ,,Dziennik". Z powieściami sprawa inna. ,,Trans-atlantyk" przeczytałem w wydaniu krajowym, stosunkowo niedawno i jeszcze dzisiaj zipię ze zmęczenia. Styl własny — Jezus Maria — własny to on jest : (choć zdumiewająco łatwy do naśladowania), ale gdyby wszyscy tak pisali, ręczę, że czytelnicy polscy gremialnie znaleźliby się w domu dla obłąkanych. ,,Trans-atlantyk" to nie przejażdżka okrętem, to ciężka orka z chorobą morską w środku. O tezach tej powieści zamilczę, choć wydanie krajowe opatrzone jest wstępem autora, w którym tenże przestrzega czytelnika przed traktowaniem powieści zbyt płytko i beletrystycznie, gdyż jest to głęboko alegoryczne, transcendentalne (i oczywiście trans-atlantyckie) dzieło. *Fiat voluntas tua !*

Otóż we wspomnianym zeszycie ,,Kultury" Gombrowicz z zajadłością godną lepszej sprawy (czy aby nie własnej ?) wypuścił zagon hajdamaków w stronę ,,Wiadomości" i pana Grydzewskiego. Tu z góry zaznaczyć muszę, że z panem Grydzewskim miałem niejeden kłopot i niejedną utarczkę, to nasze poglądy na poezję, zwłaszcza tę najbardziej nowoczesną nie zawsze się pokrywają, gdyż on, starzec, broni i drukuje poetów syntetycznych, surrealistów i jak im tam jeszcze, a ja, młodzieniec, wybrzydzam się na takowych (z wyjątkiem jednego Różewicza). Jeśli zaś chodzi o prozę, zwłaszcza tę z żyłką publicystyczną — moja z panem Grydzewskim znajomość usiana jest trupami rękopisów niżej podpisanego. Nie znaczy to jednak, że hajdamacki zagon Gombrowicza powitałem ze złośliwą radością. Nie lubię wszelakiej dziczy, nie lubię zapienienia, które jak wiadomo źle wpływa na instrumenty optyczne zapienionego, i w młodym będąc wieku, ale w Anglii mieszkając od lat 20-tu, cenię sobie umiar.

,,Panowie, to nie zemsta" pisze Gombrowicz (za co ? ach za co ?) — ,,ani drobna rozgrywka czysto osobista, to po prostu szczere moje przekonanie, że ,,Wiadomości" niespostrzeżenie stają się kulą u nogi duchowi polskiemu na emigracji". Duchem jeszcze nie jestem, ale obmacuję nogę pod biurkiem — rzeczywiście łańcuch jest, niespostrzeżenie przebieram ogniwo po ogniwie i proszę bardzo — znalazłem ! Leży ta kula na biurku, tuż obok ,,Dziennika" Gombrowicza — przepyszna kula z rozkosznie prostym, dowcipnym i barwnym opowiadaniem Zdzisława Czermańskiego ,,O Panu Paderewskim i o Montparnasse'ie". Trzy strony ilustrowane rysunkami autora, przepyszny biały kruk polskiego dziennikarstwa, ostatnie słowo smaku, szczyt kultury literackiej, plastycznej, redaktorskiej, zecerskiej. I ten obrzydliwy, skostniały, robaczywy, pewnie szalony (że użyję ulubionego zwrotu gombrowiczowego) Grydzewski taką nam ,,kapliczkę" za 2 sh. 9 d. postawił.

Bo : (cytuję) ,,dziś ,,Wiadomości" to kapliczka, muzeum, stowarzyszenie wzajemnej adoracji, katalog, album zasuszonych pamiątek, pamiętnik, cmentarz, herbarz, kącik filatelistów, czy też bilardzistów...". Bagatela ! I jakoś przykro człowiekowi to czytać bo ostatecznie nagrzeszyło się tymi wierszami w ,,Wiadomościach" niemało, a tu już z człowieka robią trupa, znaczek pocztowy, a już co do tego kija bilardowego to pan Gombrowicz z całą pewnością przesadził. Ale co tam ja, detal (mój gimmik p. Gombrowicz inny niż pana) ale cała poezja emigracyjna podpada pod te same smętne kategorie, boć cała drukowana jest w ,,Wiadomościach", gdzie indziej gościny (z bardzo małymi wyjątkami) nie mając. Jeśli poezję uznać za przejaw życia duchowego emigracji (na ten temat oczywiście można się spierać) to zdolny (ach, pewnie szalony) watażka Gombrowicz zagalopował się trochę, rąbiąc na odlew, że ,,Wiadomości" nic dla ducha polskiego na emigracji nie zdziałały.

Ale miało być pisane o numerze z Paderewskim, a schodzi ciągle na Gombrowicza. Taka już widać ,,siła fatalna" tego witriolisty. A w ogóle to wszystko woda na jego młyn, bo lubi kiedy koło jego osoby szum robić, nawet taki mały kameralny szumek emigracyjny. Lubi, ale już mu to właściwie niepotrzebne, bo jak pisze w ostatnich słowach swego dziennika : ,,wypłynęłem już na szersze wody". Wiem, wiem : ,,Trans-atlantyk", Czytelnik, nakład 10250 egz. Na obwolucie błazen w biało-czerwonym wdzianku, z szabelką w dłoni. Tylko że szabelka nie zmieściła się już na froncie i wypadła z tzw. ,,d... strony" albo jeżeli kto woli na plecach tej powieści. I już ciśnie mi się pod pióro dowcip o ,,nożu w plecy", ale nie — to by było niesprawiedliwe i krzywdzące i hajdamackie. Mam tę książkę na półce, mam i winszuję ,,wypłynięcia". Szczęśliwej podróży !

I winszuję Grydzewskiemu 703-go numeru ,,Wiadomości". Przecież zasadniczo o nim miała być mowa. Tymczasem ten Gombrowicz...

Jan ROSTWOROWSKI

◆

Londyn, dnia 11 września 1959 r.

Szanowny Panie Redaktorze,

W wrześniowym numerze ,,Kultury" płk. Aleksander Pragłowski, z temperamentem, po kawaleryjsku, rozprawił się z kampanią wrześniową 1939 roku.

Zwęził on cały problem do dwu punktów — oskarżenia marszałka Śmigłego Rydza i apologii Armii Łódź.

Tak ujęte zagadnienie ułatwia polemikę, ale tylko częściowo zbliża nas do poznania przyczyn i przebiegu dramatu kampanii wrześniowej.

Płk. Pragłowski stawia prawie wszystkie możliwe zarzuty marszałkowi Śmigłemu, zarzut niekompetencji i bardzo poważny zarzut braku charakteru. W tym wielkim uproszczeniu dziwi mnie, że przy wyszczególnieniu całego zakresu niekompetencji Marszałka pominął on, moim zdaniem brak najistotniejszy, o którym później. Jego zdaniem Marszałek nie umiał i nie rozumiał operacji w wielkim stylu uważa to za podstawowy brak przygotowania i klęski 1939 roku.

Nie mogę rozważać wszystkich przyczyn tej klęski, muszę jednak w dyskusji cofnąć się dla naświetlenia faktu, który ma zasadnicze znaczenie. Marsz. Śmigły przejął w r. 1935, po śmierci J. Piłsudskiego spadek, który pod każdym względem obciążał go w tak dużym stopniu serwitutami przeszłości i w tak dużym stopniu ograniczał w pierwszej fazie jego swobodę postępowania, że obciążanie go wyłączną winą za kampanię 1939 r. wydaje mi się zbyt daleko idące.

Jaki to był spadek ? W dziedzinie politycznej — dziurawy pakt z Hitlerem, naprężone albo podejrzliwe stosunki z Francją, wyraźnie złe z Czechosłowacją. Jak na państwo w naszej sytuacji, to dosyć dużo.

W dziedzinie wojskowej przejmuje organizację Naczelnych Władz Wojskowych, nie odpowiadającą ani potrzebom pokoju, ani wojny. W dziedzinie doktryny wojennej — całkowita pustka. Nikt jej nie tworzył stała ona na poziomie, w jakim zostawił ją gen. Faury, z chwilą usunięcia Misji Francuskiej przez Piłsudskiego. Ta doktryna odpowiadała w pełni

okresowi, dla którego była stworzona. Stosowanie jej po odejściu Francuzów, bez uwzględnienia znaczenia konia parowego na polu bitwy, w formie ruchomego pancerza i ataków z powietrza, czyniło ją bezużyteczną.

Marsz. Śmigły, przejął ponadto tendencję manewrowania w oparciu o inponderabilia i impedimenta. Marsz. Piłsudski przejęty doktryną Mierosławskiego, nie przywiązywał wagi, ani do doktryny ani do uzbrojenia, ani do organizacji. Silna wola i manewr wystarczają, tamte inne sprawy, to impedimenta, które przeszkadzają operować. I tutaj dochodzimy do rzeczy najistotniejszej : marszałek Śmigły nie otrzymał w spadku po śmierci Piłsudskiego *jak się bić z czołgami i walczyć z przewagą lotnictwa.*

Historycy, którzy będą chcieli napisać prawdę o kampanii wrześniowej, będą musieli odpowiedzieć na pytanie : w jakim stopniu zaważył spadek po Piłsudskim, jaka jest wina marsz. Śmigłego, że serwituty spadku nie zostały na czas usunięte.

Jeżeli chodzi o apologię Armii Łódź, to sprawa również nasuwa bardzo poważne wątpliwości.

Płk. Pragłowski pisze, że na wiosnę 1939 r. on opracował, a gen. Rómmel podpisał i poparł ,,temat'' : Uderzenie Niemiec na Polskę''. Pisze on, że i w czasie i w przestrzeni wypadki potwierdziły jego opracowanie. Przewidział on wybuch wojny w 1939 r., uderzenie kleszczowe z północy i Południa; innymi słowy zamiar Niemców zniszczenia obrony polskiej przez podwójne okrążenie i odcięcie.

Jako rozwiązanie najkorzystniejsze, przeciwko tego rodzaju działaniu nieprzyjaciela, widzi on obronę na skrzydłach, opóźnianie na froncie i przejście do obrony, jak rozbrajająco pisze ,,Do właściwej obrony można było przejść na linii San — Wisła''.

Szkoda, że płk. Pragłowski nie podał nam, jak chciał bronić skrzydeł. Jedna rzecz natomiast jest pewna, i bez żadnych wątpliwości, że po walkach odwrotowych, nie mogło być żadnej mowy przy tych środkach, jakimi Polska wówczas dysponowała, do przejścia do zorganizowanej obrony na proponowanej przez niego linii. Dla podkreślenia realności tego planu nazywa on go planem uwzględniającym wyłącznie konieczności militarne. Jest rzeczą jasną, że ten hipotetyczny plan był lepszy od rzeczywistości, to jest braku wszelkiego planu ze strony naczelnego dowództwa.

Przyjrzyjmy się teraz jak Dowódca i Szef Sztabu Armii Łódź przygotowują się do wojny i jak działają w toku rozwijających się operacji. Bez żadnego wyraźnego protestu zgadzają się na bezplanowość od góry. W wycinku terenowym, którego bezsens bił w oczy, wydają miliony złotych na fortyfikacje, które nie mają żadnego widocznego sensu i które sami tak traktują. Rozrzucają w terenie podległe sobie wielkie jednostki, tak jak by to była wojna 1920 r., a przeciwnik o tym samym uzbrojeniu. Dowódca armii ze swoim Szefem Sztabu bardzo odważnie każe się bić swoim dywizjom z czołgami i przewagą lotniczą wroga, zapominają oni tylko o jednym : jak to dywizje mogą zrobić i czym ?

Wybuch wojny zastaje dywizje kordonowo rozrzucone na przedpolu pozycji umocnionych, a następnie pod naporem nieprzyjaciela następuje odwrót, nad którym dowództwo armii nie panuje; w pierwszej fazie jednostki cofają się same, a następnie gen. Thommée wyprowadza je przez puszczę kampinowską na Modlin.

Gdyby Armia Łódź pozostała w zrobionych umocnieniach na Warcie i Widawce, to wynik mógł być daleko gorszy. Związane od czoła dywizje w umocnieniach byłyby oskrzydlone przez broń pancerną i zniszczone na miejscu. Robienie umocnień wszerz bez opartych skrzydeł, wobec nieprzyjaciela dysponującego przewagą broni pancernej, jest koronnym nonsensem.

Dowódca Armii Łódź i jego Szef Sztabu z kawaleryjską beztroską zapewniają nas, że mieli w rękawie wspaniały manewr, wystarczyło tylko, żeby najpierw 25 dywizja z Kalisza, a następnie inne wielkie jednostki Armii Poznań przeszły na ich odcinek, to jeśli nie pełne zwycięstwo, to w każdym razie poważny sukces operacyjny byłby im przypadł w udziale. I w tym wypadku przyziemna kalkulacja dyplomowanego kapitana piechoty wykaże iluzje tych zamiarów.

Wszystkie te uwagi nie mają na celu obniżać wysiłku żołnierskiego Armii Łódź i jego dowództwa, chodzi tylko o wykazanie, że sprawa kampanii wrześniowej ma znacznie szerszy aspekt, niż brak planu wojny, złej organizacji dowodzenia, że w grę wchodził przede wszystkim brak doktryny walki i niewłaściwe użycie posiadanych środków, tak pod względem zadysponowania całością na szczeblu naczelnego dowództwa, jak wykonawczym w ramach wszystkich armii.

Dla wykazania absurdalności założeń i przeprowadzenia kampanii 1939 r. musiałbym napisać cały nowy artykuł, ograniczę się tutaj tylko do przypomnienia — moim zdaniem kilku podstawowych faktów : Niemcy uderzyły na Polskę przez zaskoczenie 54-oma dywizjami, około 2 tys. czołgów i tyleż samolotów. W r. 1921-22, w czasie walki o Górny Śląsk wydano afisz propagandowy, przedstawiający na czerwonym polu rozwartą paszczę wilczą. Górne wilcze kły wpijały się z Prus Wschodnich, a dolne od Górnego Śląska w serce Polski. Tak poszedł i tak musiał pójść atak niemiecki. Polska nigdy sama nie mogła skutecznie walczyć przeciwko żadnemu ze swych głównych wrogów, toteż negliżowanie sojuszu i współpracy z Francją groziło tylko nam, a nie Francji. Zbrodnia Zaolzia w tej sytuacji jest i była czymś bezgranicznym. Wystawiliśmy 38 dywizji, około 180 czołgów i 400 samolotów, niedorównywujących ówczesnym niemieckim. W tej sytuacji rzeczą dominującą dla przebiegu kampanii i losu Polski, a właściwie ówczesnej sytuacji całej Europy, była odpowiedź : jak stawić opór, w jaki sposób, na jak długo związać przeciwnika, by dać możność interwencji Sprzymierzonych na Zachodzie.

Płk. Pragłowski pisze : ,,Przewaga Niemców była tak wszechstronna i druzgocąca, że przesądzała wynik kampanii... jedynie bardzo wielki optymista, którym ja nie jestem, może się łudzić, że zaistniałyby szanse naszego przetrwania, w wypadku, gdyby nasi sojusznicy z Zachodu wkroczyli...''.

Na pierwszy rzut oka w swoim pesymizmie wydaje się, że płk. Pragłowski ma rację. Tak, myśmy nie umieli się bić z Niemcami w r. 1939, Francja, w r. 1940, Anglicy, w Północnej Afryce, a najbardziej czerwoni w 1941 r. Dla ludzi, którzy szukają tylko emetyka na uspokojenie własnej dumy i próżności, to zupełnie wystarczy. W rzeczywistości sprawa wygląda trochę inaczej. Na Polskę uderzyła młoda i niedoświadczona jeszcze armia hitlerowska. Na Francję uderzyło 150 dywizji plus 16 dyw. pancernych, na Sowiety — setki dywizji plus około 40 dyw. pancernych. Gdyby, bardzo niechętnie używam tego zwrotu, udało nam się naprawdę, związać gros sił niemieckich w Polsce, to w moim pojęciu, armia francuska w r. 1939 przespacerowałaby się do Berlina.

Jeśli się tak nie stało, to nie dlatego, jak pisze płk. Pragłowski, że marsz. Śmigły nie umiał operować, ale dla tego, że tak marsz. Śmigły, jak i wszystkie podległe mu wyższe dowództwa właśnie za dużą wagę przypisywały manewrowaniu, ze szkodą dla sposobu walki.

Kampania wrześniowa dostarczyła nam następujących przykładów : Warszawa oparła się całej nawale pancernej niemieckiej, nie została zdobyta, skapitulowała. Przesławna obrona Westerplatte, po bohaterskiej obronie kapituluje. Hel, Modlin, gen. Kleeberg tak samo. Na pół nowoczesna jednostka walki, brygada Maczka,, na południe od Krakowa zatrzymuje

zwycięsko dziesięciokrotną przewagę broni pancernej przeciwnika. Batalion piechoty, którego numeru nie pamiętam, wzmocniony jedną baterią koło mostu na Bugu pod Uściługiem, przez 3 dni stawił opór przewadze pancernej i lotniczej Niemiec.

Dla właściwego rozwiązania naszego problemu 1939 r. trzeba nam było mieć nie operatorów, ale ludzi o zdrowym rozsądku, którzy nie przeciwstawiliby Sił Zbrojnych Polski w otwartym polu i w dodatku nonsensownie rozrzuconych — Niemcom, a realizując Rotę Marii Konopnickiej, na głównych kierunkach niemieckich z każdego progu uczyniliby nie do przebycia twierdzę.

Muszę tutaj dodać, że sztab nasz dysponował w tym kierunku nie tylko odpowiednim materiałem doświadczalnym, ale zupełnie konkretnymi wnioskami i projektami.

Polska uległa w r. 1939 nie dlatego, że miała za mało talentów operacyjnych, ale dlatego, że twarde rzemiosło żołnierskie, że podstawa przelewania krwi żołnierskiej, sposób walki był lekkomyślnie niedoceniony, wymagano od naszego żołnierza tylko, żeby był bohaterem, trzeba było pomyśleć by mu dać za to nagrodę — MOŻNOŚĆ ZWYCIĘSTWA !

Aleksander Karol KĘDZIOR

◆

Chicago, 19.8.1959

Szanowny Panie Redaktorze !

Z niecierpliwością wyczekuję odzewu na ogłoszony w Nr. 5/139 ,,Kultury'' ,,List do niewinnego Świadka'' Thomasa Mertona. Spodziewam się odzewu ze strony tych, którzy znużeni drętwą mową po tej i tamtej stronie żelaznej kurtyny, szukając rozwiązania w zatomizowanym zbiorowisku ludzkim, przekazują swoje poszukiwania (nie koniecznie rozwiązania) odbiorcom łaknącym stałego punktu oparcia. Jeżeli mogę zaliczyć się do stałych czytelników ,,Kultury'', ciekawych którymi drogami myśl polska błądzi, nigdy nie rościłem sobie pretensji do umiejętności przekazywania myśli własnych. Bodziec jednak pióra Tomasza Mertona był zbyt silny — stąd ten list.

Nie zdziwiłem się, że tłumaczem listu był Czesław Miłosz. Tak się złożyło, że poprzez Simone Weill do Tomasza Mertona, poprzez J. Maritain'a, Raymond Arona i — Czesława Miłosza, wróciłem znowu do Mertona. Nie pozostało to bez wpływu na moje życie, gdyż — jeżeli wolno mi nadmienić, pod jego wpływem, wróciłem z luteranizmu, którego od pokoleń byłem wyznawcą, do kościoła powszechnego. (Przyznając się do ,,grzechu'', pomimo swojego ,,zadeklarowania się'' nie porzuciłem ani Bertranda Russella, ani też niepokojem nie napełnia mnie Dostojewski czy Berdyaev. Spotykam ich jedynie na innej płaszczyźnie).

Wracając jednak do tematu i ,,Kultury'' — trzeba było zacisza klasztoru trapistów z Kentucky — jakże przypomina mi się ich klasztor palestyński w El Latroun — aby stamtąd (domyślać się mogę za czyją inicjatywą) padły pozbawione drętwoty słowa : ,,...każdy określony program jest dziś oszustem... każde łatwe rozwiązanie intelektualnym samobójstwem''. Parafrazując opowieść o dziecku i dworakach, przypomnianą przez Mertona, nazywania szatą — idei ludzkiej zrodzonej z założeń nie biorących pod uwagę nierozerwalności ducha ludzkiego z ciałem, nie okryje nagości nędzy czło-

wieka, jeżeli pozbawi się go jedynej szaty, zmaterializowanej słowem, które stało się ciałem.

Niech mi wolno będzie przypomnieć „pewne zdarzenie", o którym mówi Czesław Miłosz w „Zniewolonym Umyśle", kiedy to nagą nędzę tłumu na stacji kolejowej jednego z wielkich miast Ukrainy, rozjaśniła mu grupa rodziny polskiej, wyróżniająca się „innością". „Była to ludzka rodzina, jak wyspa w tłumie, któremu czegoś brakowało do zwyczajnego, małego człowieczeństwa". Rodzina ta otulona była w szatę prawdziwą, której nic i nikt nie mógł zedrzeć.

Jak mówi Tomasz Merton w swoim „Seeds of Contemplation": „A jeżeli nigdy nie stanę się tym, czym z założenia być miałem, ale ciągle pozostaję tym czym nie jestem, poprzez wieczność przeczyć będę sobie, będąc równocześnie czymś i niczym, życiem co chce żyć, a jest martwotą, śmiercią, co chce być śmiercią, ale nie może osiągnąć swojej całkowitej martwoty, bo wciąż musi istnieć" (w tłum. własnym).

Nie interesuje mnie problem, kogo zaliczyć do intelektualistów. Tomasz Merton nie zwraca się do polityków (ani tych „realpolitiker'ów", ani tych „ideowych"), ale do tych, którzy pismu o poziomie „Kultury", nadają znamię pisma o wysokiej klasie intelektualnej, klasie „my" z listu Mertona.

Proszę przyjąć wyrazy wdzięczności i podziękowania za zapowiedź odwilży — zapowiedź — gdyż ogłoszenie „Listu do niewinnego świadka", listu o takim ciężarze gatunkowym, nie może nie przynieść odzewu.

Proszę przyjąć wyrazy głębokiego poważania

Jan MICHEJDA



Melbourne, 24.8.59

Wielce Szanowny Panie Redaktorze !

Już po ukazaniu się „Wspomnienia o Brunonie Schulzu" w wakacyjnej „Kulturze" (Nr 7/141-8/142) wpadł mi ostatnio, przypadkowo, w ręce stary numer „Przekroju" (Nr 676, z dnia 23 marca 1958), gdzie natknąłem się na krótkie, ale piękne wspomnienie o Nim, pt. „Bruno Schulz Wspomnienie", pióra Hanny Mortkowicz-Olczakowej, opisującej swą rozmowę z Schulzem w obecności Jerzego Andrzejewskiego na przyjęciu u pp. Kuncewiczów z okazji wydania „Cudzoziemki".

Jest to mądry, interesujący i godzien podkreślenia przyczynek, napisany bezpretensjonalnie i wdzięczną polszczyzną, bez tych nieznośnych naleciałości „*empiriokrytycznych*", „*na bazie*", „*preliminariów wstępnych*" (?), „*sektora kultury*", „*nie rezygnując przecież z przemian w n a d b u d o w i e*" „*w egzekucji uchwał*", „*antreprenerów*" usiłujących i „*postulujących*", „*zobligowanie* i „*zmobilizowanie*", „*adekwatnych*" kwiatków, od jakich zwykle się roi w krajowych pismach literackich, zajmujących się nota bene teraz pomniejszaniem tzw. literatury „obrachunkowej".

Również kilka dni temu pojawił się w dalekiej Australii (6 tygodni zwykłą pocztą) numer „Trybuny Literackiej" (z dnia 21 czerwca 1959, Nr 25), gdzie w dziale „W księgarniach-Nowości Wydawnicze" znajduje się notatka o zbiorze opowiadań zespołu literackiego „Przedmieście" (z lat trzydziestych). W skład wspomnianego tomu wchodzi również opowiadanie Schulza o niepodanym w notatce tytule.

Tak oto pośrednio otrzymałem potwierdzenie na niektóre pytania zawarte w listach wysłanych do Kraju (o czym napomknąłem w szkicu), a na które nie mam odpowiedzi. Nie będąc w stanie tu sprawdzić na pewno tych faktów, wolałem je pominąć kiedy pisałem szkic.

A więc : Schulz był p i e r w s z y m w Polsce, który zainteresował się Kafką, sam przetłumaczył „Proces" i zaprotegował „Rojowi" do wydania. Jest to zasługa duża. (Niejednokrotnie podkreślano" pokrewieństwo" Schulza i Kafki. Podobno wydawcy francuscy bali się zaryzykować wydanie „Sklepów Cynamonowych" — tłumaczyła je Mme Grünberg — w przekonaniu, że nikt w Paryżu tego nie zrozumie ; a tymczasem Kafka zrobił później taką pośmiertną karierę na rynku francuskim i światowym).

Drugie : Schulz należał do zespołu literackiego „Przedmieście", który w latach trzydziestych interesował się tematyką społeczną nizin „przedmiejskich". Niektóre nazwiska sprawiły, iż o zespole tym było swego czasu dość głośno, a chcć żywot zespołu nie trwał długo, zaś powiązania jego były nieraz luźne i raczej nieoczekiwane — zdążył on wydać dwa zbiory opowiadań, z których obecnie dokonano wyboru, ścieśniając je do jednego tomu. (Notatka nie wspomina kto ów wybór przeprowadził, podkreśla jedynie, że tom zaopatrzono f r a g m e n t e m przedmowy Haliny Krahelskiej do pierwszego wydania). Zespół „Przedmieścia tworzyli : *Helena Boguszewska, Józef Czyściecki, Alfred Degal, Jerzy Kornacki, Władysław Kowalski, Gustaw Morcinek, Kazimiera Muszałówna, Zofia Nałkowska, Sydor Rey, Ignacy Robb (Narbutt), Bruno Schulz,* oraz *Bolesław Piach (Zandberg).*

Trzecie. Ze wspomnienia Mortkowicz-Olczakowej dowiedziałem się (o czym nie było mi wiadomo), że księgarnia Mortkowicza zajmowała się sprzedażą grafik Schulza, na wiele wcześniej niż ktokolwiek mógł podejrzewać u Schulza talent pisarski. Olczakowa podaje również, o czym nie wiedziałem, że pierwsze próby pisarskie Schulza dotarły do „Roju" nie tylko dzięki Nałkowskiej, ale i przez „Wiadomości Literackie". (Wtedy nie czytałem jeszcze „W.L." a młodzieżowe „Iskry". Natomiast „Kometę" Schulza czytałem tamże w roku 1938 (1).

W komentarzu od wydawcy krajowego tomu Schulza („Sklepy Cynamonowe", „Sanatorium pod Klepsydrą", „Kometa") podano, iż „Republika Marzeń" i „Legenda" („Tygodnik Ilustrowany" z 1936 i 1935), oraz „Ojczyzna" („Sygnały" 1938) *„nie weszły w skład obecnego wydania ze względu na to, że zawierają pomysły pisarskie, które doczekały się pełniejszej realizacji w innych, publikowanych w niniejszym tomie utworach, albo też ze względu na swój wybitnie okolicznościowy charakter".*

Przytoczone wyżej informacje mogą zainteresować miłośników Brunona Schulza i uzupełniają lukę w mym szkicu, dlatego proszę uprzejmie o zamieszczenie niniejszego listu, za co z góry dziękuję.

Łączę wyrazy poważania i ukłony.

Andrzej CHCIUK

(1) O pośrednictwie „Wiadomości Literackich" Sandauer nie wspomina, zapewne umyślnie.

Zapowiedzi wydawnicze

BIBLIOTEKA "KULTURY":

CZESŁAW MIŁOSZ

RODZINNA EUROPA



WIKTOR SUKIENNICKI

KOLUMBOWY BŁĄD

Londyński korespondent „Kultury": Juliusz MIEROSZEWSKI.
11 Gainsborough Road, London, W.4. — Telefon: CHIswick 1860.

Cena ogłoszeń: *cała strona* 20.000 frs., 1/2 *strony* 10.000 frs.
(*w tekście* + 50%; *okładka* + 100%).

Wydawca: Edition et Librairie „LIBELLA",
12, rue St-Louis-en-l'Ile, Paris (4e)

Directeur-gérant: Mme Christiane Karasiewicz.
Dépôt légal: 4 *trimestre* 1959

KULTURA

REDAKTOR : JERZY GIEDROYC
Adres Redakcji : 91, Av. de Poissy, Maisons-Laffitte (S.-et-O.)
Telefon : 962 19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata 1/2-roczna	Prenumerata Roczna
AFRYKA POLUDNIOWA : Janusz Kruszynski, 54, 15th St., Parkhurst, Johannesburg	3 sh. 9 d.	21 sh.	42 sh.
ARGENTYNA : Tadeusz Dabrowski, « Libreria Polaca », Serrano 2076, Buenos Aires	39 pesos	234 pesos	468 pesos
AUSTRALIA : « Vistula » (Australia) PTY Ltd., Daking House, Rawson Place, Sydney	5 sh. (a)	£.A.1.7.6.	£.A.2.12.6
BELGIA I KONGO BELG. : Janina Korab Brzozowska-Csaky, 19, Square Sainctelette, app. 2, Bruxelles, Nr konta pocztowego 7315-20	35 frb.	180 frb.	320 frb.
BRAZYLIA : Prenumeraty przyjmuja : **Julia Barcinska,** R. Itaipava 101 (J. Botanico), Rio de Janeiro; **Zofia Kietlinska,** Av. Batel 1514, Curitiba Parana; **Jadwiga Swirska,** rua Maranhao 213, Sao Paulo		4 dol. am.	6 dol. am.
BRYT. AFRYKA WSCHOD. (Kenya, Tanganyka, Uganda), Roman Krolikowski, POBOX 5979, Nairobi, Kenya	3 sh. 9 d.	21 sh.	42 sh.
FRANCJA : « Libella », 12, r. St-Louis-en-l'Ile, Paris-4	250 fr.	1.300 fr.	2.600 fr.
HOLANDIA : T. Szpilczynski, Ruysdaelkade 5, Amsterdam-Z, Tel. : 716080. Nr Konta pocz. 13500 — L.b.v.S. 6538	2 fl. hol.	12 fl. hol.	24 fl. hol.
KANADA : M. Jaxa-Debicka, 221 Howard Park Av., Toronto 3, Ont. lub c/o **Polish Voice,** 1089 Queen St. W, Toronto Ont.; **K. Krakowska,** 3445 Marlowe Av., N.D. de G., Montreal/Queb., Tél. : HU 8-5224; **H.R. Radomski,** 107, Rose Park Drive, Toronto/Ont. Tél. : HY-0829; **Vatra Trade,** 273 1/2 Selkirk Av., Winnipeg 4, Man.; **« Zwiazkowiec »,** 1475 Queen St. W., Toronto 3, Ont., Tél. : LE 1-2491; **Roman J. Sas-Babczynski,** 64 Indian Rd., Toronto 3, Ont., Tél. : LE 4-1407	75 cent.	4 dol.	6 dol.
MEKSYK : Victor Stanislawski, Av. Libertad 1350, Dep. 1, Guadalajara, Jal. Tél. : 49855.	75 cent.	4 dol.	6 dol.
NIEMCY : St. Mikiciuk, (13b) München 45, Gablonzerstr. 7/1	2,50 DM	13,50 DM	25 DM
NORWEGIA : Br. Lubinski, Moss. Kongesgt. 2	3 sh. 9 d.	21 sh.	42 sh.
SZWAJCARIA : Maria Wasung, 6, rue des Lilas, Genève. Tél. : 33 34 20, Nr konta poczt. 1.14431	2,50 fr. s.	13,50 fr. s.	25 fr. s.
SZWECJA : Red. Norbert Zaba, Kallskärsgatan 3/IV Stockholm		18 kor.	33 kor.
U.S.A. : W. Bienkowski, « Gryf Publ. », 296 Sheridan Av., Albany, N.Y.; **S. Dobczynski, Alma Shipping C°,** 121 St. Marks Pl., New York 9, N.Y.; **L. Dudarew Ossetynski,** 670-47 street, Brooklyn 20, N.Y.; **S. Dziarczykowski,** 4009 W., 23rd St., Los Angeles 18, Cal.; **M.K. Dziewanowski,** 51 Reservoir St., Cambridge 38, Mass.; **T. Konopacki,** 1253 Hathaway Av., Cleveland 7, Ohio. Tel. LA-1.2305; **Ch. M. Kretowicz,** 2109 Robinwood Av., Toledo 2, Ohio; **V.B. Kwast,** 376 Wallingford Terrace, Union, N.J.; **A. Pleszczynski,** 2025 Monterey St. Santa Barbara, Calif.; **Polish Amer. Book C°,** 1136 Milwaukee Av., Chicago 22, Ill.; **The Polish Book Importing C°, Inc.,** 38 Union Sq., New York 3, N.Y.; **E. Posyniak,** 595 Fillmore Av., Buffalo 12, N.Y.; **Praca,** 2419 Memphis St., Philadelphia 25, Pa.; **K. Trojanowski** 17932 Van Dyke, Detroit 34 Mich. Tél. T W 2.0890.	75 cent.	4 dol.	6 dol.
W. BRYTANIA : « Gryf » Publication Ltd., 169-171, Battersea Church Road, London, S.W.11	3 sh. 9 d.	21 sh.	42 sh.
WLOCHY : Aleksander J. Mikucki, Viale Parioli 124, int 12, Roma. Tél. : 87-10-27	300 lires	1.750 lires	3.000 lires

W krajach niewymienionych prenumerata jak we Francji, plus koszty porta 200 frs półrocznie i 400 frs rocznie Przesyłka pojedyńczego numeru : 35 frs.

Należności we Francji wpłacać można przekazem pocztowym na adres :

Jerzy GIEDROYC, 91, Avenue de Poissy, Maisons-Laffitte (S.-et-O.)
C.C.P. PARIS 7585-94

Nowości

BIBLIOTEKI "KULTURY"

Już są w sprzedaży:

TOM XLV

WACŁAW LEDNICKI

GLOSSY KRASIŃSKIEGO do APOLOGETYKI ROSYJSKIEJ

Cena egzemplarza 400 frs (6 sh., $ 1,00)



TOM XLVI

ABRAM TERC

SĄD IDZIE

oraz

ANONIM

CO TO JEST REALIZM SOCJALISTYCZNY?

Podziemna literatura sowiecka w przekładzie Józefa Łobodowskiego z przedmową Gustawa Herling-Grudzińskiego.

Cena egzemplarza 700 frs (10 sh. $ 1,50)

Imprimerie RICHARD,
24, rue Stéphenson, Paris (XVIIIe).

Cena 250 frs.